



3 1761 05369459 2

Nr 28

201

PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO.



PAMIĘTNIKI LEKARZA POLSKIEGO

PRZEZ

Dra T. Tripplin.

SERYJA DRUGA.

Tom I.

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa.

—
1857.

ADAM BOGDANY.
W
JAROSŁAWIU.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 29 Maja (10) Czerwca 1856 r.

p. o. Starszego Cenzora, Radca Honorowy,

A. Broniewski.

ROZDZIAŁ I.

Szczęśliwa Starość.

Bodajto jednakże być silnym i młodym, kochany panie Macieju, — rzekłem do starca rozwodzącego się tyle nad urokami wieku zgrzybiałego, że mnie już nareszcie zaczynała brać jakaś dziwna chorobliwa chęćka przyśpieszenia sobie biegu życia, dla używania onych uroków zgrzybiałości, tyle zachwalonych przez mojego starego przyjaciela.

— Bodajto jednakże być silnym i młodym, i do tego jeszcze pięknym, wesolym, przyjemnym, bogatym i utalentowanym, na to z całego serca przystaję, — odrzeczę mi starzec. — Któżby

nie chciał używać wszystkich darów przyrody, trafu, fortuny, talentu a nadewszystko wszystkich błogosławieństw Boga jak najdłużej; ależ to przecież nie jest w widokach Opatrzności, żebyśmy na tym świecie wiecznie pozostawali; zabrakłoby nam wreszcie miejsca na tym planecie; wreszcie, możebyśmy się i znudzili jednostajnością ziemskiego bytu. Nie! dla wyrobienia w sobie duszy godnej lepszego losu i wyższego szczęścia, przebiegać musimy kolejno wszystkie wieki; musimy się wystawiać na wszystkie niebezpieczeństwa grożące nam najprzód ze strony naszej niedołężności fizycznej i moralnej, potem ze strony wszechstronnego młodocianego rozwoju sił naszych, jeszcze później ze strony nadmiaru tychże sił w wieku młodzieńczym, narazie stopniowo, stopniowo wystawiać się musimy w wieku zgrzybiałym na wszystkie niebezpieczeństwa i zmartwienia pochodzące z widoku zbliżającej się śmierci. Więc przecież na to już się zgodziliśmy, bo jesteśmy chrześcijanami *prawie* jednego wyznania, więc stworzeni jesteśmy na tym tu świecie, ubrani w owo ciężkie ziemskie ciało tylko na to, żebyśmy sobie

zasłużyli na jakieś lżejsze i wygodniejsze ubranie. Jeden umiera w dzieciennym wieku nie wiedząc że żył, nie przebudziwszy się duszą do żadnego uznania trudnych obowiązków, zaciągniętych posiadaniem woli kierowanej rozumem; a Bóg hojnie mu wynagrodzi na lepszym świecie wszystką już tutaj doznaną boleść życia i kowania. Drugi umiera nieprzebudzony duszą w późniejszym wieku, kiedy już myśleć mógł i władać wolą, i takiemu jeszcze miłosiwy Stwórca przyświecać będzie łaską swoją w miarę zasług położonych boleściami, w miarę okoliczności umyślnych lub nieumyślnych, na losie jego ciążących lub nań jakikolwiek bądź wpływ wywierać mogących. Jeszcze inny żyje i umiera nie chcąc wiedzieć że żyje i że umrzeć musi, żyje jak zwierzę, obdarzony będąc władzami człowieka; takiemu niech będzie ziemia lekką, ziemia, ten padół płaczu i męki, z którego on zrobił widownią niedorzeczności, ohoty i zbrodni swoich. A nakoniec jeszcze inny długo żyje, bardzo długo mozoli się i błąka, nim przyjdzie do uznania posłannictwa swojego, ale Bóg łaskaw, nie odwraca się od niego, udziela mu moc prze-

trwania zasłużonych niedoli, nawraca go do siebie, nadaje mu nigdy wprzód nie posiadaną siłę, spokojność duszy, nawet szczęście, nawet zdrowie, nawet majątek, i robi z rozprzęgniętego ścigacza za wrażeniami, spokojnego, bliźnich kochającego, Boga chwającego chrześcijanina. A zatém — a zatém mój młody przyjacielu, widzisz, że i wiek zgrzybiały ma swoje uroki. Jestem starym, bardzo starym, lecz duch swobodnie we mnie przemawia od lat kilkunastu, swobodniej jak kiedykolwiek; używam życia tego powabów wolny od nagabywań namiętności, wolniejszy od cierpień jak w młodszym wieku. Słowem, czuję się szczęśliwszym, oczekuję z pogodnym czołem i z wypogodzoną duszą owęj ostatniej chwili, w której przejdę z tego świata w inny, zapewne lepszy.

Uciał mowę staruszek, ale nim ją uciał, wydobyl okulary z puzderka, przetał je rękawiczkami, i wsadził je na kościsty nos swój, wpatrując się w fizyjonomiją moję zapewne z ciekawości, czy tam nie ujrzy odgłosu słów swoich uczuciami brzemiennych.

Znalazł go, bo jakże tu odmówić odgłosu ta-

kim poczciwym, przeświadczeniem religijném tchnącym zdaniem? Znalazł go w zadawalniającej zupełności, bo ręką mnie uściskał kościstą, zimnową ale bardzo krzepką i szczeremi uczuciami drgającą.

— A cóż panie Teodorze, nie przekonałem cię? czyż i wiek zgrzybiały uroków swoich nie ma? ja w téj chwili doświadczam tych uroków, bo chociaż skorupkę dorzuciłem do tego skarbu myśli, które ciebie zwrócą z drogi światowości, i to mi sprawia niewypowiedzianą przyjemność, że Bogu i ludziom służyć jeszcze mogę w tym wieku podeszłym, przeszedłszy przez tyle burzliwych kolei losu. Tak młody mój przyjacielu, tyle masz o starości ze stanowiska religijnego; teraz uważajmy ją z punktu fizyologicznego. Starość chociaż sama w sobie naturalnym jest skutkiem życia a początkiem śmierci, może jednakże posłużyć za środek do przedłużenia dni naszych. Wprawdzie, w starości nie wzrastają siły żywotne, ale ich wyczerpanie opóźnia się w téj fazie życia, i z tego względu można nawet utrzymywać, że człowiek w ostatnim peryjodzie życia, w czasie już umniejszonej siły prędkiejby przy-

szedł do ostatniego kresu, gdyby się nie starzał, to jest, gdyby żył z młodzieńczą działalnością i żywością. Śmierć nastąpiłaby musiała jeszcze szybciej, tak szybko jak następuje u owych starców nieumiejących się pogodzić z koniecznością starości, nieumiejących się doń zastosować, chcących żyć aż do ostatniej chwili w sprośnych rokoszach i wyczerpanymi siłami. I w tém jeszcze znajdujemy pewną korzyść w starości, że ubywanie napięcia życia z wiekiem, przedłuża jego trwałość, że pomniejszona drażliwość zmniejsza także wpływ szkodliwych wrażeń i chorobliwych przyczyn, na przykład poruszeń umysłu, rozgrzania, zaraz i epidemii. Słowem, bodajto być starcem mającym z czego żyć, a mądrym, wierzącym, z koniecznością śmierci pogodnym, O! wielką miał słuszność Cycero w tém wszystkiém co napisał dobrego o starości.

* * *

Taka się toczyła rozmowa dziesięć lat temu przeszło, pomiędzy panem Maciejem a mną w ogrodzie botanicznym miasta Edynburga.

Ale kimże był ten pan Maciej?

Oczywiście kwakrem, bo na głowie siwiuteńkiej nosił popielaty kapelusz z niską główką a szerokimi skrzydłami, bo najsumienniej golił twarz swoją zmarszczoną, ale czerstwą i jeszcze miłą; bo się ubierał we frak sieraczkowy ze stojącym kołnierzem i ze stalowemi guzikami, w spodnie takiéjże barwy i płaszcz tabaczkowy z krótką peleryną.

Istotnie ten Jegomość należał do szanownej i czcigodnej sekty Kwaków.

Ale, rozmowa nasza toczyła się w języku polskim. Czy są polscy kwakrowie?

Znałem ich kilku w Anglii i w Szkocyi, ale najpierwszym kwakrem polskim był najniezawodniej nasz stary *brat* Maciej Natkiewicz, szlachcic litewski, którego słyszeliśmy przed chwilą w ogrodzie botanicznym Edymburskim rozprawiającego tak wymownie i rozsądnie o starości.

Już od lat przeszło trzydziestu, to jest od 1810 r. bawi nasz ziomek w Szkocyi; nie rzadko znajdował się w styczności z rodakami, to też wcale nie zapomniał ojczystej mowy, owszem wysławiał się po polsku z trudną do uwierzenia

czystością i dobitnością, i nawet nie postradał owego śpiewającego akcentu litewskiego, który mnie nie tylko nie razi, ale nawet pewną sprawia przyjemność, zapewne dla tego, że kolegując z litwinami w rozmaitych stosunkach i pod różnemi niebami, bardzo ich polubiłem.

Wszyscy mieszkańcy świętego miasta Edyburga znali starego brata Mateusza, *old brother Mathews*, i kochali go jako człowieka pod wielu względami, zwłaszcza pod względem bogobojności i dobroczynności wzorowego. Posiadał on dość znaczny majątek, z tysiąc funtów rocznego dochodu dający, i wychowywał u siebie kilkoro dzieci dwóch pasierbic już nie młodych, wcześniej owdowiałych, surowej obyczajności kwakierek.

Dopiero przed rokiem, w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia swego umarł nasz ziomek, i trzecią część majątku swojego zapisał na cele dobroczynne. Nie zapomniał w testamencie swoim własnych ziomków, pozostawił fundusz na utrzymanie jednego ziomka protestanta na uniwersytecie Edymburskim. Warto znać historiją życia tego: opowiem ją czytelnikom w tych

samych słowach, w jakich mi ją podał stary kwakier.

* * *

— Niesie nasze polskie przysłowie,— rzecze pan Mateusz:— „że kto w dwudziestym roku nie jest mocnym, w trzydziestym niemądrym, a w czterdziestym niebogatym, ten nigdy w życiu nie będzie ani mocnym, ani mądrym, ani bogatym.“ I to bardzo trafne przysłowie, tak jak wszystkie nasze przysłowia, ale na mnie dobroć jego nie sprawdziła się, bo byłem schorzałym i słabym w dwudziestym roku, nierozsądnym jeszcze w trzydziestym, a w czterdziestym tak biédnym jak mysz kościelna, i dopiero w późniejszym wieku przyszedłem do zdrowia, rozumu i pieniędzy.

Więc pod tym względem należałem do wyjątków, a i dobrze że są, bo inaczej nie jeden słaby, głupi i ubogi dalby się zrazić od ubiegania się za zdrowiem, mądrością i majątkiem w późniejszym wieku.

Urodziłem się na Litwie, w Kiejdanach, dziewiątym synem bardzo ubogiego pastora kalwiń-

skiego, który oprócz chmary synów, miał jeszcze pięć córek, kilka za mąż niewydanych siostr, i trzy ciotki pozostające w stanie Westalek strzegących swęj własnej cnoty.

Ale nasza Litwa poczciwa, sercowa, święta, nie da umrzeć z głodu żadnemu stworzeniu, i tak się stało, że doskonale wyrastali chłopcy i dziewczki ubogiego pastora, i że jakoś nikomu pod jego strzechą głód nie dokuczył, czy dzieciom, czy słudze, czy gościowi.

Ale nie wysiliła się natura na moje wyposażenie, ani pod względem fizycznym, ani moralnym. Cóż podobno do szóstego roku chodzić nie umiałem, a do dziesiątego ani jednej nie znałem litery. Potém jakoś dostąpiwszy wieku młodzieńczego, raźniej się rozwijać zacząłem, i oddany do szkół w Słucku, przepychałem się przez klasy siedząc w nich tylko po dwa lata; nareszcie w roku dwudziestym drugim życia, wyglądając zaledwie na szesnastoletniego młodzieńca, złożyłem jednakże za silną pomocą kolegów egzamen dojrzałości, i kosztem stypendjum księżnej Karoliny Brandenburskiej i Neuburskiej z Ra-

dziwiłłów, wysłany zostałem do Królewca, aby tam się uczyć Ś-tój Teologii.

Powołania wcale nie czułem do stanu duchownego, chociażby tylko dla tego, że w naszej rodzinie prócz ojca i czterech stryjów, siedmiu braci moich i trzech szwagrów było pastoraми; ale mój ojciec obarczony piętnaściorgiem dzieci, bardzo szczupłe mając fundusze, nie wiele zważał na usposobienie moje, i korzystał jak mógł najczęściej z dobrodziejstwa stypendjum Radziwilłowskiego, zabezpieczającego na uniwersytecie królewieckim, czterem teologom kalwińskim wychowanie, a następnie i chleb. To też tak się stało, że czterech braci w jednym czasie uczyło się w Królewcu teologii; a ja najmłodszy, Benjamin rodziny, uczyłem się najgorzej ze wszystkich, i przyznać muszę, że nawet z pewnym wstrętem.

Ale lubilem się oddawać poetycznym marzeniom, czytaniu historycznych romansów i wierszoklectwu.

W skutek nadużywania kąpieli morskich, zapadłem na zapalenie płuc i przeniosłem się do kliniki uniwersyteckiej, w której się leczyło za-

wsze po kilku w pojedynku rannych, lub na różne choroby chorych akademików.

Tutaj w tym przybytku zdrowia, w ciągłej będąc styczności z najświetniejszymi profesorami i uczniami medycyny, nabrałem smaku do sztuki lekarskiej, i wyszedłszy z kliniki, uczęszczałem na kilka kursów medycznych z większą daleko pilnością niż na wykłady teologiczne. Chciałem połączyć jedno z drugim, duchowość i medycynę, idąc za przykładem niejednego księdza katolickiego.

Ale teologija ewangelicka niezmiernie trudna, wymaga bardzo wiele historyi, filozofii, egzegezy, łaciny, greckiego a nawet i hebrajskiego: trudno być razem dobrym lekarzem i dobrym teologiem ewangelickim; na to trzeba głowy z ogromną objętością, ja zaś takiej głowy nie posiadałem.

Pomimo odradzań ze strony profesorów, ojca i braci, wytrwałem przy tym systemacie uczenia się przez całe pięć lat, i nareszcie tyle skorzystałem z teologii i z medycyny, żem nie mógł złożyć egzaminu ani z jednego, ani z drugiego, żem wrócił do Litwy bez patentu, gdzie

zatrudniał się przez lat kilka guwernerką po magnackich dworach, potem zaś korzystałem z pierwszej wojny, i zaciągnąłem się z niemalą dla rodziny mojej boleścią, jako *towarzysz* do kawaleryi narodowej.

Po rozpoczęciu wojny wkrótce nastąpiło pobicie, ranienie, wzięcie do niewoli i podróż do Kamczatki.

W Tobolsku odziedziczyłem kilka książek lekarskich i sporo narzędzi chirurgicznych po naszym zacnym doktorze Łuczniku, który razem z nami wzięty i zawieziony, wkrótce uległ srogości klimatu, i mnie przed zgonem prosił, żebym wrócił do medycyny, i użył jego książkę i narzędzi ku uldze cierpiącej ludzkości.

Dałem się ubłagać, i z *wiedzą* kolegów użyłem nie tylko jego książek i narzędzi, lecz nawet jego patentu i nazwiska. Pochowaliśmy Mateusza Natkiewicza, prostego towarzysza, a doktor Baltazar Łucznik jak żył tak żył, i dobrze mu z tém było, bo i więcej miał wolności i zarabiał pieniądze, któremi się dzielił z kolegami.

A po kilku latach wesołego życia i dobrej praktyki w Kamczatce, nastąpiły ułaskawienia ;

i powrót do kochanej Litwy, gdzie długo nie popasałem. Rozdawszy przywiezione z dalekich krajów upominki pomiędzy chmarę braci, sióstr, synowców, ciotek i siostrzenic, pojechałem na Podole i tam osiedliłem się jako doktor Baltazar Łucznik w Berdyczowie.

Bardzo mi się dobrze wiodło; pokochałem się w bogatej pięknej pannie, obywatelskiej córce, uzyskałem jej wzajemność; po bardzo wielu trudnościach i korowodach, jestem przyjęty przez upartego ojca i dumną mamę; już dzieńznaczony do ślubu; w tém raz, powracając do domu od mojej pięknej i rozkochanej narzeczonej, znajduję w nim: panią doktorową Łucznikową i siedmioro dzieci nieboszczyka Łuczniaka, którzy przybyli z Kowna, gdzie dziwnym przypadkiem dowiedzieli się, że kochany mąż i ojciec nie umarł w Tobolsku, lecz w Berdyczowie żyje, i bardzo dobrze interesa swoje prowadzi.

Pani Łucznikowa, już ze czwórdzieści lat mająca, wcale nie urodziwa i cokolwiek ordynarna kobiątka, rzuca mi się na szyję nazywając mnie najlepszym z mężów, dzieci padają mi do nóg, a pomiędzy niemi szesnastoletnia panna Domi-

cella Łucznikówna; nazywając mnie najlepszym z ojców, zanosząc się od serdecznego płaczu.

— Na miłość Boga!—krzychałem jak opętany—pani Łucznikowo!—w tém zachodzi omyłka, ja nie jestem mężem pani; ja mam lat trzydzieści dwa, nie mogę być ojcem szesnastoletniej panny, nieboszczyk Łucznik miałby dzisiaj lat czterdzieści sześć gdyby był żył, ale niestety! umarł pochowany daleko stąd, i nawet nie wiedziałem że zostawił wdowę i dzieci, jakoś się nigdy o tém nie zgadalo, nie bardzo musiał być szczęśliwym z Jejmością.

— Oj ty, ty figlarzu, niceś się nie zmienił.—odpowié polykając mnie chciwemi całusami pani Łucznikowa. — Oj ty, ty figlarzu, przecież nie było dwóch Baltazarów Łuczników doktorami medycyny, graduowanych dnia 15 Sierpnia 1772 roku w Lipsku, jak to twój patent doktorski wykazuje. No dosyć tych figłów, pocałuj swoje żonkę, i chodźmy spać, bo już późno. No! uściskaj twoją Domisię; patrz czy nie ładna? W Kownie uchodzi za jedną z najpiękniejszych panieli “

Niewinna Domisia skoczyła do ust moich

z lekkością Sylfidy, i zaczęła mnie pić i połykać jak pszczołka rezedę; reszta zaś dzieci to po nogach, to po rękach z trudną do opisania serdecznością.

— Oh! Messaliny i Syreny dajcie mi pokój! ja nie wasz ojciec, ani wasz mąż, ani brat, ani swat!—krzyknę wywijając się jak Laokoon z objęć sześciu węzów. — Ha! ja miałem dopiero lat jedenaście kiedy się doktor Łuczniak doktoryzował w Lipsku, nigdy w życiu nie byłem w Lipsku, odczepcie się odemnie, żenię się za pięć dni.

— A więc prawda? nie zawodzili nas, podobno z panną Leonorą Judkową, piękną córką z bogaczonego dorobkowicza. No! nie z tego nie będzie. Tyś mój mąż, a ja jeszcze nie umarła, żyję i żyć będę długo tobie na złość Baltazarku.

I babą kazawszy iść dzieciom spać w salonie, w którym rozestano bety po kanapach i krzeselkach, usiadła sobie na łóżku i zaczęła w najlepsze zdejmować pończochy.

— Dowiedz mi pani! że jestem twoim mężem, krzyknę nareszcie rozzłoszczony do żywego.

— Jeżeli mnie zmusisz do dowiedzenia ci, że nim *nie* jesteś, to resztę życia przesiedzisz w kryminale mój Baltazareczku kochany, odpowie z najzimniejszą krwią przeklęty babus.

Strach mnie ogarnia; widzę przed sobą wstyd, kajdany, rusztowanie, tracę najzupełniej głowę, zabieram co mogę pieniędzy, uciekam z własnego domu i opieram się dopiero w Medyjołanie i tam wstępuję do wojska.

Dopiero w półtora roku, po naszym tryjumfalnym wejściu do Rzymu, zostałem posuniętym na oficera, ale szlify moje musiałem oblać własną krwią swoją pod Marengo i pod Peschiera. W tém ostatniém miejscu tak ciężko mnie raniło przy samym szturmie, że tylko z wielką biędą uniknąć zdołał śmierci, i więcej jak półtora roku strawiłem w szpitalu medyjołańskim a później w paryskim.

Ale wyzdrowiałem nareszcie, dzięki chirurgii francuskiej, już wtenczas bardzo wysoko stojącej, i w zdumienie wprawiającej wszystkich cudzoziemców.

Szkoda że się wtenczas nie wziął z całą siłą do medycyny; i że się nie postarał o tytuł

choćby tylko oficera zdrowia, wydany na własne moje nazwisko. Ale pożał się Boże! nigdy nie umiałem nic w porę zrobić. W szpitalach walcząc z boleścią i z nudami, zagłębiłem się w czytaniu książek religijnej treści do tego stopnia, że się we mnie nigdy wprzód niedoświadczone powołanie do stanu duchownego odezwało. Uczęszczałem o ile tylko mogłem na wszystkie nabożeństwa wyznania mojego, ale naturalnie pokryjому, bo wówczas religija chrześcijańska jeszcze nie została urzędownie przyjęta we Francyi, dopiero we dwa lata potem Napoleon zostawszy cesarzem, przywrócił religii godność dawną.

Już byłem gotów zamienić huzarski dolman na pasterską togę, ale mnie koledzy namówili do towarzyszenia im do San-Domingo, dokąd Napoleon wysłał swego szwagra jenerała Leklerka na podbicie i ukaranie zbuntowanych murzynów.

Na téj niegodziwéj wyspie o mało co nie umarłem, i to z dziesięć razy w skutek zapalenia mózgu, żółtój febry, chorób nerwowych, ran, głodu, przejedzenia, gorąca i zimna, suszy i wil-

goci, bo przez to wszystko przechodzić musiałem. Wyspa San-Domingo stała się grobem prawie wszystkich na jej podbój wysłanych francuzów i polaków.

Niedobitki wróciły do Europy.

Nie zostawiono nas długo w bezczynności. Szczuto nami tego i owego, winnego i niewinnego. My zawsze najgrzeczniejsi nie odmawialiśmy nigdy francuzowi pomocy.

Dopiero w roku 1807 wróciłem do kraju, ale nie do Litwy, i to nie na długo.

Tu się dowiedziałem, że moim braciom i siostrom przybyło z kilkadziesiąt dzieci, i że moja narzeczona panna Marszałkówna Judko poszła za mąż w dwa miesiące po mojej ucieczce z Berdyczowa, za młodszego brata doktora Baltazara Łuczniaka, także doktora, którego protegowała wdowa po nieboszczyku. Ona to umyślnie zjechała do mnie z Kowna, aby mnie z własnego domu wygonić, aby w nim osadzić szwagra, i aby go wyswatać z moją narzeczoną.

Wszystko jej się jak najlepiej udało. Była to kobieta z ministeryjalną głową.

Formują legiją nadwiślańską. Wstępuję do

niej w stopniu kapitana. Posyłają nas do Hiszpanii, gdzie się francuzom źle wiedzie. Bijemy się jak lwy przeciw narodowi, który nam nigdy nic złego nie zrobił, szturmem bierzemy wawozy i miasta, palimy wsie i magazyny, w powietrze wysadzamy fabryki, ale kościoły szanujemy, księży ani zakonników nie obrażamy, więc nas też nie tyle nienawidzą Hiszpanie ile Francuzów.

Ale, dostaję się do niewoli angielskiej i jestem odesłany na pontony stojące w zatoce Brystolskiej. Bardzo mi źle. Pomimo majorskiej rangi muszę razem z innemi pokład skrobać i myć, łóżka słać, jeść gotować, i jeszcze inne pełnić służby brudne niezgadzające się z rangą oficera, i z godnością dobrze wychowanego człowieka.

Anglicy widzieli w nas tylko najemnych żołdaków, i żadnej nie uznawali pomiędzy nami różnicy. Nasz pułkownik tyle znaczył w ich oczach ile nasz prosty żołnierz; to nas oburzało do wnętrza serca.

Jednakże, tak po roku dotkliwych cierpień, i po tak ciężkich próbach, że ich pamięć niezatarte w duszach naszych wyryła ślady, zaczęli się przekonywać Anglicy, że i pomiędzy nami

znajdują się ludzie wyżsi wychowaniem, zdolnościami i cnotą. Niektórzy ludzie prywatni, słysząc o częstych wypadkach samobójstwa przytrafiających się pomiędzy nieszczęsnymi niewolnikami na pontonach trzymanemi, zaczęli się zajmować losem naszym, odwiedzali nas i kupowali od nas robótki z chleba, ze słomy, z kości i z drzewa, któremi niewolnicy słodzą sobie w każdym więzieniu nudne i ciężkie chwile cierpień.

Nawet od czasu do czasu dochodziły nas jałmużny składkami zbierane.

Ale chodziliśmy w łachmanach, i do tego stopnia wyzuci byliśmy z wszelkiej sposobności zniesienia się z rodziną lub przyjaciółmi, że nawet Francuzi do najmajętniejszych rodzin należący, nie mogli dać znać familii gdzie są, i w jakim znajdują się położeniu. Sławny Ferdynand de Juniac, świetny pułkownik gwardyi cesarskiej, nasz współwięzień, tak był odartym, że nagiści swojej pokryć nie mógł; Hiszpanie bowiem wzięwszy go rannego do niewoli, odarli go z bogatych sukni, Anglicy zaś odsyłając go na pon-

tony swoje, dali mu tylko lichy płaszcz wojskowy.

Ale jak mówię, położenie nasze zaczęło się nareszcie polepszać, dzięki ludzkości osób prywatnych; rząd bowiem Anglii ani nawet dopuszczał, żebyśmy lepszemu byli warci losu, i sromotną karę szubienicy wymierzał na każdego, który się buntował lub okazywał chęć uciekania.

Raz zjawił się u nas na pontonie jakiś stary kwakier, z twarzą nadzwyczaj miłą, pogodną a dostojną. Widząc mnie pogrążonego w czytaniu Biblii angielskiej, (już bowiem po niemiecku i po francusku wprzód umiając, nauczyłem się rozumieć a nawet i mówić po angielsku), więc, widząc mnie czytającego Pismo Święte po angielsku, i tłómaczącego jój tekst kilku ewangelikom, współtowarzyszom niedoli, zbliżył się do mnie, skłonił głową bez dotykania się kapelusza, jak to u nas kwakrów jest zwyczajem, i spytał się:

— Czyś się tu na pontonach nauczył po angielsku bracie?

— Tak jest, bracie.

Dalem mu także nazwę brata, bo jak wiesz

doktorze, kwakier mówi przez *ty*, tytułów nawet królowej nie daje, nigdy nie zdejmuje kapelusza chyba w kościele, gdy jest natchnionym i kazanie mówi.

— W tak krótkim czasie nauczyłeś się mowy naszej?— rzeknie dalej sędziwy kwakier.

— Półtora roku na pontonie, to wieki, mój bracie; już przeżyłem prawie połowę moich towarzyszy niedoli razem ze mną pojmanych, i tu przesłanych. Zresztą, umiejąc wprzód po niemiecku i po francusku, z łatwością mi przyszło nauczyć się waszej mowy.

— Musisz być uważanym za bardzo uczonego w swoim kraju, kiedy tyłoma mówisz językami, — powie dalej brat Samuel Dovenport, tak bowiem zwał się nasz kwakier.

— Znam przytém jeszcze, i to wcale dobrze, język łaciński, rossyjski, polski i mowę, którą przemawiają Indyjanie w San-Domingo i w całych Antyllach, a jednak nie mam jeszcze prawa zwać się uczonym w kraju moim, bo tam podobnych lingwistów bardzo wiele.

Kwakier umilkł z zadziwienia, i z pewną nieufnością na mnie spoglądał; nareszcie rzekł:

— Czybyś mi nie chciał dać bracie dowodu twojej biegłości w językach? Czybyś mi nie chciał przetłómaczyć na wszystkie wymienione języki chociaż jednego wiersza Świętej Ewangelii naszej. Naprzykład, weźmy wiersz 27 Rozdziału XIV Ewangelii według Świętego Jana, zaczynający się od *pokój*...

— Doskonale znam wiersz ten, rzeknę przerywając kwakrowi, idzie on: „Pokój zostawuję wam, pokój on mój dawam wam; nie jako dawa świat, Ja wam go dawam; niechże się nie trwoży serce wasze, ani się lęka.“

— Znasz widzę Pismo święte bracie chrześcijaninie, — rzeknie do mnie kwakier, i mierząc oczyma kilkunastu z moich ziomków w elbika grających i niesłychanie hałasujących, doda: — Czy ta znajomość Pisma świętego jest u was tak upowszechnioną jak znajomość języków?

— Nie zupełnie tak, odpowiem jākając się cokolwiek, „ale zawsze bardzo, istotnie bardzo.“

— Ale ty przyjacielu, skąd tak znasz dobrze Słowo Boże, że nawet wiész, w którym miejscu szukać godła naszego stowarzyszenia przyjaciół pokoju?

— Uczylem się Teologii przez lat pięć, miałem zostać pastorem....

— Miałeś zostać człowiekiem pokoju, a zostałeś człowiekiem wojny? miałeś wznosić, a burzysz? Czy się nie wstydzisz przyjacielu, i czy nie żalujesz grzechu swojego?

Stary kwakier przemawiał z taką ujmującą prostotą, z taką niewyszukaną otwartością, zarazem z tak dobrotliwym wyrazem w swój nadzwyczajnie miłej twarzy, żem się nie czuł obrażonym owém napominaniem siebie, owém wyrzucaniem mi błędów moich, do których w głębi serca już oddawna sam się przyznawałem.

Przetłómaczyłem mu na siedm języków wiersz podany mi z Pisma świętego.

— Ja nie umiem sądzić o dobroci tego tłómaczenia, — rzecze Samuel Dovenport, — bo jestem nie uczonym, ledwie po angielsku mówić umiejącym fabrykantem; ale poradzę się takich, którzy ocenić będą w stanie twe dzieło, i jeżeli jest dobrém, damy ci bardzo dobrze wynagrodzoną pracę. Tymczasem przyjmij te dwadzieścia funtów sterlingów, i rozdziel je pomiędzy najwięcej potrzebujących i najgodniejszych towarzyszy.

Samiel Davenport — Samiela Davenporta, który w roku 1836, i znowu w roku 1840, był w więzieniu z towarzyszeniem Peana. Samiela Davenporta, który w roku 1836, i znowu w roku 1840, był w więzieniu z towarzyszeniem Peana.

— Twoje dzieci, z wyjątkiem najmłodszej, przez śmiech i płacz, stały się do mnie —

Davenport podając rękę, powiedział: — Przyjmij ją w swoją rękę. — Towarzyszywo, obojętne, posyła ci to przeżenniem pracę; oto jest raportek religijny o skutkach próżniactwa w więzieniu; jest to owego rodzaju moja córka Elzbieta Fry, która poświęca się głównie wyprawianiu śladu więźniów i więźniów. Tę pracę masz przelożyć mi, tyle języków w nich znajdziesz. Jest to tylko ardensz druku, za przełożenie za każdy język wyznaczono ci funtów sterlingów pięć, i opowiadano mi, że do udzielenia ci racjonalnego kwoty funtów sterlingów dziesięć. Czy przyjmiesz przyjacielu? a teraz powiedz mi, ci na wieść o twoje nazwisko, nie obam, bo zapewne nie obam dziwne, że ani go spanięcia, ani w imię się pozna.

Oczywiście, jeżeli w stanie zarabiasz do dziesięć funtów sterlingów, to jest po blisko

dziewięćdziesiąt złotych polskich; mogłem zatem potężnie wspierać moich współtowarzyszów niedoli, po większej części niezdolnych zarobić sobie czémśkolwiek bądź na kawałek chleba, zwyczajnie jak żołnierze wychowani tylko do użycia broni w pokoju i w wojnie.

Trwało to z jakie cztery miesiące, a potem w skutek pracy, niewygód, złego powietrza wyziewanego z samego pontonu i z błota na którym stał na kotwicy, zapadłem na szkorbut i już byłem bliski śmierci, gdy się mój przyjaciel Samuel Dovenport, bawiący wówczas w Edyngburgu, dowiedział o stanie moim, i zjechał umyślnie do Brystolu dla podania mi ręki, i wydźwignięcia mnie z okropnego położenia.

Dzięki wstawieniu się całego zgromadzenia kwaków u księcia regenta Anglii, uzyskano dla mnie, dotychczas nikomu niewyświadczoną łaskę, to jest puszczenie mnie na słowo honoru, i na gwarancyją sześciu zaręczycieli odpowiadających majątkiem i wolnością za mnie.

Samuel Dovenport przewiózł mnie do Edyngburga, gdzie pomoc lekarska i starania prawdziwie serdecznych i roztropnych przyjaciół, poka-

zały się tak skutecznymi, że w bardzo krótkim czasie odzyskałem zdrowie, czyli raczej zyskałem je, bo dotychczas nigdy go nie posiadałem.

Nie byłem nigdy bez zatrudnienia, to na moje szczęście powiedzieć mogę, i dumnym się czułem z tego, że mogę stać się użytecznym pracą swoją.

A potem, przekonałem się od pewnego czasu, że nie burzeniem lecz tworzeniem, pracą, uczciwą robotą można służyć skutecznie takiej ludzkości, której służyć warto. A potem, polubiłem religiję i moralność, których Biblija jedyną jest podstawą; uwierzyłem w Pismo święte dosłownie.

Przyjaciele, to jest kwakrzy wychodzą z téj zasady, że każdy człowiek szczerze pragnący wejść w związek z Bogiem, może dopiąć łaski objawienia, do czego już w duszy ludzkiej rzucony jest zaród nie raz się ukazujący pomimo-wolnie prawie u każdego człowieka w jakichś szczęsnych wyjątkowych chwilach.

Kwakrzy, mój bracie, nie mają duchownych; schodzą się oni o pewnej godzinie dwa razy na tydzień do swoich kościołów, w których nie ma

ani ołtarza, ani kazalnicy, ani żadnych obrazów lub wyobrażeń. Całemi sprzętami takiej świątyni są ławki, na których *przyjaciele* siedzą w milczeniu z nakrytymi głowami, rozmyślając o religijnych przedmiotach, patrząc w górę w jedno miejsce, oczekując, dopóki Duch Święty jednego z ich grona nie natchnie. Kto w sobie obecność ducha poczuje, daje o tém znać głębokim westchnieniem, i powstawszy z miejsca, objawia słowami natchnione myśli.

Kobięty także bardzo często nawiedzane są natchnieniem przez Ducha Świętego, i nawet wzbijają się aż do prorokowania jak Miriam, Debora, Hulda i Anna w Starym Testamencie.

Jednej niedzieli, kiedym jeszcze nie był kwarem, znajdowałem się jednakże po trzeci czy po czwarty raz na nabożeństwie *przyjaciół*. Wszyscy jak przyszliśmy do świątyni w milczeniu, jak siedliśmy w milczeniu z kapeluszami na głowie, tak téż pozostaliśmy w przenajświętszém milczeniu, odmawiając w duchu, bez książki, bez słów tylko uczuciem, modlitwę. Taką modlitwę my uważamy za dostateczną, nazywamy ją światłem duszy.

Pomimowolnie zatęskniłem do rodzinnego kraju, do prostego ale zawsze wymowniejszego obrządku wyznania mojego, przelewającego przynajmniej ogólnym śpiewem wtórowanym przez organy, uczucia swoje ku niebu.

Zatęskniłem do méj szlachetnej, pełnej poezyi i uczuć braterskich Litwy, i lzy puściły się rzęsystemi strumieniami z oczu moich, dawno niezraszanych tym dobroczynnym balsamem boleści.

Łkania tłumione przezemnie wyrywać się zaczęły konwulsyjną siłą z piersi moich, skromny przybytek odbijał ich echo, i oczy *przyjaciół* pogrążonych w religijném rozmyślaniu, zwróciły się ku mnie z wyrazem szczerego współczucia.

W tém ozwał się ciężki, głęboko z piersi wyrwany jęk: mniemałem, że ktoś ze zgromadzenia naszego omdlał. Wstaje jakaś jeszcze dość młoda, wysoka, jasnowłosa i modrooka kobiéta, i wszyscy się zrywają z ławek odkrywając głowę.

— Ojczyzna chrześcijanina tylko w niebie— zawołała owa kobiéta głosem jęklwym, i na ten

temat wytacza całe kazanie nie z zapalem, nie ze znajomością sztuki kaznodziejskiej lub krasomówstwa, lecz głosem przewlekłym, jękającym się, a jednak nie lękliwie i z tak przyjacielską słodyczą, z tak poczciwą wiarą w dobroć swych pięknych chrześcijańskich myśli, które czerpała w swój duszy, oczy mając zwrócone ku niebu, że ani chwili nie wątpiłem, iż te proste nieudolne słowa malujące tak piękne myśli, były istotnie wynikiem wyższego natchnienia.

A to całe kazanie, które brzmieć będzie w mych uszach aż do ostatniej chwili życia mojego, to całe kazanie Wielki Boże! jak gdyby umyślnie do mnie było zwrócone, dla mnie powiedziane, spadło jak balsamiczna rosa na moje stęsknione, krzepnąc zaczynające i więdnące serce.

A to całe kazanie, które trwało więcej godziny, budziło duszy mojej zaklęte siły i krzepiło moc ciała od tak dawna, od urodzenia schożalego, nękanego, ranionego!

I z każdą chwilą uczuwałem w sobie większego ducha, większą wiarę w pomoc Boga,

w miłosierdzie wiecznej opieki czuwającej nad każdym stworzeniem.

Błoga ufność w lepszą przyszłość dla mnie i dla tego wszystkiego co szczerze kochałem ogarnia mnie, owładywa, unosi. Uwierzyłem, że człowiek przeżywszy najpiękniejsze lata życia płonnie, płocho, bez celu, może jedném silném postanowieniem z pomocą Boga wyrwać się z toru życia wadliwego, i rozpocząć żywot godniejszy swego przeznaczenia.

Ona skończyła, — usiadła jak automat, który przestał być ożywionym. Ona usiadła, i spoglądała w próżnię obliczem swém spokojném, wyrazu łagodnego, miłego ale bynajmniej nie klasycznie pięknego.

A gdy skończyła, żaden się nie ozwał szmer zadowolenia lub potępienia, milczenie panowało; powiedziałbyś że wszyscy starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety jesteśmy uczniami Pitagorasa, odbywającymi pierwszą próbę milczenia.

Tak siedzieliśmy z pół godziny, pogrążeni w religijnych rozmyślaniach; zdawałoby się, że duch ziemi zawiesił w ciałach naszych działanie swoje, bo żadnego z żywotnych spraw do istno-

ści ziemskiej przykutych, nikt z nas nie dawał oznaki. Nikt z nas nosa nie otarł, nikt z nas nie zakaszał, nikt z nas może nie odetchnął.

Co mówię?... możemy wszyscy znajdowali się wówczas w owym stanie religijnego zachwycenia, w którym się nie czuje, nie dyszy, nie żyje, — lecz myśli, lecz kosztuje przedsmak nigdy nieustających roskoszy nieba.

I ja także siedziałem jak odrętwiały, nie przeczuwając co mnie spotka wkrótce, nic nie przeczuwając, że chwil tych odgłosy tętnić będą przez lat blisko czterdzieści, dźwiękami nie-dożnanego nigdy wprzód szczęścia.

Otóż, usiadłem razem z innemi, i milczałem.

Na raz, wyrywa się z mych piersi głębokie westchnienie, wznosi mnie na nogi, i kładzie mi w usta, najpyszniejsze kazanie na temat: „Boże! podaj mi rękę, abym mógł chodzić po wzburzonych falach oceanu, i nie lękał się głębi pod mojami stopami.“

Więc mówię, i sam sobą się zachwycam, bo nigdy w życiu mojem tak jasno nie widziałem, i tak pięknych nie znajdowałem wysłowień na oddanie méj myśli. Więc mówię przez godzinę

Możemy być walcami - życie dobrego z zera, z zera z zera - z tego człowieka; pomimo, że nie ma ani ciała, chociaż nie chce sportować się z tymi, którzy grzechy, ale to jest ewangelizacja, zrzucić ją o jakejś imię sobie, i nie być w tym. Nic nie zależeć, podobnie, jak nie ma zależeć do jakejś dawnej, i nie być w tym. A to jest do tego

stopnia, że są
głównie za handlowe
wtedy, do przysięgi
ojej imię, i nie
w Konwencji, i nie

Możemy być
godzinie, i nie
na lawce, i nie

Albo, w tym
uwierzyli, i nie
zli młodzi, i nie
skiego, i nie

Ale, i nie
przez, i nie
właści, i nie

Miał, i nie

W tym, w tym
w tym, i nie
w tym, i nie
w tym, i nie

W tym, w tym
w tym, i nie
w tym, i nie

W tym, w tym
w tym, i nie
w tym, i nie

W tym, w tym
w tym, i nie
w tym, i nie

ci, bardzo znaczny majątek, zwłaszcza śliczną
papiernią nad cudnymi brzegami rzeki Klajdy;
była zaś okazale wysoka, i na świeżem licu swo-
jém ujmującej słodyczy nosiła uroki. Ile zaś do-
broci znalazłeś w jéj sercu, tyle roztropności
w głowie.

Więc, wyznam, zem się niedługo wahał:
zdjąłem kołpak i dolman, przywdziałem kape-
lusz z szerokimi skrzydłami i szaraczkowy frak.
A wąsy zgoiłem; bo jeszcze nigdy nie widziano
kwakra z wąsami.

Ożeniłem się w roku 1814, mając wówczas
lat czterdzieści siedm; syna i dwie córki, dała
mi moja luba Miriam. Syn jest lekarzem mary-
narki królewskiej, i znajduje się obecnie w Indy-
jach Wschodnich, córki poszły za mąż i są ma-
tkami tuzina dzieci większych i mniejszych.

Moja Miriam umarła dopiero przed trzema
laty; przeżyliśmy z sobą lat trzydzieści pięć w ni-
gdy niezachmurzoném, skromném, poczciwém
szczęściu.

U nas wprawdzie nie ma owych uniesień,
które człowiekowi udzielają zabawy światowe,
zwłaszcza bale, koncerty, teatry, pólowania

i inne; ale u nas nie ma także próżniaków, nudzących się życiem; u nas nigdy nie ma tych zmartwień, które wynikają z omylenia się w zacności bliźniego; u nas nie ma kłamstwa, zdrady i oszukaństwa.

My szczęścia nie pojmujemy bez pracy, bez świadczenia dobrze, bez zabiegów dobroczynnych.

Przez czas mojego pobytu w Szkocyi, mianowicie pod Edyburgiem, gdzie leży moja posiadłość, prawie ciągle byłem w styczności z ziomkami. Od roku 1820 aż do roku 1829 bawił tutaj jeden z moich wujów, dość bogaty szlachcic litewski, który umierając w Edyburgu, ufundował w Uniwersytecie stypendium dla polaka uczyć się chcącego, zwłaszcza dla polaka protestanta.

Kilku polaków uczyło się bardzo pilnie we Wszechnicy edyburgskiej.

A potem, dwaj synowcowie moi, w których umiałem rozbudzić szczére zamiłowanie do pracy i do nauki. Jeden z nich został bardzo przykładnym kwakrem, objął zarząd mojej papierni, i wkrótce się ożeni z córką mojej pasierbicy;

drugiemu polotniejszemu umysłem, ciasno tu było w Szkocyi, pomiędzy nudnymi kwakrami, poszedł szukać szczęścia do Ameryki, i jestem pewien, że się dorobić może wielkiego majątku, jeżeli mu Bóg życia użyczy, bo jest bardzo świetnym mechanikiem, a terażniejszego świata życiem głównie maszyny pędzą.

Więc kochany ziomku, zestarzałem się na obcej ziemi, i dziś mam lat dziewięćdziesiąt sześć, a zatem zapewne bardzo blisko ostatecznego kresu życia ludzkiego dopiąłem. Tak! już nie wiele mi się należy, zdaje się; a chociaż jeszcze tkwi jakaś siła w nogach moich, i w rękach, i w oczach, i w uszach, i Bóg łaskawy jakoś nie odebrał mózgowi pamięci a sercu uczucia, żołądkowi zaś pozostawił dobry apetyt, a duszy chęć pozostania jeszcze cokolwiek dłużej wśród ukochanych mi osób, toć znowu z drugiej strony dziewięćdziesiąt i pięć lat nie fraszki, zwłaszcza dla człowieka co przez lat czterdzieści siedm ciągle był ranami częstowanym pod każdym klimatem i prawie w każdej kampanii.

— Wprawdzie historia polska, angielska

i szkocka przytacza przykłady dziwnej daleko posuniętej długowieczności, ale przecież wszystkich znanych mi od młodości ludzi, znowu nie chciałbym przeżyć. Już i tak z tej przyczyny wiele zniosłem zmartwień. Wszyscy bracia moi byli o wiele mocniejsi ode mnie, żaden z nich nie służył w wojsku ani w górnictwie, ani też żadnemu innemu niebezpiecznemu lub mozolnemu nie oddawał się zawodowi, a jednakże *ja*, tyle razy ranny, zniósłszy tyle biędy, *ja* wszystkich swych braci, wszystkie siostry swoje przeżyć musiałem, i sam jeden z liczego rodzeństwa patrzę na tyle mogił.

— I przeżyłeś starsze i młodsze, i mocniejsze i słabsze pomimo ran i więzień?

— Przeżyłem, z liczego rodzeństwa pozostałem jedynym.

— Ach! zdawałoby się, że w tej Szkocyi leżą jakieś nieodgadnione zasoby długowieczności, które klimatem wcale usprawiedliwić się nie dają. Starcy stuletni jeszcze czynni i zdrowi są tutaj bardzo częstym zjawiskiem.

— Mówisz o zasobach długowieczności tkwiących w tym tu kraju? Klimat tutejszy nie

jest lepszym od litewskiego; owszem, może nawet gorszym, bo kraj ten prawie ciągle zalegają mgły budzące smętność w umyśle. Ale w tym kraju ludzie umieją żyć, umieją być staremi i umieją szanować starość, i głównie dla tego żyją tak długo. Tutaj w Szkocyi starcy nie są targani niewłaściwemi wiekowi swojemu namiętnościami, nie puszczając się na sprożność, na obżarstwo i pijaństwo. Rodziny i współobywatele czczą naszych starców, którzy jeszcze w bardzo podeszłym wieku dochowują umysł poetyczny, jędrne i litościwe serce, wesoły humor i zastanawiającą pamięć. U nas starcy nie gorszą mową i czynem, lecz zagrzewają młodszych przykładem i radami do wytrwania w trudnej wędrówce życia.

— Och! tak mój dobry ziomku, rzecze nasz stary kwakier żegnając się ze mną, — tutaj w szczerze religijnej, szlachetnej Szkocyi i starość nawet ma swoje uroki. Można nawet powiedzieć, że zdrowy, wygodnie żyć mogący i moralny człowiek żyć dopiero zaczyna w starości owém swobodném życiem, w którym odpo-

czynek jest dozwołonym, w którym rozrywki umysłowe największej nabierają wartości.

Ha! i w naszym kraju niegdyś czczono starców, nie stroniono od ich towarzystwa; to téż warto było starzec się. Ale teraz?—podeszłych starców już może nie ma w naszym kraju, kiedy wszyscy świadkowie lat dziecinnych moich już wymarli, a tutaj jednakże, nawet w miastach fabrycznych niesprzyjających długowieczności, znajduję ludzi o kilkanaście lat odemnie starszych, a nawet w Londynie, w owym nowożytnym Babilonie znalazł się człowiek, który żył lat dwieście siedm, który się urodził, żył i umarł w parafii 3-go Leonarda; mówię o sławnym Tomaszu Caru.

— Niech mnie pan Bóg broni od tak długiego życia; nie chcę ani sam siebie, ani wszystkich swoich przyjaciół z dziecinnego wieku przeżyć.

— Najgorzej przeżyć samego siebie, ale to trudno w tym tu kraju, w którym wszystko jednostajnie naprzód postępuje, i dźwiga z sobą maruderów nie mogących o własnej sile wydołać biegowi postępu.

— Ha! to jeszcze może jest pociechą, że

człowiek szczerze i cnotliwie postępowy a nie-
pojmowany, szybko umiera w innych krajach, że
nie długo cierpi.

— Ale to bardzo smutna pociecha!

— Kiedy innéj tam nie ma mój staruszk.

ROZDZIAŁ II.

Samoludy.

W powrocie ze Szkocyi do Anglii zawadziłem o pograniczne miasto Carlisle, którego nazwisko budzi miłą pamiątkę w uszach historyka, tu bowiem nie raz ważyły się losy Piktów, Kaledonów, Duńczyków, Rzymian i Normanów, a starodawne pamiątki rozsiane w poblikości, świadczą, że w tym kraju już były ogromne zamki w gruzach w chwili, gdy tutaj rzymskie orły zaleciały.

Chciałem zwiedzić wały Rzymskie i wały Piktów, chciałem drżyć na widok olbrzymich ołtarzy Druidowskich, chciałem płakać w zamku,

w którym więziono nieszczęsną królowę Maryją Stuart po jej ucieczce ze Szkocji.

Ale nic z tego na nieszczęście w tym dniu nie można było zrobić, bo źle obrachowawszy wprzód czas, stanąłem w Carlisle właśnie w chwili gdy się poczynała Niedziela; w Niedzielę zaś jako w dzień przeznaczony na chwałę Boga, nie można oglądać pomników i zwalisk; w Niedzielę, trzeba koniecznie iść do kościoła, albo przynajmniej zatrudniać się czytaniem Pisma świętego.

— Nawet podróżować nie można w Niedzielę: poczta nie idzie; nawet telegrafy zatrzymują się o północy w Sobotę, i wiadomość będzie podaną dalej, dopiero w dwadzieścia cztery godzin; a w bardzo wielu dobrze myślących domach, tak jak naprzykład w naszym, nie rozpała się na kominie ogień, tak, że się zadawałniać trzeba zimnym mięsem i herbatką ugotowaną przy lampce spirytusowej.

To wszystko opowiedział mi Mister But, właściciel hotelu pod Gęsią i Capem, w którym stanąłem w Carlisle, najwięcej dla tego, że mi te godła przypominały odległy kraj północny, i mia-

sto, w którym wznosił się pałac pod temiż samemi godłami.

— A więc objaw życia materyjalnego ustaje u was z poczęciem się Niedzieli. Powiedz mi panie But, czy przestają także cierpienia ciała, i czy w tym błogim dniu lekarz może wytchnąć, i wolny od wyrzutów sumienia, czy może spoczywać przez dzień cały na swych wawrzynach i funtach szterlingach zdobytych przez tydzień? Oh panie But, synu mężnej Kaledonii i właścicielu hotelu pod Gęsią i Capem, odpowiedz mi na te pytania, mnie lekarzowi polskiemu i zarazem zwolennikowi Walter-Skota, Burnsa i uczuciowej szkoły jezior.

Rozrzewnił się pan But, i rzekł:

— Nie! przyznam się że choroby nie ustają w Niedzielę, ani nawet żadne fizyczne bóleści. Bóg w swém nieskończoném miłosierdziu nie przestaje nawiedzać dzieci swoich chorobą, a to dla tego, iżby mógł wypróbować ich wiarę i odwagę. Chorzy i cierpiący nie śmia w tym świętym dniu odrywać lekarza od czytania Biblii, śpiewania mszy, słuchania kazań i odmawiania pacierzy; i żadenby téż z naszych leka-

rzy w Carlisle za żadne pieniądze nie ruszył się na wezwanie chorego, nawet doktor Diuwoł, który jest francuzem a nawet katolikiem.

— Francuz co się zowie tak grubo? *Diuwoł*? to być nie może, chyba że się pisze Duval, i wymawia po francusku ładnie i delikatnie Duval.

— Jak się tam ładnie i delikatnie po francusku wymawia tego nie wiem, i wiedzieć tego nie potrzebuję, bo nam własny język wystarcza, odpowię pan But; — ale to wiem, że się po kumberlandzku wymawia Diuwoł, i że się angielskimi bogaci funtami.

— Powiedz mi panie But, czy ten doktor Duval nie ma przypadkiem głębokiej szramy na głowie, przytém czy nie jest brunetem z niebieskimi oczyma, średniego wzrostu, więcej krępy jak wysmukły, lica rumianego, nadzwyczaj wesoly i lubiący zabawiać towarzystwo figlami kuglarskimi z nadzwyczajną zręcznością wykonywanemi.

— Oto kubek w kubek ten sam, takeś go pan opisał jak naturalista węża lub krokodyła. Przytém dobry sobie człowiek, ale *katolik* i do

naszego kościoła nie chodzi, nawet w kaplicy katolickiej wzniesionej temu lat kilka przez katolicką Lady Hamilton nie często się jawi.

— A więc to ten sam; a więc to mój ziomek Kazimierz Duval, urodzony z matki szlachianki polskiej a z ojca guwernera francuskiego. Powiedz mi panie But, gdzież mieszka doktor Duval?

— Na południowym końcu miasta, stąd o dwie mile angielskie, przy ulicy Lancaster pod numerem takim i takim.

— To za daleko na pieszy spacer; kaź mi pan przywołać dorózkę.

— W Niedzielę nikt nie jeździ w naszym pobożnym mieście.

— Więc mi pan daj przewodnika żeby mnie zaprowadził.

— Nie można; w tych godzinach każdy powinien być w kościele lub nabożeństwem zajęty.

— A więc jakim się dostanę sposobem do mieszkania kolegi i ziomka mojego doktora Diuwoł?

— Ubierz się pan przyzwoicie w czarne su-

knie, weź książkę do nabożeństwa pod pachę, idź prosto tą ulicą ku południu, i wszystkich przechodniów pytaj o drogę do kościoła świętego Leonarda, gdzie za pół godziny kazać będzie wielebny Mac Maikel, kościoła anglikańskiego wierny boży sługa. Dwieście kroków od tego kościoła mieszka doktor Diuwoł. Ale włosy pan uczesz na *be mol*, twarzy zaś swojej zanadto światowój nadaj wyraz skromny, pobożny i skruszony. Pobożni ludzie wskażą ci drogę z grzecznością. Good by'e.

Więc ubieram się w czarne barwy, włosy czeszę na *be mol*, układam fizyonomiją na ditto, biorę książkę do nabożeństwa ze złoconemi brzegami pod pachę, kapelusz wsadzam na tył, aby wyglądać gapowato, i ruszam ku południu.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!

* * *

Jesteśmy w wzajemnych objęciach.

— Teodorze!

— Wojciechu!

— Jaki dziwny przypadek?....

— Jakie szczególne zrządzenie losu?...

— Buteleczkę Xeresu?...

— Nie! najprzód kieliszek narodowego Whisky, bo djable słotno na pograniczu Szkocyi i Anglii.

— Nie! napatrzyć ci się nie mogę, wskrzesz mi w pamięci tylu lat zapomniane już akorda!

— Polykam cię oczyma, jak tyś zmężniał i wypiękniał.

Uspakajamy się nareszcie.

— Zapoznaj mnie z domem twoim Wojciechu.

Przed domem ogródek kwiecisty. Za domem ogród warzywny, sad, stajnie i obory, na pierwszym piętrze pokoje mojej żony, dzieciarnia i salon; tutaj moja sypialnia, parlour, gabinet doktora, jego muzeum i laboratoryjum chemiczne; na dole w suterrenach kuchnia, spiżarnia, izby dla czeladzi i piwnica; oto i wszystko, zwyczajnie jak w domu angielskim.

— A więc jesteś żonatym i ojcem.

— Albożbym tu zostawał gdybym nie miał żony, trojga dzieci, majątku i doskonałej praktyki?

Przedstawię ci żonę skoro wróci z kościoła. Dziś Reverend Dundonnald, nasz kuzyn, ma kazanie w kościele prezbteryjańskim Wszystkich Świętych, stąd o trzy mile; pojechała tam, ale mamy dużo czasu wolnego, możemy się wygadać z sobą, opowiedz jak i co, skąd i dokąd?

— Mówiłeś o muzeum, pokaż mi je przede wszystkim; wiesz ile się kochałem w płodach natury, i pozostałem wiernym dawnemu ulubieniu.

Idziemy do muzeum doktora Duval.

To co w Anglii i w Szkocyi chodzi na nogach, to co lata na skrzydłach, to co pełza, czółga się i wlecze, to co pływa w słodkich i słonych wodach wielkiej wyspy, to co rośnie na ziemi, i co nie rośnie a we wnętrzu ziemi zawarte, wszystko to znalazłem w podręcznym muzeum ziomka mojego ustawione w tak pięknym i zarazem uczonym porządku żem zdumiał i przejęty uszanowaniem, skłonił się przed kolegą swoim o rok tylko odemnie starszym.

— Nie mnie się należy zasługa tego zbioru, mój Teodorze, rzeczy z nieudaną skromnością

Wojciech Duval, — lecz teściowi mojemu, który przez lat trzydzieści uprawiał medycynę w tém miejscu, i ojcu jego dawnemu marynarzowi królewskiej floty, niezmordowanemu naturaliście, tę zasługę przedewszystkiém posiadającemu, że w jedynym synu swoim wzbudził zamiłowanie do nauk przyrodzonych, i że go wykierował na dzielnego lekarza.

— Teraz pojmuję mój Wojciechu. ależ na miłość Pana Boga i wicehrabiego Buffona, cóż znaczy ten zielony kot, który tutaj pomiędzy ryśiami i żbikami figuruje pod szklannym dzwonem wielkiej wartości i objętości. Zdawałoby się, że to kot angora taki ma wzrost duży, sierć bogatą i długą, ale barwę zieloną? tylko ptakom, roślinom, owadom i szmaragdom Jaskawa natura kolor nadziei udzielić raczyła, a tu widzę *kota*, zwierzę drapieżne i podstępne, ubrane w barwę życiodawczego przymiotu, który z puszeki nieostrożnej pandory uciec nie zdołał, i nam pozostał biédnym ludziom, cieszącym się nią częstokroć aż do ostatniej chwili życia. Ach nadziejo! jedyne szczęście głupich ludzi! Zielony kocie czy ty barwą swoją śmiesz urągać się z nas?

— To farbowany kot, mój kolego, nie entuzjastycznie się po prostu, rzecz jasna, Woj-

— Farbowany kot? i tutaj w tym świętym

ku naturalnej prawdy i aktywności

— ? i to jest dla honorów i

szn, i kóbrę i gę i uszto wać

— ó farbowa i linow jezeli

— Ten zielony kot jest twórcą

— i nie ten, który w tym zapier

— gim jak i w rodzaju zeni

— mo ego i? był g weni

— czy się r i eń i wysokie

— zupełnie i ku wziął dzo

— i szlach i wstąpiła

— i ożyw i go sobie rła

— i owa i i arka i wiś i

— i Wona i i i koczam o

— i w i i i szczala i admo

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

— i i i i i i i i i i i i i i

petytorem piętnastoletnich tępych jak cepy drabów dla wylamania im języka do francuzczyzny, którą mi ojciec wykładał w sposób doboszowski nieraz pięściami, a nawet w razie koniecznej potrzeby, pałeczką. Bięda u nas była, bięda okropna. Szachrajom, którym się udawało, wybaczano, nawet ich ofiary im wybaczały w nadziei, że takich wybrańców losu czasem jakieś pijackie, przechodnie usposobienie natchnie do wyświadczenia *jakiegoś dobrodziejstwa* swój dawniej ofierze; ale człowiek pracowity, chcący zdobyć poczciwym mozolem jakiś kawałek zasłużonego chleba! Panie Boże! takich po prostu uważano za niedołęgów, za ludzi odartych z genialności, z owój prawdziwej zdolności co zniewala los do służenia człowiekowi. Więc Teodorze! wiesz że w okrutnej biędzie wychowywany byłem w szkole, do której uczęszczaliśmy razem, i przypominasz sobie ile musiałem znieść upokorzeń za *to*, że ojca mojego podczas jarmarku w Kaliszu widziano sprzedającego na wozie owoc ziemi wyciśnięty twardym znojem. Szydzono ze mnie, z eleganckiego francuzika, syna takiego gbura, który nauczywszy się mówić po polsku,

nie mógł zapomnieć swego francuskiego wykrzyknika: *fichtre! bougre!*

Potém, rzucony w odległą stronę, zawitałem do kraju przodków moich, i wziąłem się natychmiast, korzystając z danych nam ułatwień, do nauki medycyny. Nie długo trwały te ułatwienia, dowiedziano się nie wiem jak, żem jest synem syna właśnie téj ziemi, na którą rzucony zostałem, i powiedziano mi, że syn francuza nie ma prawa do dobrodziejstw i jałmużn udzielanych tylko cudzoziemcom. Trzy lata strawiłem jednakże na uniwersytecie paryskim, i doskonale przypilnowałem nauk, zwłaszcza anatomii. Potém jednakże wyzuty z owych ułatwień, opuściłem kraj przodków moich, i w zimnej Szkocyi, dokąd mnie zwabili inni koledzy, szukałem przytulku i współczucia. Znalazłem jedno i drugie, dzięki dawnym stosunkom z niektórymi wysoko stojącemi ziomkami. Dzięki różnorodnym wsparciom i lekcjom anatomii prywatnie udzielanym, mogłem kończyć swoje lekarskie nauki; a w roku 1836 zostałem doktorem medycyny Wszechnicy Edyburgskiej, i znów nie wiedziałem co mam z sobą czynić, bom jako doktor

medycyny, gdy nastaly wakacje i uczniowie sie rozjechali, znalazl sie biedniejszym jak kiedykolwiek, prawie zupełnie ogołoconym ze środków istnienia.

Przyjęto mnie jednakże za człowieka *bezpłatnego*, klubu Eskulapa, tak świetnego w Edyμβurgu jak może nigdzie w świecie; bowiem jeden z wielkich lekarzy tego miasta umierając bezdzietnie, zostawił prawie cały swój majątek na założenie tego klubu, na utrzymywanie w nim sześciu edyμβurskich doktorów pokarmem duszy i ciała przez rok jeden. Wybrano mnie na jednego z tych sześciu, i korzystałem z biblijoteki, z czytelni, ze śniadania, z obiadów i kolacyj, z nadzwyczajną gorliwością wywdzięczając się szanownemu towarzystwu co dwa tygodnie odczytaniem jakiej rozprawki medycznej, lub zostając w związku mniej więcej bezpośrednio z nauką medycyny.

Jakiś ze starszych członków medycznego klubu upodobał mnie sobie, i często mnie rozpytywał o to i owo dotyczące się nowych dzieł medycznych w różnych językach pisanych, a które wszystkie posiadaliśmy w klubie naszym.

Już wówczas nie źle mówiłem po angielsku, i trawiając czas najwięcej na czytaniu, byłem w stanie zdawać sprawę ze wszystkich nowości lekarskich, wyrastających szybko jak grzyby z różnych punktów Europy i Ameryki wśród ludzi szczerze się starających o postęp.

Stary lekarz, który nawet nie był doktorem medycyny, tylko prostym *Physician*, to jest medykiem nie na łacinie uczonym....

— Aleś mi miał mówić o zielonym kocie, odbiegasz kwestyi, potem będziemy mówili o starym lekarzu,.... zarzucę koledze Wojciechowi.

— Ach prawda! odpowie doktor Duval, — więc zaczynajmy mówić o zielonym kocie, czyli raczej mówmy dalej o starym fizyku, bo on dał powód do wynalezienia kota zielonego, bez którego nie posiadałbym ani domu, ani żony, dzieci, praktyki i dwóch włók pola, wydającego mi corocznie z trzysta funtów czystej intraty.

Przez kilka tygodni czy przez miesiąc badał mnie o to i owo ten niedoktoryzowany ale doświadczony i wielkiego szacunku godny kolega. Ja sam bardzo go polubiłem za jego widoczną przychylność względem mnie, i za szczerę zami-

łowanie do nauk, tlejące jeszcze żywym płomieniem w tym wysłużonym synie Eskulapa, często z nim przegadałem po parę godzin, przechadzając się po ogrodzie botanicznym, lub téż po cudnych okolicach Edyburga.

Z postępowania jego odgadywałem, że mnie nie bez przyczyny tak bada i egzaminuje, i że zapewne jakiś mi przedstawi interes lub jakąś mi zrobi propozycją.

Nie myliłem się bynajmniej; jednego bowiem razu zaprosił mnie do siebie na herbatę, i wszczął rozmowę o hallucynacjach, (a) o samoludach, to jest o stanie chorobliwym, w którym człowiek widzi lub słyszy, lub czuje, lub smakuje, lub wacha przedmioty wcale nie istniejące, to jest o stanie chorobliwym, w którym człowiek odbiera sensacje zewnętrzne bez fizycznych wrażeń.

Temat ten nadzwyczajnie zajmował mego szanownego kolegę, wypytywał się z nietajoną

(a) *Hallucinare*, mylić się. Wyrazu polskiego na *hallucinatio* nie mamy. Wyraz przezemnie ukuty *samoluda* zdaje się odpowiadać doskonale przyrodzie rzeczy, i warto go przyjąć aż ktoś wymyśli lepszy. P. A.

skwapliwością drząc prawie ze wzruszenia, czym już kiedykolwiek miał sposobność leczyć lub przynajmniej widzieć osobę, której umysł pozostał pod zaklęciem hallucynacyi, to jest samoludy.

— Nie tylko jedną osobę hallucynacyjami dręczoną widziałem, lecz może ze trzydzieści— odpowiedziałem panu Modestly.

— A gdzież je widziałeś doktorze?

— Na świecie, ale największą ich liczbę spotkałem w szpitalach obłąkanych, zwłaszcza w Salpêtrière, w Bicêtre i w Charenton.

Pan Modestly zbladł, i z zafrasowaną miną spytał:

— Więc myślisz doktorze, że hallucynacje koniecznie prowadzą do obłąkania?

— Nie koniecznie, niechże Pan Bóg broni. Są przywidzenia i hallucynacje i samoludy, z których doskonale wyleczyć można. I tak na przykład, wyleczyłem urzędnika sądowego, zrezygnującego człowieka bardzo uczciwego i pełnego zdolności, który przez ciąg dwóch lat mniemał, że jego żołądek jest ze szkła, że jest po prostu gąsiorem próżnym ciągle wołającym: „wlewaj

we mnie wino, napelnij mnie bo mi sucho, bo pękne, bo się rozsądę, natura nie cierpi próżni, ola Boga!“ A jak chronił swój żołądek przed wszystkimi koło niego przechodzącymi? Odganiał ich, ręką zasłaniał żołądek już prócz tego blachą obwarowany, z bojaźni żeby mu go nie stłukli. W tym razie samoluda była podwójną przez czucie i przez słuch; a jednak lubo od dwóch lat trwała, nie ovladnęła umysłu ani szaleństwem, ani niedoleżnością, i ustąpiła po użyciu moich środków.

— A jak przeprowadziłeś tę kuracyją doktorze? zapyta z natężoną ciekawością kolega Modestly.

— Użyłem go z mańki; zaprzyjaźniłem się z nim, i udając że wchodzę w jego położenie, że wierzę w żołądek szklanny, wywiozłem go podczas wakacyj w ustronie Francyi, gdzie tylko ze mną i z ludźmi przezemnie podmówionemi mógł pozostawać. Tam go poiliśmy winem i wódką zaprawioną małutkimi dozami doskonałej emetyny, i do tego stopnia obrzydiliśmy mu wszelki trunek, że się pacjent wyrzekł wszelkiego innego napoju oprócz wody, wkrótce wró-

cił do zdrowia, i teraz się śmieje ze swego dziwnego przywidzenia. Wprzód dawano mu narkotyki, antispazmotyki, derywancye i rewulsywa bez żadnego skutku.

— A zatem monomanija pijacka spowodowała całą chorobę, rzecze pan Modestly.

— Nic innego; trzeba było dojść do gruntu rzeczy, i uderzyć gwóźdź w sam łeb.

— Jednak widać, że pomimo zdolności jakie mu przyznajesz, słabą musiał mieć głowę twój pacjent; ludzie z tęgim umysłem nie podlegają zdaje mi się hallucynacyjom.

— Mylisz się mój szanowny kolego. Świeny Pascal widział ciągle przepaści przed swemi stopami. Sławny Cardan wszędzie się czuł otoczonym wonią niebieskiego kadzidła, i oszalał w skutek mocy odurzających, a przecież zupełnie urojonych kadzideł. Wielki wieszcz Torquato Tasso słyszał bezprzestannie grobowe dzwony, i codziennie przez godzin kilka rozmawiał ze swym genjuszem opiekuńczym (a), którego wcale nie było. Pułkownik Rastanier, dziel-

(a) 'Théorie des songes par l' Abbé Richard.

ny weteran armii cesarstwa, ciężko ranny pod Mont-Mirail, żył jeszcze lat ośmnaście potem, a mniemał że jest umarłym. Gdy go się pytano o zdrowie, odpowiadał: „Stary pułkownik Rastanier już nie żyje, kula go zabiła pod Mont-Mirail. To co widzicie, to nie on, to fantom na jego podobieństwo zrobiony, i to bardzo lichy fantom.“ Nigdy, mówiąc o sobie samym nie powiedział *ja* tylko *to*. Ciało tego człowieka nie miało żadnego czucia, można go było szczypać, żgać i krajać nie sprawiając mu żadnej boleści. Na tém skończył, że w najzupełniejszą wpadł niedołężność umysłową. Inny jeszcze weteran żyjący w Salpetrière ciągle czuje, że mu pod koszulą biegają roje myszy, których złapać nie może. Inny znów bardzo świątły i dobrze wychowany ksiądz, ciągle słyszy jak go przezywają ludzie, jak mu grożą, że go za drzwi wypchną i pobiją. Żadne perswazyje temu biédnemu, z naukami przyrodzonymi obznajmionemu księdzu nie pomogły; na wszystkie argumenta odpowiadał: „Więc panowie, musiałbym także wątpić, że was widzę i słyszę.“ Inni jeszcze, z urodzenia głuchoniemi, słyszeli podczas zachwycenia

dziwne krzyki, hałasy, a nawet *wiersze*, które z największą biegłością spisywali, wiersze tak dobre jakich nigdy nie byli w stanie napisać w zwyczajnym *zdrowym* stanie umysłu. Niestety, że wszystkie hallucynacje wiodą do szpitala obłąkanych; nieszczęściem, że bardzo trudno z nich wyleczyć.

Zastanowiło mnie, że pan Modestly bardzo głęboko i boleśnie westchnął na to zakończenie, i natychmiast spytałem, że i on zapewne musiał mieć w kuracyi swojej osoby chorujące na samoludy.

— Tak jest istotnie, nie raz zdarzyło mi się widzieć i leczyć osoby trapiące hallucynacjami; wszakże są to mieszkańcy w bliskości Szkocyi, gdzie pomimo wysokiego rozwoju umysłowego trwa do dziś dnia i to w najlepsze, wiara w jasnowidzenie, w prorocтва, w duchy opiekuńcze i szkodliwe, jak w białe damy i w czarnych rycerzy. Owo poetyczne usposobienie Szkotów oparło się wpływowi wyznania Presbiteryańskiego na pozór tak zimnego, i nie dało się wykorzenić przez filozofiją Reida, już bardzo upowszechnioną w Szkocyi, a nieprzyjazną wszel-

kiój wierze w nadprzyrodzone rzeczy. Ale że poetyczni, milczący i częstokroć przez kilka miesięcy w górach swoich w zupełnej samotności żyjący Szkoci, wpadają w wizyjonarstwo, temu się dziwić nie mogę; to mnie tylko zdumiewa, że ludzie pod wszystkimi względami silni i trzeźwi rozumem, wpadają czasami w owe dziwnie chorobliwe usposobienie, w którym się widzi lub słyszy, czuje, wacha i smakuje rzeczy wcale nieistniejące. Znam trzy wypadki hallucynacyi wzroku, należące do tego rzędu, trzy przypadki samolud oka, które napadły osoby świetniejące intelligencyją i roztropnością. Niestety! ja nie byłem tyle szczęśliwym w kuracyi, ile ty mój młody doktorze i przyjacielu!

Coraz bardziej smutniał pan Modestly, a ja jakimś dziwnie jasnym przecuciem ożywiony, coraz bardziej nań nagliłem, aby mi opowiedział historyją choroby tych trzech pacjentów.

— Opowiem, chętnie naruszę dwie dawno zgojone rany i jedną jeszcze się jęczącą, bo w tém mam po prostu powiedziawszy ważny interes. Pierwszym samoludą którego znałem, był mój professor chemii, uczony pan Graham,

ozdoba fakultetu medycznego w Glasgowie. Mąż ten głębokiej nauki i genialnych pomysłów, oddany był całkiem nauce do tego stopnia, że cały swój czas przepędzał dosłownie albo na katedrze albo na posiedzeniach naukowych, albo też w swém laboratoryjum, urządzoném w wielkiej sklepionej izbie, do której światło dnia prawie nigdy nie wchodziło. Tutaj, w tym dawnym przybytku sławnego alchemisty margrabiego Shrewsbury, w Bogu spoczywającego od lat czterechset, uczony Graham urządził swe laboratoryjum, i tutaj korzystając z piecyków, przeniósł swoje retorty, kolby, rury, tygle, wanienki, gazometry, kondensatory, maszyny elektryczne i wszystkie przed laty czterdziestu w kuchni chemicznej używane maszyny, naczynia i sprzęty. Z trudnym do uwierzenia zapalem oddawał się nasz professor chemii doświadczalnej, nie jednym też wynalazkiem z bogacił naukę wyrostać zaczynającą z kolebki, dzięki odkryciom wielkiego i nieodżałowanej pamięci Lavoisiera.

Spostrzegliśmy, że od pewnego czasu professor Graham do tego stopnia oddawał się eksperymentacyjom chemicznym w swém labo-

ratoryjum, że nawet podupadł na zdrowiu i zaniedbywać zaczął swe wykłady, egzaminacje uczniów i posiedzenia naukowe. Widziano go zawsze roztargnionym, głęboko zamyślonym, zżółkłym, schudłym, i nie raz słyszano go przemawiającego do siebie samego, wyrzekającego na jakiegoś szatana który mu zazdrościł sławy, potęgi i majątku. Nie raz pan Graham zupełnie niespodzianie wykrzykiwał: „Oh przeklęty Shrewsbury! nie przeszkadzaj mi zazdrośniku!”

Zaczęliśmy się obawiać o zdrowie, nawet o rozum naszego uczonego, niedawno tak łagodnego profesora.

Jeszcze inna okoliczność budziła naszą uwagę: professor Graham dotychczas cokolwiek wolnomyślny, zaczął w Niedziele bardzo pilnie uczęszczać do kościoła i tam się spotykał zawsze ze mną, religijnie wychowanym młodzieńcem, i uchodzącym za jednego z pilniejszych i zdolniejszych uczniów. Kończyłem wówczas wydział lekarski i miałem uzyskać stopień licencyjata medycyny, najwyższy który można było uzyskać bez poprzednich nauk klasycznych, odbytych w fakultecie filozoficznym.

Więc razu pewnego wychodząc z kościoła, zaczepiony byłem przez pana Graham, i zapytany czy mu nie chcę pomagać w jego laboratorium przy dokonaniu nowego odkrycia, które świat cały zadziwi, i Szkocją postawi w rządzie pierwszych mocarstw świata.

Z największą ochotą przystałem na to, lubo już wtenczas przeniknęła mnie obawa, czy nasz professor z chemii nie wpadł przez jakieś zbłąkanie umysłu w alchemiją.

Kazał mi przyjść do siebie nazajutrz wieczorem i zapowiedział, że całą noc musimy przepędzić w laboratorium. Ale przedewszystkiēm prosił o słowo, że wszystko co zobaczę zatrzymam w sekrecie.

Przystałem na wszystko, i na trzy rygle zamknęliśmy się nazajutrz z professorem moim, w owém sławném laboratorium, do którego po raz pierwszy wstęp uzyskałem.

— Nie o fraszkę tu idzie, rzecz do mnie z tajemniczością professor, — i nikomu innemu tajemnicy téj nie powierzyłbym jak tobie; ale ty jesteś szczerze religijnym człowiekiem, nie zdra-

dzisz mnie, pomożesz mi w pracy, i jeszcze urokiem przywiązanym do szczerój, prawdziwój bogobożności, odganiać będziesz odemnie owego szatana, co mi ciągle szkodzi w mych pracach. -Więc słuchaj kochany mój uczniu, dociekłem ważnój tajemnicy, oto przekonałem się, że z naszój prostój ordynarnój gliny można wyciągnąć *srebro*, tak, *srebro* nie inaczej, metal biały, trwały, piękny, użyteczny i kosztowny jak *srebro* (a).

— Teraz byłem pewien że mój świątły profesor wpadł w monomanią alchemiczną i szczerze się zmartwiłem; ale darmo; zobowiązawszy się pomagać mu, zostałem i zaprząłem się do czuwania nad kilkoma piecykami i retortami, w których się topiły i destylowały różne preparaty.

Przekonałem się jednakże wkrótce o możliwości wydostania jakowegoś metalu z prostój gliny, i zadziwienie moje wzrastać zaczęło coraz z szacunkiem dla genialnego profesora, który wpadł pracą swoją na trop tak wielkiego

(a) Wiadomo, że z gliny zwłaszcza z feldszpatu, Wöhler wydzielił przed kilku laty metal nazwany *glin*, bardzo podobny do srebra, tylko daleko lżejszy.

odkrycia. Pracujemy w milczeniu i notujemy nasze spostrzeżenia.

Naraz zrywa się pan Graham, patrzy przed siebie oczyma, w których się malowała najokropniejsza trwoga i szalona złość, i krzyczy: „ha! przyszedłeś jednakże przekłety upiorze? nie bałeś się tego bogobojnego człowieka i przybyłeś straszyć mnie i przeszkadzać mi, i wyrwać mi moje zwycięstwo? Idź precz upiorze, wzywam cię na Boga!”

Przybiegam do profesora. Zimny pot wystąpił mu na twarz, konwulsyjnymi drganiem targaną, puls ledwo się domagać, oczy w ślup skierowane w jedną stronę.

— Nie widzisz go, nie widzisz? — krzyknie Graham. — Stoi tak jak go wymalowali tam na górze w sesyjonalnej sali z beretem doktorskim otoczonym margrabiowską koroną na głowie; w purpurowej todze gronostajami oblamowanej, i z retortą w ręku. Ha! margrabi Shrewsbury, w imię Boga znikaj, nie przychodź więcej i nie zazdrość mi tego odkrycia.

— Gdzie stoi? gdzie? — pytam profesora.

— Tutaj o pięć kroków przedemną, tu prosto przedemną.

Idę naprzód w tym kierunku, chcąc przekonać wizyjonyjusza, że nie ma przed nim.

— Ha! przeszedłeś go wskrós tak jak cień, ale on stoi,.... teraz za tobą stoi,.... teraz przedemną. Wracaj w tym samym kierunku,.... znów go przeszedłeś wskrós, ale on stoi i grozi mi palcem z zagniewaną bladą twarzą.

— Niech pan rusza na niego, zawolałem na profesora.

— Boję się.

— Podam panu rękę, razem z panem pójdę.

Zdobył się Graham na odwagę, idziemy naprzód ku mniemanemu upiorowi.

— Ha! w miarę jak postępuję naprzód, upiór usuwa się w tył, i pozostaje zawsze w tym samym dystansie odemnie,—rzecze Graham.

— Więc dotrzyjmy aż do muru.

— Upiór wsiąkł w ścianę.

— Obróćmy się teraz.

— Ha! znów upiór przedemną na pięć kroków.

— Dobrze więc, ja się postawię na jego

miejscu, pięć kroków przed panem, gdzie teraz upiór?

— Stoi na twojej głowie i jeszcze strasznie wygląda.

Z dobry kwadrans strawiłem w eksperymentacjach z tém widmem schorzałej wyobraźni, ale wszystko daremnie, przekonać mego profesora nie zdołałem, owszem, przecząc mu, do największej przywiódłem go złości.

Aż nareszcie pękać zaczęły niestrzeżone tygle, kolby i retorty.

— Otóż, jak od dwóch miesięcy w niwecz się obraca praca moja!— krzyknie biedny chemik,—otóż to skutki zazdrości tego szatańskiego margrabięgo, który przez lat czterdzieści smażąc w tém laboratoryjum nic nie odkrył, a teraz mi zazdrości sławy. Pójdź precz przeklęty margrabię Shrewsbury! idź do czarta!

— Nareszcie widząc że nic nie pomaga, nakłoniłem profesora mojego do napicia się narodowego Whisky, którego jako przezorny medyk, przyniosłem z sobą butelkę.

Pan Graham nigdy w życiu nie pił wódki, i ta, tak dobrze skutkowała, że widmo znikło i pro-

fessor w swym fotelu usnął. Odtąd miał lekarstwo, do którego się za nadto często uciekał, gdy mu widmo przed oczyma stało. Nareszcie, w skutek wzruszeń alkoholizacyi zapadł na zapalenie mózgu, i gdy się po bardzo długiej chorobie z niego wyleczył, wpadł w melancholiję, musiał wziąć urlop i wyjechać do wód mineralnych na ląd stały. Dopiero po roku wrócił do Glasgowa, gdy mnie już nie było; ale zaniechać musiał już prac swoich w laboratoryjum, wykladał swój kurs z daleko mniejszą gorliwością i zdatnością, nareszcie wpadł w monomanię religijną fanatycznój przyrody, i dostał obłąkania. Dość, że nasz świetny Graham, chluba Glasgowa, umarł w trzydziestym ósmym roku życia w domu waryjatów.

Oto pierwszy przezemnie spostrzeżony przypadek hallucynacyi; ale drugi przezemnie spostrzeżony i leczony, jeszcze mnie bliżej dotknął.

Ksiądz Doudonnald, pleban naszój gminy prezbiteryańskiej, wychowany bardzo starannie w Aberdeen, był człowiekiem uczonym, dobrym i cnotliwym, wielkim rozumem obdarzonym, ale najzupełniej wyzutym, jak to sam przyznawał

z wszelkiej lotności wyobraźni. Szczytne obowiązki pasterza sprawował nie tylko z gorliwością, lecz nawet z owém ulubieniem człowieka zrodzonego do stanu duchownego, nie pojmującego nawet żeby mógł być czemsiś inném jak sługą ołtarza, katechetą młodzieży, sędzią polubownym i ostatnim przyjacielem każdego cierpiącego i umierającego.

Czcili go wszyscy parafianie; nie ożenił się, bo sprawując gorliwie, sumiennie obowiązki stanu swojego, nie miał nawet czasu myśleć o kobiecie, o domu, o wygodach i o doczesnościach własnego życia. Zdrowiem się cieszył wyborném, i codziennie kilkanaście mil angielskich przebiegał piechotą, odwiedzając chorych, cierpiących i nauki potrzebujących gminy swojej. Tak dożył do pięćdziesiątego roku życia swojego w pracy i w poświęceniu, i pewno nie myślał żeby coś nadzwyczajnego mogło go zaskoczyć, ani my téż, zwolennicy jego wyznania, tego nie przewidywaliśmy. A najmniej *ja*, jego poradca lekarski i szwagier, siostra bowiem jego była żoną moją.

Tym czasem Opatrzność chciała inaczej.

Jednego pięknego wieczora, przy świetle księżyca, ksiądz Doudonnald wracał piechotą od kolegi mieszkającego o kilka mil, z Carlisle, i słyszał lub téż mniemał, że słyszy jak za nim biegł pies, krok w krok za nim, i jak szczekał. Oglądał się za sobą, i nic nie widząc, szedł dalej najspokojniej w świecie. Jeszcze raz ozwało się szczekanie psa, mój ksiądz ogląda się i nic nie widzi. Kilka razy manilo go i prześladowało owo szczekanie psa tuż obok niego, coraz bliżej; aż nareszcie biedny pastor westchnąwszy szczerze i głęboko do Boga, i nic nie widząc, zawiązał uszy chustką i biegł naprzód potężnym krokiem.

Nie długo tak pędził naprzód, bo jawi się około niego ogromny jak cielę brytan, niebieskiej barwy, z oczyma jak głownie wytrzeszczonemi na twarz jego, i z ogromnym pyskiem ciągle zajadle szczekającym.

Bierze mój szwagier podróżny swój mocny kij w obie ręce, i nim uderza w owego psa, raz, drugi, trzeci i dziesiąty. Ale razy padają jak w powietrze, pies zaś ciągle w miejscu, coraz zdaje się większy, więcej niebieski i z wście-

klejszými oczyma. Więcej pięćdziesiąt razy, niebieski pies został tym sposobem na dwoje rozciętym, nic nie pomogło, pies stoi w miejscu, a ręce już bolą.

— A więc to jest złudzenie optyczne, nic innego, — rzecze do siebie ksiądz Doudonnald, i w tej chwili usłyszał łoskot delizansu dążącego do niedalekiego Carlisle. Zatrzymuje delizans, znajduje jeszcze jedno wolne miejsce, siada pomiędzy pięcioma nieznanymi mu osobami, zamyka oczy i chce spać.

Ale spać nie może, tylko otworzywszy po kilku minutach oczy, widzi niebieskiego psa leżącego na jego nogach i grzejącego je swém ciepłem.

— Czy mój pies panom nie zawadza? — zapyta się proboszcz swych współtowarzyszy, z ciekawości czy ta przekłeta sobaka jest widzialną dla drugich.

— Pies? jaki pies? żadnego psa tu nie ma, chyba się panu śni? — odpowiadają razem i kolejno wszyscy podróżni.

— Ach! tak, a tak, istotnie, śniło mi się o psie, wybaczcie mi państwo, — odpowie pastor

głosem jakimś dziwnie przestraszonym, i wszyscy podróżni nuż w śmiech i gadać sobie:

— Ha! ha! otóż skutki dobrej kolacyi i tego whisky, to nic więcej jak psia zimora w wódce czerpana.

Zgryzł kwaśne jabłko biedny pastor, zawiązał sobie oczy i uszy dwiema chustkami, żeby ani widział, ani słyszał; a jak wrócił do domu zmówił pacierz, położył się spać i—uczuł na nogach ciepły ciężar, a jak nogami ruszył, pies zawarczał. Zrywa się z łóżka, biegnie do okna, otwiera je, niebieski pies tuż obok niego, wspiera się przednimi łapami o futrynę okna i liże księdza po twarzy. Biedny ksiądz wraca do łóżka, nurza się pod kołdrą, dreszczów dostaje i usypia ze strachu.

Nazajutrz, już nic nie widzi i zdaje mu się, że istotnie za nadto pił herbaty z rumem u kolegi swego, i że go nagabywały jakieś zmyślenia rozmarzonej fantazyi. Wieczorem jawi się niebieski pies. Wówczas przybiegł do mnie zasięgać rady, pies za nim. Patrzę pacjentowi w oczy, może jakaś chorobliwa zmiana w systemacie optycznym. Nic a nic, a pies ciągle stoi przed

nim i wyperswadować nie mogę szwagrowi, że żadnego psa nie ma. Zapisalem na womity, nic nie pomogło ani to, ani żadne inne lekarstwo. Jedzie do Londynu. Lekarze posyłają go do wód morskich i w cieplejsze kraje. Pacjent wyleczony wraca, i na pierwszém kazaniu, na którem znajdowała się moja córka, jedyne dziecko moje; na piérwszém mówię kazaniu, biedny ksiądz w największym zapale mowy widzi niebieskiego psa, słyszy jego szczekanie i krzyczy: „przeklęty psie! idź sobie szczekać gdzieindziej, a nie w przybytku pańskim,“ a potém pada apopleksyją tknięty, i w dwa dni potém umiera. Oto koniec drugiej historyi samoludy przezemnie spostrzeżonej i leczonój; cóż ty powiadasz na to młody genijalny doktorze.

— Powiadam na to, — odrzeknie doktor Wojciech Duval, — że bylbym postępował inaczej, mniej farmakologiczno-medycznie, a więcej psychologiczno-medycznie, i to w jednym i drugim razie. Sztuka lekarska od pewnego czasu postąpiła. Dzięki umysłom na wielką skalę wykształconym, czerpie ona zasoby swoje z wszystkich innych nawet najmniej materyjalnych nauk, i

wcale inaczej stanowisko swoje pojmuje jak przedtém. Nie bierz mi za złe szanowny kolego, ale wyznać ci muszę, że w dzisiejszym stanie nauki lekarskiej możnaby wyleczyć takie przypadki hallucynacyi, jakich padli ofiarami pan Graham i ksiądz Doudonnald. Ale przedewszystkiém racz mi opowiedzieć historyją trzeciego, przez ciebie spostrzeżonego i leczonego przypadku samoludy. Czy się także tak smutno zakończył?

— Oh, Bogu dzięki nie! jeszcze żyje ten pacjent, jeszcze sztuka lekarska może na nim wykazać ową cudowną skuteczność. rzecze głębokim wzruszony uczuciem pan Modestly. Opowiem panu historyją téj choroby. Oto właśnie w chwili, kiedy wielebny Doudonnald dostał na saméj ambonie napadu, może w skutek za nadto wielkiego natężenia umysłu, i krzyknął jak szalony: „*idź precz niebieski psie! czekaj gdzieindziej!*“ w téj saméj chwili znajdowała się w kościele siostrzenica jego, a moja własna córka, moje jedyne, ukochane i największego ukochania warte dziecko. Ona, wówczas dziewiętnastoletnia panna z znakomitým ukształceniem

i najlepszém sercem, a z bardzo skromną wcale nierozbujalą wyobraźnią, do tego się stopnia przeraziła ową sceną w kościele, i następnie nagłą śmiercią wuja, brata zmarłej matki, którego bardzo kochała, że w głowę zaszła i dostała zapalenia mózgu, następnie wpadła w tyfus, leżała ze dwa miesiące bez przytomności, i nareszcie odzyskawszy ją, zobaczyła obok siebie zielonego kota ogromnej wielkości, który ciągle miauczał, darł się i chciał wskoczyć na jój łóżko.

— Zielony kot? a pfe! tylko żaby są zielone, papugi i koniki polne.

— Zielony kot barwy szmaragdowej, wielki jak żbik, z oczyma jak główne i z kłami, pazurami i wąsami nadprzyrodzonej wielkości. Otóż, takie dziwne zwierzę wymarzyła sobie w swoim delirium, a to widmo ani jój na chwilę nie odstępowało, tylko ciągle znajdowało się koło biédnej Anny na prawo i lewo miaucząc, mrując i parskając. Ten stan trwał ze dwa miesiące, dopóki trwała rekonwalescencyja niezwykle długa po tyfusie, a potóm gdy Anna już wstawać i do ogrodu wychodzić mogła, zielony kot jawił się rzadziej, ale jednakże kilka razy na

dzień i czasem tak niespodzianie, że pacjentka zrywała się równemi nogami z przestraczem, od którego jój serce biło jak młotem.

Sobie samemu nie zawierając, zasięgnąłem dla méj jedynéj córki rady najslawniejszych lekarzy Glazgowa, Edyburga a nawet i Londynu. Jedni zapisali chinę, drudzy żelazo, inni jeszcze bobrowy strój, wszyscy zalecali rozrywki i podróże, wszystko się przeprowadzało najsystematyczniej, nic nie pomagało, a można nawet powiedzieć, że podróże jeszcze pogorszyły stan, bo Miss Anna, skromnie i wstydliwie wychowana, lękała się ciągle, żeby w przytomności obcych ludzi nie dostała konwulsyjnego napadu trwogi, jak to nawet nie raz bywało.

A nakoniec stan Anny jeszcze się pogorszył, bo jakaś ją ogarnęła niewiara w swój własny rozum; wiedziała że zielony kot egzystować nie może na świecie i nie istnieje, wiedziała że jest ofiarą chorobliwéj samoludy, a jednakże pomimo najlepszego sądu we wszystkich innych przedmiotach, odpędzić nie mogła z wyobraźni, nudnego, ciągle ją ścigającego obrazu. Zdawało jój się, że jój władze umysłowe codziennie śla-

bną, róże znikły z jój niegdyś tak czerstwego li-
ca, oczy omdlały, rozpacz ją ogarnęła, chciała
koniecznie wrócić do domu i żyć w nim najzu-
pełniej samotnie, a ja przystać musiałem na
wszystko, bo najmniejszy opór stawiony jój
woli, martwił ją nadzwyczajnie i stan jój pogor-
szał. Już od roku żyje w zupełnej samotności,
zajmując się jednakże cokolwieczek gospodar-
stwem, schodząc czasem w dni słotne i nie bar-
dzo pogodne do ogrodu; czasem nawet pójdzie
do kościoła, gdzie siada w osobnym chórze; sło-
wem wpadła w stan melancholii z którego jój nic
wyrwać nie zdoła, i kilka, czasem kilkanaście ra-
zy na dzień widzi około siebie zielonego kota,
wygania go, nawet kiedy jest na osobności,
przemawia do niego zupełnie jak poczynająca
monomaniaczka raz płacząc, raz się śmiejąc;
dla tego widać tak lubi samotność żeby się nie
wstydziła tych rozmów prowadzonych z czwo-
ronożnym widmem.

A potem w chwilach wolnych od samoludy,
biędna Anna rozpacza o swój rozum i o swoje
życie i mówi do siebie: „Wujaszku Doudonnald
wkrótce się połączymy na tamtym świecie, je-

dniej choroby jesteśmy ofiarami; tylko ciebie pies do grobu zaprowadził, a mnie tam kot zaprowadzi. Dziwny los! brzydki, śmieszny los!"

I nie raz biédna Anna tak do siebie mówiąc, wybuchnie tak rozpaczliwym śmiechem, że mi się serce na jego odgłos kraje. A do tego stopnia lubi być samotną, że mnie nawet często wysyła w podróż za najmniejszym powodem, tylko dla tego, żeby mi nie zakrwawiała serca swym widokiem.

W krwi Doudonnaldów (o ile znam téj niegdyś bardzo zamożnej a zawsze rozsądnej rodziny od dwóch wieków historyją) nie tkwi żadne wrodzone usposobienie do hallucynacyi. Prócz poczciwego prezbitera żaden Doudonnald nigdy na samoludy, ani na żadną umysłową chorobę nie cierpiał. Cóż sądzisz o tém doktorze?

— Sądzę, — odpowiem staremu koledze, — że poczciwy prezbiter, dostał hallucynacyi w skutek zbytniego natężenia umysłowego, połączonego z zbytnią wstrzemięźliwością, i jestem pewien że Miss Anna dostała zapalenia mózgu, tyfusu a następnie obłądu umysłowego, jedynie

tylko w skutek zapatrzenia się na swego wujaszka, w skutek przestachu i zmartwienia spowodowanego, przez nagłą śmierć jego. Jest tutaj hallucynacyja wcale niezwykłej przyrody, bo połączona z niewiarą w to co się widzi, a co istotnie nie istnieje. Trudno jest wyleczyć z takich hallucynacyj, ale ja znam na nie sposób, tu trzeba leczyć ciało, umysł, duszę a nawet serce od razu.

— Serce, mówisz mój młody kolego?—odpowié na to pan Modestly,—serce? u niej serce nie przemówiło jeszcze nigdy, czyli raczej gdy jéj matka umierała, cztery lata temu, zezwoliła na zaręczenie się z swoim kuzynem Doudonnaldem, także bardzo poczciwym, bogobojnym prezbitem, i przyobiegała zaślubić go, skoro dojdzie do pełnoletności.

— Kto? czy skoro ona dojdzie do pełnoletności, czy téż on? — spytam pana Modestly.

— Ona, bo on to już Bogu dzięki dawno doszedł pełnoletności, ma już przeszło czterdzieści lat, na ten wiek już jest spokojnym, cichym, ustatkowanym, a to anioł nie człowiek.

— Masz tam tedy, anioł czterdziestoletni,

w czarnej todze i z białą fryzą, przytém cichy, wstydlivy i zapewne tabaczkę zażywający, jak wypada na duchownego prezbiteryańskiego.

— Istotnie tabaczkę zażywa, orzeźwia to pocziwca, bo często zatopiwszy się w religijnych myślach, usypia sobie snem sprawiedliwego tak głęboko, że aż zazdrość bierze.

— Ach! pojmuję, mój dobry kolego Modestly, to musi być bardzo miły człowiek, zwłaszcza dla kobiety religijnie wychowanej, zapewne limfatycznej blondynki także spokojnej i nieruchomej.

— Tak bardzo limfatyczną ona nie była wprzód; owszem, dość temperamentową, jeździła dzielnie konno, zapamiętała lubiła taniec, i właśnie dla hamowania tych ognistych popędliwości, nieboszczka żona moja wybrała jój tak spokojnego małżonka.

— Blondynka czy brunetka? niskiego wzrostu, czy bardzo wysoka?

— Nic z tego, ciemna szatynka z piwnemi oczyma, średniego wzrostu i niegdyś wcale dobrój tuszy, lubo wysmukłej i giętkiej kibici, tak jak do dziś dnia nie przestała jój mieć.

Już miałem na języku pytanie: „A czy jest brzydka lub piękną?” gdy przecież wielkim szczęściem ugryzłem się w ten brzydki organ, o którym Ezop tyle złych rzeczy dobrze powiedział.

Tego jedyne pytania nie mogłem przesunąć przez zęby moje, lubo co do reszty wywiedziałem się wszystkiego; co tylko lekarz od lekarza o pacjentce wywiedzieć się może. Ale powiadam wszystkiego, prócz kwestyi piękności, nie należącój wcale do rzeczy ściśle medycznej.

Jakże tu nie być delikatnym, ze starcem sześćdziesięcioletnim, wzywającym dwudziesto-sześćoletniego kolegę do obradowania nad stanem zdrowia młodój jedynój córki.

Przejąłem się głęboko jego położeniem, głowę brzemieną pomysłami, wsparłem na rękach, spojrzałem mu w oczy i znalazłem w nich lzy smutku, i żywo tlejącą iskrę oczekiwania, nadziei.

— Panie Modestly! szanowny mój kolego! ja ci ją wyleczyć muszę! krzyknąłem z żywym zapalem zagrzany świętym ogniem owego prze-

czucia niezgłębionego w przyczynach, a w skutkach tak płodnego.

— Tak, wyleczyć ją muszę, wyleczyć ją mogę, czuję to w sobie jakimś dziwnym przecuciem sił moich przejęty, ta kuracyja będzie moim prawdziwym egzaminem doktorskim.

— Otóż właśnie co ci chciałem proponować, kochany doktorze, poznawszy się na talentach twoich i na tej zacności charakteru. Już napisałem córce mojej, żem tu poznał lekarza znakomitych zdolności, obznajmionego ze wszystkimi tajemnicami chorób i lekarstw duszy, już zdołałem przewyciężyć wrodzony jej wstręt do Francuzów, któryby mógł stanąć na zawadzie pomiędzy tobą a jej zaufaniem; więc jedź do Carlisle, oddalonego tylko o dwadzieścia mil stąd, ja ci towarzyszyć nie mogę, bo tu jak wiiesz rozpocząłem kuracyję przeciw mojej pedogrze; ale prosto zajeżdżaj do domu mojego, rozgość się w moich pokojach, używaj moich koni cugowych i wierzchowych, słowem, bądź jak we własnym domu, i pozostań w nim przynajmniej trzy tygodnie, i przez ten czas zastępuj mnie u pacjentów moich, u których cię uwie-

rzytelnię najpochlebniejszymi listami. Czy przystajesz na to?

— Przystaję jak najchętniej.

— Pocziwy mój przyjacielu! jakiś ty dobry; ale pozwól zrobić sobie jeszcze jedną propozycją. Wiem, że nie jesteś bogatym, mnie zaś Bóg pobłogosławił doczesnym dobrem, więc powiedz, można ci ofiarować 150 funtów sterlingów na kosztą podróży, na małe wyekwipowanie się, na najęcie służącego, którego ci radzę wziąć z sobą?

— Darmo, nie mogę ci nic odmówić, mój stary przyjacielu, rzekłem z ciężkim westchnieniem, ale istotnie serce zadygotało we mnie, bom tyle pieniędzy w życiu swoim nawet razem nie widział.

— Kiedyż będziesz mógł wyjechać?

— Dopiero za cztery dni.

— Natychmiast napiszę do méj córki Anny, i do świątobliwego prezbitera Doudonnalda, zwiastując im twoje przybycie, i prosząc, żeby nie mieli wstrętu do ciebie.

* * *

Było nas kilku Polaków na Uniwersytecie Edyńskim, a wszyscy posługiwaliśmy się jednym służącym, także w Warszawie zrodzonym, nadzwyczajnie rozgarnionym i pomysłowym człowiekiem, który bawiąc już od 1831 r. w Edyńburgu, nauczył się doskonale po angielsku, ożenił się, przykładowym był mężem i ojcem, wiernym sługą, ale przytém zawsze do wszystkich figlów gotowym współdziałaczem i pomocnikiem, a tych figlów tworzyło się mnóstwo pomiędzy wesołą młodzieżą owój wesołej akademii Edyńskieój.

Słońce w Szkocyi nie bardzo grzeje, zwłaszcza podczas zimy, a jednak ciepła krew wrze w żyłach zdrowej, silnej i poetycznej młodzieży szkockiej, jest-to błogi wynik moralności do tego stopnia szanowanej, że młodzieniec skażonej rozpustą krwi, jest tutaj wyjątkiem, przedmiotem odrazy i wcale niepowściąganego potępienia.

Więc wezwałem Janka do pomocy, i on to jest fabrykantem owego zielonego kota, którego tyle podziwiasz, że od niego oderwać nie możesz oczu, nawet podczas mojego opowiadania, zasługującego może z tego względu na pe-

wną uwagę, że i w twojej praktyce mogą się wydarzyć pewne wypadki samoludy, które leczyć wypadnie inaczéj jak senesem i kremortartarem, to jest środkami staroświeckimi, tylko aptekarzom na pożytek idącemi.

— Zatem najpyszniejszy kot angora, zakupiony przezemnie za dwadzieścia dukatów u jednego z posługaczy naszego zoologicznego ogrodu, przemienił się we dwa dni w rękach zręcznego Janka za pomocą farby roślinnej, zdrowiu nieszkodzącej, w kota najzieleńszej barwy tak wesołego i figlarnego, jakim tylko być może kot szlachetnego rodu, dobrze wychowany i starannie pielęgnowany. Oczy miał ogniste, ogon czupurzysty, wąsy odstające gęste, na czerwono farbowane, brwi, jak widzisz na czarno malowane dla wyniesienia blasku oczu, zęby zaś naturalnej piękności i mocy, na których piękność sztuka dentystowska niczém nie wpływa.

Janka przyjąłem do służby mojej, wysłałem go z mojemi nowo zakupionemi rzeczami, dyliżansem do Carlisle dla przygotowania mi kwatery w domu starego kolegi, ojca mojej przyszłej pacjentki, a sam w kilkanaście godzin po-

tém ekstrapocztą (bo kolei żelaznej jeszcze tu niéma łączącej Edyburg z Carlisle) pojechałem za Jankiem z bardzo dużym koszykiem, w którym spało, skakało i figlowało okrutne widmo Miss Anny Modestly, straszliwy potwór wyobraźni młodej dziewicy rozkochanej w księdzu prezbiterze panu Doudonnaldzie.

— Czy jest brzydką? czy jest ładną? czy piękną? czy jest flegmatyczną, czy ognistą? czy jest głupią, czy uczoną? oto pytania, które sobie nie raz zadawałem w ciągu téj podróży szybkiej i prędkiej, toczącej się po najpiękniejszych miejscach południowej Szkocyi, tak poetycznie opisanéj przez naszego ziomka Lacha-Szyrmę.

— Więc jestem w Carlisle.

* * *

— I... reszty się domyślam kochany kolego, a na dowód tego opowiem ci wszystko; przerywam doktorowi Duval cokolwiek rozwlekłe historiją samolud opowiadajacemu.—Więc znajdujesz ją przedziwnie piękną, tkliwą, romantyczną, lecz niestety nieszczęśliwą, bo ona nie kocha nudnego prezbitera, i chociaż nie śmie tego

przed sobą samą wyznać, pielęgnuje w duszy swojej wymarzony ideał, w którym się kocha skrycie jak w milém dziecku fantazy swojej.

Ty się jawisz brunecie, dość wysokiego wzrostu, z ciemnoniebieskimi oczyma i zdrowymi zębami! ty się jawisz brunecie, w! którego żyłach krąży szlachetna krew polska i żywa krew francuzka.

Ha! idea stała się ciałem! darmo, nie ma rady: ona już w piérwszój chwili pojmuje, że cała jój miłość, jój przyszłość, jój dusza do ciebie należy: ale będzie walczyć aż do śmierci, i umrze walcząc i ściskając swe dziewicze serce, bo presbiterowi dała słowo, że go zaślubi, bo umierającój matce przysięgła, że presbiterowi odda rękę, a presbiter z cielecą fizyonomiją i w długim czarnym surducie, zażywając tabaczkę patrzy się na nią z boku, i nie pojmuje czemu się tak rumieni zimna Anna, i czemu jój oczy błyskają tak dziwnym ogniem, gdy nań promyk ze źrenicy owego francuskiego lekarza padnie.

Nareszcie mówić zaczynacie o chorobie. Ach! ona już od dawna rozpacza, bo wie, że jój choroba nie jest do wyleczenia, że się skoń-

czyć musi idyotyzyzm, obłąkaniem i przedwczesną śmiercią. Ach! ona wiele czytała o takich stanach! Przecież ona najlepiej wie, że kota zielonego nie może być na świecie, przecież ona pewna, że to tylko fantom jój schorzałej wyobraźni, ale, ona już nie ma dostatecznej siły w swym umyśle, żeby mogła rozumem odegnąć tę podwójną a najniebezpieczniejszą samoludę.

A ty mówisz: — pani nie wierzy w zielonego kota? ja w niego wierzę tak jak w niebieskiego lisa, w białego kosa i w białych murzynów. To co pani bierze za utwór schorzałej fantazyi swojej, to może cieszy się prawdziwą materyjalną istnością, to może *jest* co się pani zdaje że *jest*, idzie tylko o zaklęcie tego widma, o zmuszenie żeby przybrało materyjalną postać. Ja jestem magnetyzerem, ja umiem zaklinać samoludy; patrz pani! jedném takim spojrzeniem i wyciągnięciem palców; oh! jak się elektryczność z nich wydobywa.

Teraz panna Anna, słysząc o takich nadzwyczajnościach, o jakich nigdy dotąd nie miała pojęcia, zaczyna się mięszać, pada na krzeselko, dostaje swojego widzenia i krzyczy: — Oto jest,

oto jest zielony kot! chce skoczyć na mnie! — A ty wtenczas wytrzeszczasz oczy, wyciągasz ręce i zaklinasz dziewięcioma siarczystymi abrahamadabrami owe widmo, żeby się wcieliło. W drugim pokoju czuwa Jasiek, dawny dobosz z farbowanym kotem pod pachą; na znak dany puszcza zielonego angorę, który przynęcony nadzwyczajnie miłym zapachem ozanki (a), (którą pokryjomu służebnica wyperfumowała bieliznę i suknie panny Anny), rzuca się obces na dziewczęcę. Miss Anna wydaje krzyk przeraźliwy, mdleje, dostaje serdecznego śmiechu i różnych innych spazmatycznych przypadłości. Ty zapisujesz bobrową essencyją i wypychasz presbitera z receptą do apteki; a potem żałujesz ją... jak możesz, i sposobem Hypokratesa *contraria contrariis*, i sposobem Hahnemana *similia similibus*, nareszcie następuje *crisis*, a po zażyciu bobrowej essencyi, sen pełen najmiłszych, różo-

(a). *Teucrium marum*, Ozanka kocie ziele. Cała ta roślina ma zapach mocny, przenikający, korzenny, za którym tak się koty ubiegają, iż ciągle w bliskości nich bawią, tarzając się na ziele i wyjąc z rozkoszy.

wo-barwnych marzeń, sen z przygrywaniem niebieskiej harmonii w oczarowanych uszach.

Zielony kot leży na łóżku obok swój pani, a gdy ta oczy otworzyła, już go się nie bała, lecz pogłaskała go!!! ach! ona w téj chwili przytulilaby cały świat do swego zachwyconego serca, a na doktora swojego, którego już nazywa zbawcą i *dear friend*, to jest drogim przyjacielem, na doktora swojego spogląda tak tkliwie, taką rzewnie, tak pełném duszy spojrzeniem, że się aż prezbiter gorszy, i pojąć nie może jak *dusza* może być do tego stopnia wdzięczną za ocalenie swój cielesnej powłoki.

Zielony kot i doktor Duval stają się nieodstępniemi towarzyszami Miss Anny, która siedm dni spędziła w łóżku, a tyleż nocy przespacerowała w ogrodzie z kotem i lekarzem, improwizując dziękczynne pienia do poczciwego księżycyca i do miłych gwiazd, tak rokosznie błyszczących na kochaném niebie. Trwało to dni siedm, a potem gdy się dowiedziano, że prezbiter napisał do pana Modestly z uwiadomieniem, iż kuracja dokonana, doktor już niepotrzebny, i że nic, zdaje się, nie stoi już na przeszkodzie jego

związkowi z Miss Anna, potem mówię, po siedmiu dniach i tyluż nocach, Miss Anna pojechała jednego pięknego wieczora z kotem i z lekarzem do Gretna-Green, odległego tylko o stacyją pocztową. Miała interes do kowala, kazała sobie dać ślub *nie* z kotem, ale tylko z doktorem, i wracając do domu, wstąpiła do wielebnego Doudonnalda, aby go zaprosić na wesele.

Tego téż samego dnia przyjechał pan Modestly, aby wypędzić swego młodego kolegę z domu, ale gdy się dowiedział, że on stał się jego zięciem na kowadle i de facto, więc go uściskał bardzo rzewnie i pobłogosławił nader skutecznie.

Potem powtórzono jeszcze ślub w kaplicy katolickiej i kościele prezbiteryańskim, gdzie Reverend Doudonnald palnął swój dawniej narzeczonej kazanie na temat wzięty z tragedyi Shakespeara „*Friality thy name is women*“ co znaczy po polsku „Wątlność! twojem nazwiskiem jest kobiéta.“ A powiedział kazanie swoje z dobrém sercem.

Jak najprzykładniej zgodzali się z sobą

teść z zięciem. Gdy jeden wyjeżdżał do chorych, drugi zostawał w domu i nawzajem. Pacjenci byli doskonale obsłużeni, i pieniądze walały się do domu.

Zielony kot poważanym był przez całą rodzinę jako kamień węgielny całego jój szczęścia, ale po urodzeniu twego pierwszego dziecka, kot został cokolwiek zaniedbanym, a nawet po prostu wyganianym z sypialni pani doktorowej. Kot widząc się w niełasce, rzucił się na gastronomiją, zapasł się plumpudingami, i zdechl na apopleksyją. Ty kochany kolego, w nagrodę za otrzymane usługi, kazaleś skórę kota wypchać, serce jego zawarte w puszcze posrebrzanej zachowałeś w marmurowej urnie, zdobiącój ten przybytek nauki, a resztę zwłok kazaleś pochować w ogrodzie w klombie, na którym rosną: arcy-dzięgiel, kozłek i ozanka, miłe kotom rośliny. To téż na tym klombie ciągle odbywa się żałośno-krotochwilny koncert koci, zwłaszcza gdy ozanka kwitnąć zaczyna. I to was często aż do łez rozrzewnia. No! powiedz kolego, czy nie tak było?

— Wszystko tak było, co do joty wszystko

tak było, Ale na miłość Boga skąd to wszystko wiedzieć możesz?

— Domyśliłem się wszystkiego; to jest historyja nie jednéj kuracyi dokonanej przez nieznanego lekarza z pieniężną a nerwową pacjentką. Ale zajeżdża jakiś bardzo piękny powóz. Ah! poznaję w miłym starcu, teścia twojego, w kwitnącej zdrowiem i pięknością kobiécie, żonę twoją, w bladym zasępionym Jegomości, presbitera, dawnego narzeczonego twéj żony, przyjaciela domu. Ale gdzie dzieci twoje? gdzie Jasiek, dobosz warszawski?

— Na górze, w dzieciarni, troje tego, samych synów. Jasiek ich wychowuje i kształci w języku polskim.

ROZDZIAŁ III.

Komedyjantki w Anglii.

O córki Melpomeny, Thalii i Terpsychory! Gdy was widzę na scenie świetniejące blaskiem piękności i talentu, wówczas sobie mówię: ileżto młodych ludzi nie pada ofiarą owego wdzięku, którym obdarza natura i sztuka!.... Ileżto nawet dojrzałych, mocnych i trzeźwych głów nie przewraca się na widok tego uroczego piękna, podnieconego urokiem poezyi i muzyki.

Ach aktorki! waszém powołaniem, waszą sztuką jest ludzić i zwodzić, zanadto jesteście zwodnicze, abyście mogły być dobrymi; za nadto świetne, abyście mogły być szczeremi; zanadto

zubóstwiane, abyście mogły kochać. Żal mi tego który was pokocha i los swój do waszego przyczepi, żal mi go zwłaszcza wtenczas, kiedy tak szlachetne i głęboko wszczepione posiada uczucia, że stratę swoich illuzyj, swojego najmilszego szczęścia przez całe życie oplakiwać będzie.

Nasze ubolewania nad losem ofiar wdzięków teatralnych, każdy usprawiedliwi, który następującą przeczyta historyją, jest ona tylko jedną ze stu tysięcy podobnych, jeszcze więcej rażącemi barwami napiętnowanych, ale że się prawie przed naszemi odegrała oczyma; ale że ofiara i ofiarnica i kaci znanemi mi byli, więc zdaje mi się, że opis tego, szybko odegranego dramatu, nie będzie bez zajęcia czytany i może wpłynie korzystnie na uczucia i rozsądek owój młodzieży, która najpiękniejsze chwile życia swojego spędza sprośnie i bezrozumnie w towarzystwie istot nie wierzących w szlachetne uczucia.

* * *

Podczas mojego pierwszego pobytu w Edyburgu, zaznajomiłem się w klubie literackim cu-

dzoziemskim z młodym i bogatym baronetem szkockim, który właśnie skończywszy rok dwudziesty pierwszy życia, uzyskał od Uniwersytetu Edyńskiego dyplom licencyjata obojga prawa i to *eximia cum laude*. Sir Francis de Montrose Stuart nigdy nie przekroczył granic swój ojczyzny Szkocyi, ale tak lubił cudzoziemców, że z kilkunastą innymi uczniami Uniwersytetu Edyńskiego posiadającymi języki, wstąpił do klubu literatów cudzoziemskich, i wywiązywał się nadzwyczaj gorliwie z zaciągniętych obowiązków, to jest co miesiąc przeczytał na publiczném posiedzeniu własną rozprawkę w jakimś z języków obcych, a najwięcej lubił język francuski i hiszpański.

Przytém, będąc bardzo bogatym, a może najbogatszym ze wszystkich członków klubu, hojnie na zubożenie biblioteki tegoż klubu i na uczęstowanie kolegów, co mu zjednało w wysokim stopniu serca wszystkich członków klubu, bo w Szkocyi tak jak i u nas:

Papką, czapką i szkapką,
 Solą, rolą i wolą,
 Ludzie ludzi niewolą.

A że mu nie brakło ani prawdziwie szlache-
tnego ugrzecznienia, ani dowcipu, ani dobrego
humoru i serca, więc można powiedzieć, że
młody Sir Francis de Montrose Stuart stał się
duszą klubu, ogniskiem ożywczeń około które-
go zbierali się wszyscy ciepła potrzebujący
członkowie.

Nie zbywało zaś na takich, którym brakło
ciepła, bowiem na Wszechnicę Edymburską
uczęszczało ze czterdziestu Niemców, Włochów,
Hiszpanów i Polaków.

Przytém, był pięknym nasz młody baronet,
pochodzący przez matkę w prostéj linii od kró-
lewskich Stuartów, ze strony zaś ojca od jedne-
go z najlepszych przyjaciół i najwaleczniejszych
towarzyszów Wilhelma Zwycięzcy. Pięknym był,
wysokiego wzrostu, szatynem z granatowemi
oczyma i młodziutkim ale już dobrze wydatnym
wąsikiem, przytém wyraz jego twarzy lubo mi-
ły i łagodny, napiętnowany był ową cudną ener-
giją silnéj duszy, ową pewnością siebie, która
jest najlepszém mianem prawdziwie szlachetnéj,
pięknéj duszy, i tyle się podoba mężczyznom
ile najwybrydniejszým kobietóm, zwłaszcza, gdy

te znamiona samoistności połączone są z pewną naiwną, jeszcze dziewiczą skromnością.

Jeszcze się rumienił Sir Francis jak panienka, gdy zbyt palającego, śmiałego lub pożądlivego oka promienie na jego twarz padły, a te promienie błyskały nań czasem z pod mądrego czoła córek Szkocyi, na pozór zimnych, ale częstokroć tak romantycznych jak średniowieczne bohaterki Walter Scotta, których urokowi i my oprzecz się nie zdołaliśmy, gdyśmy w młodości naszej na ławkach szkolnych pokryjomu połykali plody pióra *Wielkiego nieznanomego*.

Młody Sir Francis już był narzeczoną swęj najmłodszęj kuzynki, córki najstarszego brata nieboszczyka ojca swojego. Lord Montrose, margrabia Kilmarnok, wdowiec od lat kilku, jednę tylko miał córkę; Sir Francis jedynym tylko był potomkiem męskim Montrosów, na niego więc spadnie i ogromny majątek margrabiego i jego tytuły i dostojęństwa. Dla tego tęcz ze szczególną wychowywano go pieczołowitością, i narzeczoną jego, jeszcze prawie dziecko, bo ledwie czternaście wiosen licząca, ale także wiele rokująca pięknnością i dowcipem, wzrastala

w rzewnej i pełnej najmiłszych przeczuć miłości względem kuzyna swojego, którego za lat kilka nazwie mężem.

Wszystko rokowało naszemu bohaterowi najpiękniejszą przyszłość; wszystko zapowiadało mu urzeczywistnienie najgorętszych pragnień całej rodziny, chcącój się w potomkach odrodzić do nowój chwały i do licznych podpór dawnego blasku znakomitego Montrosów nazwiska.

Ale cóż robić z temi kilku latami, których panience potrzeba do rozwoju fizycznego, a narzeczonemu do położenia podstaw na późniejsze zasługi na politycznej drodze?

Wysłać go na ląd stały nie chciano, bo jeszcze za nadto był młodym i niedoświadczonym, aby własnymi mógł latać skrzydłami w wielkim świecie i obejść się bez opieki, a znów za nadto miał niezależności w charakterze na podleganie zwierzchnictwu jakiego guwernera, więc matka i stryj wysłali go do Londynu, aby tam wprowadzony w wyższe towarzystwa i przysłuchując się obradom parlamentu, wyrobił w sobie maniery; aby się nauczył obcować z dostojnościami Wielkiej Brytanii, nareszcie, aby się

przygotował wystąpić za lat kilka jako deputowany w zawód polityczny.

Ma się rozumieć że go polecono kilku damom z arystokracji, z któremi go łączyły dalsze i bliższe stosunki powinowactwa.

Cóż w miesiąc po moim powrocie ze Szkocyi do Anglii, przybył do Londynu Sir Francis de Montrose Stuart, i najął piękne mieszkanie w najświetniejszej dzielnicy miasta przy ulicy Portland.

W tydzień po przybyciu odwiedził mnie, i tém mi wielką sprawił przyjemność, szczerze bowiem polubiłem tego młodzieńca tak hojnie obdarzonego przez naturę, i tak pięknie rozwiniętego pod każdym względem. Byłem mu serdecznie wdzięcznym za tę pamięć serca udowadniającą, że chwile spędzone razem w Edyburgu nie zostały zapomnianemi, i objawilem mu wdzięczność swoją w sposób szczerzy i żywy.

— Śmiem liczyć na to, — odpowie Sir Francis, — że mi pan jako człowiek doświadczeńszy, a jednak wiekiem dość do mnie zbliżony, raczysz zezwolić, że od czasu do czasu przyjdę zasięgać rad jego co do prowadzenia się w tém

ogromném mieście, w którém tyle żyje różnorakich ludzi, iż trudno ich wartość od razu odgadnąć, liczę nawet na to, że mnie pan zaszczyścisz swemi odwiedzinami.

— Najchętniej przystaję na jedno i drugie, ale powiedz mi baronecie, w jaki sposób chcesz przepędzić czas swój tutaj w mieście.

— Nie myślę folgować ognistości temperamentu mojego, i rzucać się z niewyrobionemi siłami w prąd życia tak szybko i szalenie toczącego się w Londynie, — odpowie bardzo rozumnie Sir Francis. — Przedewszystkiém, chcę się zapoznać ze znakomitościami politycznemi przez czytanie gazet, przez przysłuchiwanie się obradom parlamentarskim i nareszcie w salonach, do których mam nadzieję, że mnie arystokracja przypuścić raczy. I jednocześnie będę brał lekcye fechtowania, dla nabrania więcéj wprawy w robieniu bronią, i lekcye wyćwiczenia się w obradowaniu i uczęszczaniu na kursa Ekonomii politycznej u pana Wahelday, jednego z naj-sławniejszych professorów uniwersytetu, i zarazem członka parlamentu. Rok cały myślę prze-

pędzić w taki sposób, a potem dopiero puścić się w świat.

Takie były roztropne postanowienia baroneta, i wierny im, wziął się zaraz gorliwie do dzieła i przetrwał w nim tygodni kilka. Widziałem go dwa czy trzy razy podczas tego pierwszego zakresu życia w Londynie.

* * *

Ale naraz Sir Francis przestaje bywać u mnie, i już go nie znajduję w domu w godzinach, w których wprzód zawsze bywał.

— Zmienił widać tryb życia? — pytam się służącego, którego najął w Londynie; przywiezionego bowiem ze Szkocyi odesłał do domu, dla tego, że żadnym sposobem nie chciał przywdziać spodni, i chodził we fraku liberyjnym z nogami *in naturalibus* i w spódnicy szkockiej.

Dziwi mnie jednakże, że tak mała rzecz jak *spodnie* mogły zniewolić baroneta do odesłania sługi, który go od małego dziecka na rękach piastował.

— Zmienił widać tryb życia? — pytałem się

jeszcze raz wymownego jak karp' a wyglądającego jak szczupak John Bulla.

— Kto taki? — rzeknie Anglik.

— Sir Francis de Montrosa Stuart, rozumie się.

— Od czasu jak w jego służbie jestem, nie zmienił trybu życia tylko suknie i bieliznę, i to trzy razy na dzień, — odpowie John Bull.

— A zatém zawsze jeszcze bierze lekcye tańca i wymowy, uczęszcza na kurs ekonomii politycznej i na posiedzenia parlamentu?

— Wiem, że rano bierze lekcye tańca, muzyki i śpiewu, że w południe wyjeżdża z nutami na miasto, i że co wieczór jest w teatrze, — odpowie Anglik z miną człowieka znękanego wybadywaniem.

Nazajutrz przybył do mnie Sir Francis, ubrany z niezwykłą wykwintnością, włosy miał fryzowane i perfumowane. Przechadzając się zemną po pokoju, i prowadząc rozmowę urywkową, często spozierał w zwierciadło, i poprawiał sobie to włosy, to halsztuk, nadymał piersi i kibić swoją wyciągał, nadając nowomodnemu błękitnemu, białym atlasem podbitemu rajtfrakowi,

fałdzistość elegancką, *une disinvolture debraillée*, jak to mówią Francuzi. Rękawiczek barwy maślanej wcale nie zdejmował, do oczu przytykał chustkę batystową obficie wonią napawaną dla nadania im blasku, a wąsiki lekko zaczernione płynem niezmaźalnym, gładził starannie. Prześlicznej wody szmaragd, okolony rzędem rzęsi-
stych brylantów tkwił w halsztuku, i odbijał się na tle czarnego atlasu, jak światło arganckie w najciemniejszej nocy świecące.

Mowę zaś swoją także wyszukanie wykwin-
tną, krasił świeżemi galicyzmami, i nudy urywkow-
wój rozmowy spędzał nuceniem urywków z naj-
nowszych oper włoskich.

— Cóżto baronecie? surowy Spartańczyk
przemieniony tak nagle w wykwintnego Ateń-
czyka?—zagadnę nareszcie Sir Francisa cokol-
wiek zniecierpliwiony rozmową fatalaszkową
do niczego nieprowadzącą.

— Tiens? skądże wiesz doktorze, że ta prze-
miana nastąpiła?— spyta Montrose Stuart, uśmie-
chając się i spozierając z ukosa w zwierciadło.

— Najprzód, wiem od twego John Bulla, któ-
regoś przyjął za lokaja w miejsce odesłanego do

domu, wiernego syna Kaledonii, potem, żeś wypchnął od siebie Marsa, a wpuścił Terpsychorę, to jest, że w miejsce szermierki uczysz się tańcerstwa; dalej, dowiedziałem się od tegoż samego chudego Anglika, że lekcye muzyki i śpiewu, nastąpiły w miejsce szlachetnej nauki wymowy, nareszcie przekonałem się, że zamiast spędzać wieczory na posiedzeniach parlamentu jak przedtém czyniłeś, trawisz je w teatrach; teraz zaś widzę, żeś porzucił skromny ubiór i jędrny ton syna północy, dla wykwiartnego stroju *fashionabla* londyńskiego, i dla fertycznego *sans-fasonu* dandysa. Nie poznaję już w tobie owego młodzieńca pełnego zapалу dla cnót rodzinnych, gotującego się wstąpić w zawód parlamentarski dla obrony praw swojego ludu.

— Mylisz się kochany doktorze w sądzie o mnie, tak jak ja się myliłem w wyborze środków doprowadzających do celu, do którego zmierzać nie przestaję, — odpowie Sir Francis siadając wygodnie na kanapie i sadzając mnie z niewypowiedzianym *aplombem* obok siebie.

— Ach przecież — pomyślę sobie, — ach przecież nadchodzą przyjacielskie zwierzenia. Wy-

bijmy wyłom w duszy tego, przedtém tak szlachetnie myślącego młodzieńca.

— Widzisz doktorze, rzeczce dalej Sir Francis,—my tam w starój poczciwój Kaledonii, i ty sam wychowany w pojęciach klassycznosci, ty i my nie zbliżając się do wielkiego świata dzisiejszego, i tylko tradycjami przeszłych wieków karmiąc duszę i żywiąc zapaly swoje, *my* wcale nie wiemy, że od czasów greckich i rzymskich, staro-szkockich i średnio-angielskich przeszły wieki; my zapomnieliśmy, że czasy starego klasycyzmu, średniowiecznego rycerstwa a nawet dość niedalekiego bohaterstwa Napoleońskiego już minęły, najzupełniej przeszły, i brzmią tylko w uszach naszych jakimś odgłosem, który my oczarowani *wyczytaném pięknem*, nie biorąc dostatecznego udziału w żywotnych sprawach, teraz losami ludzkości pędzących, bierzemy w dobrej wierze za harmoniją w chwili odegrywaną. Są tacy, którzy pod urokiem tego złudzenia pozostaną przez cale życie, bo nigdy nie mają sposobności przypatrzenia się zbliska i dotykania sprężyn prawdziwego życia; ale ja dopuszczony od niedawnego czasu, bo dopięro od dwóch

miesiący do znajomości ludzi rządzących publicznie i tajemnie losami tego kraju, a zatém i świata całego, zyskałem przekonanie, że czasy się zmieniają, i my się z niemi zmieniać winniśmy. Już tu oddawna wyrzekliśmy się owych starowiecznych, surowych, ostentacyjnych wyobrażeń w wielkiej nieugiętej cnotcie; już tu w Anglii wyprzedzającej pojmowaniem potrzeb dzisiejszej ludzkości o krok jeden przynajmniej, porzuciliśmy nawet wiarę w ową siłę i zręczność wojenną, wprzód tak skuteczną w przeprowadzaniu zamiarów politycznych, jużto nawet nie wiele wierzymy w ową potęgę słowa, którą nasi O'Connele, Broughamy, Palmerstony a nawet D'Izraele biją i gniotą echa parlamentów i meetingów; ach tak! wielkie cnoty doprowadzają do domu zarobkowego, bohaterstwo do kalectwa, krasomówstwo do waryjacyi, a wszystko razem, niech mnie czarci biorą, doktorze kochany, do szalonych wysileń, najprzykrzejszych zawodów i do przedwczesnej śmierci. Tutaj wszystko co wielkie przeprowadza się milczkiem, cichutko, ładniutko, intryżkami; a kto milczyć umie i odezwać się od czasu do czasu dobrze

obmyślanym, krótkim, ciętym frazesikiem, kto jest giętkim jak wąż, ostrym i obosiecznym jak szpada, przytomnym jak powietrze, przenikliwym jak światło, podstępny jak pajak; ten, kochany doktorze prowadzi za nos nie tylko owych ludzi spartańskiej cnoty, normandzkiej waleczności i irlandzkiego gadulstwa, ale nawet całą literaturę codzienną, wszystkich pamflecistów i gazetiarzy, żyjących z odgadywania *tego*, co się wówczas tylko sprawdza, jeżeli się ludzie dowcipu, nie wyszepleniający się gadulstwem na obradach, z sobą się porozumieją.

— Młody synu Wielkiej Brytanii, przerywam ci mowę, nie obmawiaj kraju twojego, tak źle na świecie nie jest, a najmniej tutaj gdzie wszystko stoi wyraźną jawnością, siłą cnoty, mocy, waleczności i wymowy.

— Entuzjastyczny Anglomanie, — przerwie mi znów Sir Francis, — nie obwiniaj mnie o obmawianie narodowości naszej, ani o pesymizm, tylko pozwól mi dokończyć, chociażby dla tego, iżbym ci mógł dowieść, że nie na próżno uczyłem się przez dwa miesiące wymowy u najlepszego retora, któremu nawiasem powiedzia-

wszy, płaciłem trzy funty sterlingów za jedno posiedzenie trwające dwie godzin. Czy nie widzisz, mój zacny doktorze, co się u nas od lat kilku wyradza z tego zamętu nowych żywiołów porządku i nieporządku wrzącego od czasu odzyskania sił po wojnach Napoleońskich. Pokój na zewnątrz ustalony, i nie można przewidzieć czy go coś jest w stanie zachwiać; tu i owdzie potykamy się wprawdzie z Indyjjanami, Chińczykami i Hotentotami, ale ich zwalczamy naszymi pieniędzmi i krwią naszych najemników, a po każdej wojnie handel nasz nowe zyskuje siły, nasi zaś bohaterowie wojskowi zaszczyt orderem Łażni lub Ostu, i wyśmiani w czasopiśmiech postępowych i żółciowych, nie wiedzą czy się mają cieszyć lub smucić z wygranej. Do tego przyszło, że oficerowie nasi wracając ze zwyciężkich wypraw, wstydzą się nosić mundur, golą wąsy i starają się wyglądać jeszcze cywilniej jak nasi kupcy i tutkarze. Jednym słowem, tylko ta strona tryjumfuje, która materyjalnie zyskuje, nie wystawiając się na rany i trudy. Że nasi szermierze parlamentowi nie wywierają wpływu w stosunku krzyku i zgiełku, którym rozbijają

mury, sklepienia niebios i gazety, to przecież aż za nadto jasno się wykazuje z losu agitatorów naszych, mianowicie z losu już przezemnie wymienionych mówców. Boksowanie wyszło zupełnie z mody od śmierci księcia Sussex, protektora bokserów, i tylko u molłochu cieszy się jakim takim wzięciem; pojedynki są przez opinią publiczną potępione, wyśmiane i przez lepsze towarzystwo uważane jako dowód brutalstwa. Słowem, całe bohaterstwo uzasadnione na muskularnej sile i zręczności, wzięło jak najostateczniej w leb; stara rubaszna Anglija uznała potrzebę prawdziwej estetyki, i na tym gruncie lekkim, powabnym i szybko kwiaty wydającym, kształci swój rozum. Nie tylko angielski Mars, ale i angielski Merkury, przed kilkoma laty jeszcze tak nieubłagane surówy, garnie się pod skrzydła Apollina i Muz, i to z potulnością dobrze wychowanych owieczek. Wystaw sobie doktorze, że ten sam syn Terpsychory, który mnie ćwicz w wyższej choreografii, wyklada staremu kontradmirałowi Clapperton naukę i sztukę kontredansa i polki-mazurki. Taką zresztą koleją, Epaminondas uczył się przecież tańczyć, chociaż

był dzielnym bohaterem; nad nami panuje kobieta należąca rozumem do rzędu wyższych istot, kobieta posiadająca z prawą trzecią część władzy rządu rzeczywiście, siłą zabiegłości swojej większą połowę; siła intelligencji i artystyzmu wzięła górę nad siłą brutalską mięśni i kości, i w widoku tego co się dzieje, ja surowy ale czujny i młody syn Kaledonii miałbym się opierać silnemu prądowi, który bieży naprzód i wywraca wszelkie przeszkody? Nie! nawróćmy się dopóki czas, dopóki pozostała giętkość młodociana w ciele, smagłość w pojęciach a siła w woli. A gdzież ją wyrobić jeżeli nie w obcowaniu ze sztukami pięknymi, dającymi wstęp do owój poufalszej a zawsze przyzwyczajonej zażyłości z istotami, posiadającymi w najwyższym stopniu delikatność czucia i subtelność przenikliwości? a temi istotami, kochany doktorze są kobiety.

— Bogu dzięki! teraz cię rozumiem kochany Sir Francis, — przerywam baronetowi — teraz już odgaduję w jakiej krynicy czerpałeś tak długi szereg logicznych argumentów, dowodzących potrzeby wykuintności, pod względem

moralnym i fizycznym. To nie własnych doświadczeń owoce, lecz raczej kwiatki wykwitłe w główce jakiej pięknej Egeryi, która się zajęła wykształceniem młodego baroneta Szkocyi.

* * *

— Dalibóg odgadłeś kochany mój przyjacielu, — rzecze Sir Francis, płonąć się, śmiejąc i zarazem w zwierciadło spozierając, — i cieszy mnie to żeś odgadł, bo mi tém ułatwiasz zwierzenie się. Tak, tobie wszystko powierzę, tobie jednemu, bo ty masz serce nietknięte sarkazmem, lubo odemnie starszy jesteś, bo ciebie przyrodzona poezyja bronila od zmrożenia się w tym angielskim klimacie, w którym tak prędko więdnieją uczucia. Tak jest, znalazłem Egeryją, kształcicielkę, professorkę, przyjaciółkę, siostrę, której błogi wpływ obrócił w niwecz wszystkie moje żelazne wyobrażenia o dzielności męskiej, zastosowanój do potrzeb obecnego czasu. Opowiem ci wszystko, bo mi się serce rozplywa z radości.

— Razu pewnego, coś przed kilką tygodniami, zachodzę zupełnie przypadkiem do jednego

z naszych mniejszych teatrów, jest-to świątynia Muz w swym rodzaju jedyna, prawdziwie urządzona na wykształcenie smaku sfer wyższych towarzystwa; w niej bowiem grają nie tylko komedye w angielskim języku, ale i wodewille w francuzkim i operetki we włoskim, a nawet i balet tam przedstawiają. Nie często bywałem w teatrze, matka bowiem moja zawsze wierna purytanka, zawsze poważna i smutna, uważała że teatr jest zabawą płochą a nawet grzeszną, i wzbraniała mi chodzić na przedstawienia dramatyczne, publiczne i prywatne.

Więc jestem na przedstawieniu Łucyi z Lamermoru, a w roli Łucyi występuje młoda, zachwycająco piękna i tak szlachetnej gracyi śpiewaczka, że już sam jój widok bez pomocy czarującego śpiewu, wprowadził mnie w nigdy niedoświadczony zapal. Cała sala drżała od poklasków, łzy lały się strumieniami z oczu zimnych córek i synów Albijonu, ja zaś uniesiony szałem, biłem tak mocno w ręce, i tak głośno krzychałem bravo! diva! ancora! że m oczy publiczności na siebie zwrócił.

— Wiedząc, iż ta sama śpiewaczka wystąpi

wna tęcza, i zasła

Spojrzenie z
sło na mnie halsamit
mi się, że dziewięć
istoty zajaśniało lekka
cem. Ach! tyle talentu
razem! Wierz mi dość
rzyłem, że tyle darów
się jednoczyć w jedne
czasem natura się
wyposaża swoich wy

I ja się pokryłem
nia, coś w sercu moim
nowa era życia dla
należałem do siebie
ła się elektro-magnety
w Divią.

W przekątnój zaś łoży zajętej przez kilku fashionablów pierwszej mody, szmer podziwu i zazdrości ozwał się. Tak, zazdrościli mi owego spojrzenia, owego rumieńca! Dumny byłem z tryjumu mojego, i tak skłonny do dobrych uczynków, żem chciał pugilares swój nie źle napełniony banknotami, rzucić paradysowi huczącemu od poklasków: Wstrzymał mnie jedynie jakiś niewczesny wstyd, żałuję żem nie poszedł za pierwszym popędem duszy mojej.

Po pierwszym akcie, lokaj bogato galonowany wszedł na scenę, i zebrał w srebrny koszyk kwiaty rzucone przezemnie.

Gwineę owiniętą w pięciofuntową banknotę rzuciłem służącemu. On mi się pokłonił ni-ziutko jak szambelan monarsze, i kurtyna zapadła. Ja zaś zatopiłem się w myślach i różowej barwy słodkich marzeniach, nie zważając na dwieście lornetek wymierzonych na mnie jak działa fortecy. Roskoszowałem się jak nigdy w życiu.

Ale żadnym innym nie obdarzyła mnie Diva spojrzeniem, podczas reszty reprezentacji. Nie miałem jój tego za złe, ona cała oddana

sztuce i tak młoda, niewinna, nieśmiała... jakże mogła myśleć długo o jednym ze swych tysięcy uwielbiaczy?

Gdy zaś kurtyna ostatecznie zapadła, kazałem sobie przez lożmajstra wskazać drzwi, któremi wychodzą aktorki. Długo czekałem, a ze mną kilka ekwipażów i kilku dżentelmanów różnego wieku. Pomniejsze koryfeuszki już odjechały; czeka jeszcze jeden ekwipaż, najokazalszy ze wszystkich, i jakiś jegomość średniego wieku, wojskowej miny, dumnego spojrzenia, przechadzający się z niecierpliwością przed kolumnadą artystek, i rzucający ukośnemi spojrzeniami na mnie w milczeniu oczekującego.

Jawi się Diva ze służącą i z damą starszego wieku, poznaję w niej dyrektorkę i współwłaścicielkę teatru.

Chciałem zbliżyć się do bogini mojej, podać jej ramię, mówić z nią jeśliby można, ale ów jegomość sadza obie damy i służącą do pojazdu, i spojrzawszy na mnie jeszcze raz z ukosa, wsiada z niemi i każe pędzić.

Zapominam, że mój pojazd oczekuje przy główném wyjściu z teatru; wskazuję z tyłu za

pojazd śpiewaczki i jadę nie zważając na ulewny deszcz i zawieruchę, razem z moją boginią, szczęśliwy, że mnie tylko szczupła zapora odłącza od Edenu wszystkich największych szczęść i zachwyceń.

Staję przed bardzo pięknym domem na Redford Square; ów jegomość wypada z pojazdu, zsadza Divę i jej pannę-służącą; dzwoni, otwiera drzwi, i żegna się głębokim ukłonem, zdejmując z największą czolobitnością kapelusz. Potém, znów wsiada do pojazdu, i pędzi dalej. Ja naturalnie zsiadłem z po za niego, nim ów jegomość do powozu wrócił, i w cieniu drzew oczekiwałem rozwiązania całej sprawy.

Przemokły, drżący z zimna ale uszczęśliwiony tém odkryciem mieszkania mego ideału, wracam do domu i dostaję djablój febry, nie wiem czy w skutek zimna, czy w skutek moralnego wstrząśnienia. Herbatę piłem przez całą noc, i list komponowałem wierszem do mojej *Divy*. W tym liście upewniłem ją, że we mnie ma zwolennika entuzyjastycznego, wiernego i do wszelkich poświęceń gotowego, a zarazem ją uwiadomiłem, że na wszystkie jej przedstawie-

nia regularnie uczęszczać będę zawsze w tój samój loży tuż nad orkiestrą na lewo; nareszcie wynurzając jój w najtkliwszych wyrazach moje uwielbienie, dodałem, iż radbym sobie zasłużyć na zaszczyt bliższój znajomości z osobą tak wytworną talentami i urodą.

Posłałem ten list bezimienny, razem z przepysznym bukietem do jój mieszkania.

W tym samym dniu *ona* występowała w roli dla niój samój utworzonój. Śpiewała z nieporównaną duszą, z uczuciem porywającém; cały teatr drżał od oklasków. Ubiór zaś jój tak był malowniczym a jednak skromnym, zapiętym, nie odsłaniającym. Nic! ani razu nie spojrziała na mnie, a co mnie najwięcej ujęło i zachwyciło, to *to*, że każdym razem kiedy się zbliżała pod moję lożę tuż blisko, jak z położenia wypadło, za każdym razem zalewała się po uszy rumieńcem, i drżała, *drżała* mówię ci doktorze. Ach ta młoda kobiéta przechowała całą niewinność i zachwycającą naiwność uczucia, w tém trudném powołaniu artystowskiém: jakiż to niewyczerpany zasób poczciwości i honoru musi być w tój osobie.

Po skończeniu się sztuki, poszedłem czekać na nią pod portyk artystów. Ona wychodzi otulona w ogromny szal, a panna-służąca za nią. Czekala na nią doróżka. Wystaw sobie doktorze, tak byłem przejęty uczuciem uwielbienia, że nawet nie śmiałem pomóc jej do wsiadania.

Ale rzucam się w swój pojazd, i każę gnać za nią, potem ją prześcigam, jestem przed jej domem gdy ona przedem zajeżdża. Wysadzam ją—cha! jej ramię jest w moim ręku. Ona na mnie spogląda okiem zdumiałem i drżąca ze strachu, nareszcie poznaje we mnie swego entuzjastycznego ubóstwiacza, wyrywa swą rękę z méj ręki, i wbiega do domu. Ja jej mówię głosem drżącym ze wzruszenia:

— Pozwól przynajmniej o pani! żebym jutro mógł przyjść i zapytać się o zdrowie twoje, bo ta rola, którą tak doskonale odegrałaś jest nadzwyczajnie męczącą.

Ona odpowiada mi zimno i pogardliwie:

— Prawdziwie nie wiem czemu mam przypisać te objawy tak żywe i nagłe współczucia, okazywane mi przez zupełnie obcego człowieka

ka: jest-to rzecz dziwna, a dla mnie, proszę temu wierzyć, nadzwyczaj nieprzyjemna.

I mówiąc to, weszła do domu swojego, służąca zaś zamknęła mi drzwi przed nosem.

Całą noc przepędziłem przed tym domem, pomimo bijącego nawałnie deszczu, pomimo zimna, wiatru i głodu. Dopiero o piątej godzinie rano wróciłem do domu, i posiliwszy się pięcią szklankami herbaty, napisałem do niej nowy list *prozą*, z podpisem moim, w którym jęj podziękowałem za doświadczoną na przedstawieniu wczorajszym przyjemność. Do listu przyłączyłem bukiet, a do bukietu szpilkę szmaragdową zupełnie taką jaką na sobie noszę. Takie dwie szpilki kosztują dwieście pięćdziesiąt funtów sterlingów, to nie bagatela. Prosiłem o krótką audyjencyją dla mnie i dla mojego malarza; jadąc do Rzymu, pragnę wywieźć z Anglii portret najpiękniejszej kobiety, każę go złożyć mozaiką w Watykanie.

Miss Celina Athetrith (to imię i nazwisko méj ubóstwionéj), dopiero na drugi dzień odpowiada na mój list. Nie zezwala na zdjęcie portretu, ale mnie prosi do siebie na śniadanie, na

przyszłą Niedzielę. Zasięgała o mnie informacji, i dowiedziała się, „*że jestem dobrze wychowanym i dobrze prowadzącym się, bardzo jeszcze młodym i niedoświadczonym gentelmanem,*“ rzecz w swoim liście Miss Celina, więc [zdaje jej się, że nic nie ryzykuje pozwalając mi być u siebie, zwłaszcza że mam opuścić Londyn.

Jeszcze całę pięć dni do téj Niedzieli; jakże tu przeżyć te pięć dni, a ona jak na złość żadnego dnia nie występuje. Ach przecież chociaż w Sobotę występuje, bo w Piątek nająłem pięćdziesięciu ludzi, i kazałem im krzyczyć w teatrze: „*Prosimy aby Miss Celina jutro wystąpiła!*” Ja dałem hasło z méj loży, ale cały teatr ryknął jednogłośnie: *prosimy o Miss Celinę jutro!*“ Więc na powszechnę żądanie występuje Miss Celina w Lindzie z Chamounix; szmaragdową szpilką przypina sobie jedną z rzuconych róż do boku. Boże! myślałem, że oszaleję; a jak śpiewa? jak gra naturalnie? dopiéro w jej ustach włoski język brzmi w całej swéj niebiańskiej okazałości.

Czekam na nią przed teatrem, chcę ją odprowadzić. Ona się ukazuje, ale z jakąś wyso-

ką, bardzo dostojnie wyglądającą, nie młodą damą, z którą rozmawia bardzo przyjacielsko po francusku.

— Czemuż moja karetka nie zajechała Jaśminie?—spyta dostojna dama lokaja swojego.

— Już zajeżdża pani hrabino,—odpowie Jaśmin.

— Odwiozę cię do domu moja Celineczko,—rzecze hrabina do Divy, wsiada z nią do karety i jedzie ku Bedford Square.

Notabene na karecie były ogromne herby, a lokaj całkiem galonowany, w złotych szlifach i akselbantach; perukę miał pudrowaną ogromną, i kapelusz stósowany z galonem na głowie, w rękę zaś trzcinę wielką jak pastorał ze szczerozłotą galką.

Stangret podobnie był ubrany, również bogato i okazale, tylko kapelusz nosił inny z trzema rogami przyklapnięty, z potężnymi galonami i piłmażem białym.

Spoglądając za tym arystokratycznym pojazdem, myślę sobie:

Jak poufale rozmawiała Miss Celina z tą bogatą magnatką, aktorki w Anglii nie dostępują

takiego zaszczytu, ale *ona* jest wyjątkiem pod każdym względem.

Owa Niedziela nadeszła nareszcie. Wiész doktorze, że w Anglii prosi się na pierwsze śniadanie na herbatę, tak jak wiem, że u was się zaprasza na drugie śniadanie na wódkę, przekąski, mięso, porter, wino i t. d.; na takie śniadanie idzie się o wpół do dziewiątej — najpóźniej.

Kogo znajduję u Celiny? ową dostojną damę, ową hrabinę. Ona ją nazywa *babką*, tamta tę tu zowie *wnuczką*, rozmawiają z sobą po francusku, widać, że stara i jednego słowa po angielsku nie umie; ale co mnie dziwi, to to, że Miss Celina przedstawiając mnie swój babce, nie wymienia jój nazwiska ani tytułu, tak, że ja *officyjalnie* nie obznajmiony z jój godnością, nazywać ją muszę po prostu Madame, nie dodając ani Comtesse ani Ladyship.

Przyjęto mnie w przedwstępnym salonie, ubranym w niezliczone mnóstwo wazonów i świeżych bukietów. Były to wczorajsze trofea młodej, świeżej Muzy, która cudnie wyglądała w swym bielutkim bogato haftowanym peignoirze, i w swych malutkich czerwonych złotem

haftowanych papuciach. Tutaj, ogulotona ze wszystkich uroków sceniczności, piękność jej jeszcze mi się wydawała więcej wzrastającą; jej blade i nadzwyczaj delikatne lica, słodycz jej wzroku, nadobność jej ruchu, napelnily mnie wzruszeniami najżywszej tkliwości.

Podczas śniadania rozmowa toczyła się w języku francuskim, stara hrabina bowiem ani słowa po angielsku nie mówiła, i nawet brzydziła się tym językiem, jak mi to bez wielkiej ogródki poznać dawała.

Miss Celina kierowała rozmową, i żywiła ją w sposób, który wykazywał gruntowność jej wychowania, nie przelatywała od przedmiotu do przedmiotu jak motyl od kwiatka do kwiatka, lecz raczej jak pszczołka umiejąca korzyść wyciągnąć z miodu myśli. Ja się ceniłem szczęśliwym z tego, że przyjęty do zażyłości tak świetnej artystki, mogłem się sycić jej dowcipem, talentem, wdziękiem i pięknnością! Po pierwszy raz w życiu czułem się w położeniu zażyłości godném.

W tém zapukano na dole do drzwi domu:

— Książę wszedł i spytał się, czy książę Saint Almans służyć może.

— Ach! aby nie dzisiaj moja wnuczko, ty nie rozumiesz jak mi nudzi ten książę Saint Almans, — rzecze stara hrabina.

— A mnie jak nudzi? znosiłam go jedynie dla babci, — powie z zachwycającą naturą córka Miss Celina, a potem doda: — Samuel wyznał mi, że mi bardzo, żal, ale, ale, wybieram się do kościoła, do hiszpańskiej kaplicy.

Potem zerwała się z nadzwyczajną żywością i zbliżyła się do okna mówiąc:

— Ach! teraz sobie przypominam, kiedy ojciec mi pokazał swoje nową karetę, za którą zapłacił niesłychaną summę dziewięćset funtów sterlingów, chciał mi nawet pawet zawieść do kościoła z babcią.

— Babcia ma swoje karetę, i nie potrzebuje się posługiwać obcemi ekwipażami, — rzecze hrabina z niewygodzianą dumą.

Wszystko to, co się stało, było bardzo ciekawe, i bardzo miłe dla Miss Celiny, która, aby uniknąć dalszych przykrych wspomnień, postanowiła nie wracać do kościoła, i nie odwiedzić babci.

Zezwoliła, i poprosiła mnie z sobą do drugiego salonu. To prawdziwy przybytek młodej Muzy; duża, całkiem białym stukiem wyłożona sala, meble pokryte białym aksamitem, i dwa drogocenne zupełnie do siebie podobne fortepiany.

Gra tak pięknie jak śpiewa, jak mówi i jak chodzi. Wibracje tych długich bielutkich palców i tych preludjów odgłosy, będą mnie czarowały wspomnieniami aż do końca życia.

Długo grała, i potem kilka razy śpiewała tkliwe łzy wyciskające pienia: zapomniała przy swym fortepianie, że obok niej siedzi gość nieumiejący ze wzruszenia przemówić jednego słowa.

Nareszcie jak gdyby się ze snu zerwała, obraca się do mnie i widzi łzy w oczach moich.

Obleliśmy się wspólnym rumieńcem.

— Ach przepraszam, przepraszam mój drogi Sir Francis, — rzecze miła Celina podając mi rękę, — ja zapomniałam, że pan tu jesteś, i wpadłam w swoje zwykłe melancholiczne usposobienia. Ale przejdźmy do drugiego fortepianu; na nim zagram panu i zaśpiewam coś weselszego.

— Ale cóż za pyszne piano! — rzekłem później w trakcie rozmowy, podziękowawszy najserdeczniej za prześliczny koncert.

— Nieprawda?..... to wspaniałe dar mojej dobrej babci, ozdobniejsze są w Londynie, ale lepszych nie ma, patrz pan, *Pleyel*.

— Tak? to dar hrabiny?....

— Skąd pan wiesz, że ona jest hrabiną? — spyta ze struchlałą miną Celina, tłumiąc głos swój i odciągając mnie do najodleglejszego końca sali.

Opowiedziałem jakiej sceny byłem świadkiem wczoraj wieczorem pod teatrem.

— A to pan bardzo niebezpieczny człowiek, że mnie pan tak szpiegujesz, — rzecze Miss Celina z płaczem prawie. — Pan nie wie ile na tém zależy, żeby nikt nie wiedział, iż hrabina Montmorantin jest babką biédnej aktorki teatru Olimpijskiego.

— Hrabina Montmorantin pani babka?....

— Tak jest, mój dobry Sir Francis, — odpowie żalonym głosem Miss Celina. — Dumna hrabina de Montmorantin, jest rodzoną matką rodzonej matki owej biédnej aktorki, która stoi

przed tobą. Ale to jest tajemnica bardzo małej liczbie osób wiadoma, oprócz mego lokaja i méj panny-służącój, nikt tutaj o tém nie wie; *tyś* nieprawnie posiadał tę tajemnicę, na miłość Boga nie wydajże jój nikomu, a najmniéj samój babce, postradałabym jój łaski na zawsze, bo to osoba nadzwyczaj dumna. Wystaw sobie, że własna moja matka nie wie, że jestem aktorką, i przysyłane jój przezemnie pieniądze, uważa za dary bogatych krewnych tu w Londynie mieszkających, *krewnych*, którzy mnie z taką pogardliwą dumą przyjęli, że wolałam się zaprzedać do teatru *takiéj pani Vestris*, o której tyle zlego gadają. Ha! przyznam się, że mną powodowała w chwili, gdym kontrakt podpisywała, nie tylko chęć przyjscia w pomoc méj biédnej matce i rodzinie, lecz także żądza zemsty. Sir Francis! ja się nie nazywam z famili *Athelrieth*, lecz inaczej, jeszcze świetniéj, i wystawiam sobie jakie musi być zadziwienie, zmartwienie tych dumnych arystokratek, gdy ujrzą na scenie swą bliską krewnę! Ach! ale cóż ja tobie powierzam mój Sir Francis, jeszcze nikomu tego nie wyjawiała; aleś ty posiadał trafem część téj tajemnicy, wiedz-

że więc i więcój; ufam ci, bom zasięgała wiadomości o tobie, wiem że masz narzeczoną bardzo ładną i dostojną pannę, i że się zapamiętała w sobie kochacie; więc już nie ryzykuję, żebyś się we mnie pokochał, lub żebym się w tobie pokochała. Zresztą, wkrótce wyjeżdżasz do Rzymu, podobno nawet za dni kilka, może się już nigdy nie zobaczymy w życiu, ale chciałabym, żeby młodzieniec poklaskujący tak serdecznie mojemu miernemu talentowi, wyniósł wyobrażenie dobre o cnocie i charakterze biédnej dziewczyny, przywiedzionój nieszczęściem do tego *zawodu dramatycznego*, tak potępionego w wyższym świecie.

Łzy jak perły stanęły w oczach biédnej Celinny, gdy tych słów domawiała; byłbym się rzucił przed nią na kolana, ale ona widząc mnie wzruszonym, pobiegła do fortepianu i zagrzmiała jakąś wściekłą brawurę, od której aż okna zatętniały. Ach! jak wymowny odgłos jój cierpień i uczuć wrzących w tém szlachetném i zarazem ognistém sercu!

Chwile uciekały za nadto szybko w towarzystwie téj lubéj istoty, byłbym płacił gwineami

każdą minutę upływającą tak prędko, ale hrabina ciągle patrzała na zegar, nie wypadalo pozostawać dluzej, wstalem, wzialem kapelusz, i chcąc przedluzyc chociaz na chwileczke rozmowe, ponowilem prosbe o zdjecie portretu, ktory chcialem kazać wyrobic mozajką jak bede w Rzymie.

— Sir Francis! z tego zadnym sposobem nie być nie może,—odpowie podając mi rączkę Miss Celina.

— Czy wolno znać przyczyny téj nieublaganej niemożności, Miss Celino?

— Nie pojmujesz ich jeszcze Sir Francis? Ty wyjeżdżasz za dni kilka, babka moja zabawi tu jeszcze w Londynie tygodni kilka, i ona pod żadnym warunkiem nie zezwoli na zdjecie portretu mojego, nie chce żeby był upowszechnionym portret jej wnuczki prezentującój się na deskach teatralnych *motłochowi*. Ja także dotychczas nie chciałam na to zezwolić, oparłam się w tym względzie każdej prosbie i kazdej propozycji pieniężnej, nie raz dosyć kuszącej, przyznać się muszę. Babka moja obmyśliwa sposo-

by uwolnienia mnie od zaciągniętych względem dyrekcyi obowiązków, to rzecz nie łatwa....

— Dla tak dostojnej, i jak się zdaje bogatej damy, to nie byłoby tak trudnym zadaniem.

— Ugodziłam się na sześć lat po tysiąc funtów sterlingów rocznie, przytém na rok jeden benefis, dwadzieścia pięć funtów za każde wystąpienie i miesiąc wakacyj.

— To dość korzystne warunki Miss Celino.

— Ale sześć tysięcy funtów sterlingów za platy i miesiąc cały przymusowych występów w razie wypowiedzenia kontraktu: kontrakt zrobiony przed notaryjuszem, i *prise de corps* w razie niedotrzymania; to okropnie ciężące warunki mój dobry Sir Francis!

— To za nadto uciążliwe warunki, sto pięćdziesiąt tysięcy franków? jak mogłaś przystać na to?

— Ale nędza w domu, matka i pięcioro rodzeństwa?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy franków, i na to zdobyć się nie może babka twoja Miss Celino?

— Ma pięćdziesiąt tysięcy dożywocia, żu-

dnego *zdaje się* majątku, za ledwie sama utrzymać się zdola w hrabiowskim tonie, ale chce się starać u mojego stryja bogatego hrabi de Montmorantin o kapitał potrzebny na wykupienie mnie z tego uciążliwego jarzma. Ja i temu się opieram; czémże będę potóm? na lasce krewnych pozostającą wysokiego rodu, a żadnej fortuny panną. Będą mnie obwozili po balach, prezentowali, chwalili mnie z talentu, z piękności nawet, a talent i piękność w osobie nieożywianej nadzieją i samoistności poczuciem, jest jak ów kapitał zakopany w ziemi, który i nie procentuje i jeszcze śniedziejąc traci coraz więcej ze swęj wartości. Bądź zdrów dobry Sir Francis, bądź zdrów, jedź w dalekie kraje, obraz aktorki powinien wyszumić ze szlachetnej pamięci wiernego narzeczo nego, pocóż ten obraz miałbyś wozić z sobą gdzieś w kufrach?

Tyle było uczucia w jęj mowie, do mnie nikt jeszcze tak nie przemawiał. W bieli ubrana, śliczna i piękna, pełna pałającego ognia dla sztuki i dla tych, których karmiła pracą swoją, wznoszącą smak w brutalskim narodzie, tylko zarobkowi i instynktom materyjalnym oddanemu. Bo-

że! czyż ta dziewczyna nie była godną ubóstwienia.

— Im więcej cię znam Miss Celino, tym trudniej mi jest odstąpić od prośby mojej; ja czuję w głębi serca, że nie mógłbym się obejść bez twojego obrazu pod żadnym względem, nasadzę w teatrze dwudziestu najlepszych malarzy londyńskich, i każdemu każę cię malować lub rysować: jeden przynajmniej musi się udać, albo ze wszystkich zrobi się potem jeden dobry.

— Upartym jesteś mój młody przyjacielu, — odpowie Miss Celina rumieniąc się cokolwiek z gniewu; — słuchaj! ja mam daguerotyp zrobiony w przeszłym roku w Paryżu, poświęcę go dla ciebie, przyślę ci go jutro w południe przez mojego służącego Samuela. Teraz bądź zdrów.

— Ale przed odjazdem mogę być jeszcze raz jeden?

— Raz jeden, ale nie więcej, moja babka nie lubi, żeby kto przychodził, i ciągle mnie pilnuje.

Nazajutrz ogromny Samuel przyniósł mi da-

guerotyp Celiny, oprawny w szczerolote turkusikami wysadzone ramki. Ucieszony, dałem drażgalowi pięć suwerenów i kazałem mu wypić z moim *szczupakiem* butelkę kseresu i dwie portwejnu.

Potém, przyznam się, cokolwieczek go wybadywałem; służył w domu rodziców Celiny od lat trzydziestu, zna ją od urodzenia, lepszéj nie widział istoty na świecie, sama cnota i dobroć. Ojciec Celiny był baronetem i pułkownikiem gwardyi, ale w pojedynku zabił jenerała swego, musiał uciekać, tułał się po Europie, majątek stracił przez grę i nierząd, umarł w Montpellier, gdzie pozostała matka Celiny i pięcioro rodzeństwa bez sposobu do życia. Bogaci krewni podupadłych ludzi, wszędzie bardzo nieużyty; Miss Celina z natury dumna, wołała pod zmyśloném nazwiskiem pracować na utrzymanie matki i wychowanie braci, posyła matce dziesięć tysięcy franków na rok, reszta zaledwie wystarcza na utrzymanie domu na nadzwyczaj skromnéj stopie, bo samego komornego płaci się ośm tysięcy franków, a toaleta bardzo wiele kosztuje. Ani słowa, Miss Celina, płacona lepiéj

od jenerała-lejtnanta angielskiego bardzo jest ubogą.

Otóż doktorze, w parę dni potém hrabina wyjechała do Francyi, bo coś nadzwyczajnego zaskoczyło; a ja zostałem wychowańcem pięknej panny Celiny, pobieram od niéj codziennie lekcyje śpiewu i muzyki, kształcę się w towarzystwie téj lubéj, najmiłszą estetyką przesiąkłéj osoby, i daleko więcéj znajduję żywiołu w lotnym dowcipie młodéj aktorki, jak w ciężkim rozumie członków parlamentu, obradujących o losach kraju, Europy i świata. Czuję się szczęśliwym, jak się nigdy nie czulem, dnie schodzą mi jak chwile, i gdy sobie wspomnę że tak długo i mozolnie kształciłem się na wzorach spartanizmu szkockiego, wówczas mi żal tego czasu i tych mozolnych wysileń, które nie uczają mnie nic prawdziwie praktycznego, pozbawiły mnie owéj giętkości umysłu dzisiaj niezbędnéj. Więc porzuciłem szermierstwo, wraz z parlamentarnemi wykrzyknikami, stałem się Ateńczykiem, w estetyce czerpiącym zasoby życia, umu i rokoszy, i jestem sobie teraz dzisiejszym człowiekiem, ożyłem, ale przenikliwym, giętkim,

zręcznym, nie wysilającym się jak gladyjator na zdobycie sławy w bokswaniu, lecz umiejący się z całego serca cieszyć sławą w salonach, między arbitrami losu naszego, kobietami zdobytą. A wszystko to, ową zręczność, ową przytomność umysłu, owe maniere, którym nic oprzeć się nie może, zawdzięczam owój cudownej dziewczynie, którą znalazłem na deskach teatralnych, a która warta siedzieć na tronie. Cóż ty na to doktorze? czy nie jesteś mojego zdania? przecież ją zapewne nie raz widziałeś? podziwiałeś? a z tego co ci o niej opowiadam przekonywasz się jak piękna dusza przebywa w tém śliczném, zdrowém, niewinném ciele.

— Bodajbyś się nie mylił mój kochany Sir Francis,—odpowiedziałem nareszcie zasmucony opowiadaniem baroneta i jego manierami wylamanemi na fircykowatą stopę salonów; — bodajbyś się nie mylił i nie żałował, żeś dla aktorki zmienił tryb życia, sposób myślenia, wiarę filozoficzną. Nie widzę wcale w Miss Celinie takiego feniksa, godnego chlubić się podobnemi cudami. Nie mogę sądzić o jój ukształceniu umysłowém, bom z nią nigdy nie rozmawiał,

ale mniemam, że i na to przez kalejdoskop rozgrzanéj młodzieńczej wyobraźni spoglądasz. Ładna, bo ładna, i świeża i gracka, to ani słowa, ależ nie braknie ładnych a nawet prześlicznych w Londynie; gra nie źle, zachwyca naturalnością, ale śpiewa tak! bardzo dobrze swoim małym sopranikiem, głosikiem skazanym na roztrącanie ech teatrów drugiego rzędu.

Na to się zerwał Sir Francis jak sprężyna i krzyknął.

— Ach! widzę że się najzupełniej nie znasz na śpiewie, nie spostrzegasz tego, że ona umyślnie tłumić musi swój głos, żeby się nie wydawał krzykliwym w tak ciasnych obszarach jak jest teatr Olympu. Ale żebyś ją był słyszał w Oratoryjum w ogromnym kościele Ś-go Pawła? Cha! byłbyś dopiero powiedział, że tak świeżego i mocnego głosu nikt nie ma prócz może Julii Grisi i Jenny Lind. Nie! na śpiewie się nie znasz kochany doktorze, na aktorkach także nie wiele, może nawet i na kobietach się nie znasz. Cha! cha! cha! malutki sopranik, skazany na budzenie echa teatrów drugiego rzędu?

Niechże cię doktorze kaczkę zdepcą, och! nie będę z tobą nigdy gadał o Celinie.

— Sir Francis, na miłość Boga! strzeż się, zanadto się zajmujesz tą osobą. Przypomnij sobie co Gil Blas mówił o aktorkach: wielka lub mała, mądra lub głupia, piękna lub brzydka, brunetka czy blondynka, aktorka jest istotą pokuszenia, zdrady, zguby, i powinna wzbudzać obawę.

— Bądź zdrów nudny moralisto, biegnę do mojej Miss Celiny; obmyć sobie jej widokiem uszy skalane twemi słowami, — krzyknie i wypada na ulicę, nie podawszy mi ręki.

A ja sobie pomyślałem: — wszędzie są wyjątki, nawet pomiędzy aniołami, ale sama miła Jenny Vertpré, także aktorka, mówi o aktorkach: — pour les filles de Thalie sagesse est un poison,—a ja wierzę dobrej Vertpré, która zebrawszy w bardzo różny i dość rozmaity sposób spory majątek, zapisała go na szpital i została siostrą miłosierdzia. Ha! miała wtenczas lat około pięćdziesięciu; Miss Celina tego nie zrobi, ale poprowadzić może entuzjastycznego baroneta do domu obłąkanych, to rzecz pewna

i że chwalić się później będzie tryjumfem, i to możliwe, bo nie raz slyszalem jak się aktorki chlubiły ze swych ofiar, które zginęły w pojedynku, które sobie w łeb strzeliły lub zwaryjowały, lub téż w szpitalu lub w więzieniu zakończyły życie.

* * *

Już się nie jawi u mnie Sir Francis; i nie znajduję go nigdy w domu, w którym Szczupak siedzi z zasępiąłą miną, i żali się na zażyłość swego pana z owym starym drągalem Samuelem, lokajem téj aktorki. Szczupak utrzymuje, że baronet czasami całą godzinę z tym lokajem przegada, wypytujac go się o najdrobniejsze szczegóły życia Miss Celiny, o zamki jój matki, i pulki jój ojca.

— Dalibóg, już mnie zaczyna być wstyd za takiego pana, godności swojej utrzymać nie umiejącego; jak to można wchodzić w pogadanki z takimi nikczemnymi istotami jak my, służący?! — rzeknie fagas spluwając.

Alem go spotkał raz na Regents Kwadrancie cóś w trzy tygodnie po naszej rozmowie, w któ-

rój przekonać mnie chciał na zasadzie estetyki, że spartanizm jest śmieszną karykaturą, i nic więcej.

— Cha widzisz! powiadasz, że Celina ma małą głosinę, *un piccolo soprano di pachetta*, otóż patrz, powołują ją na primadonnę do opery San Carlo, z roczną płacą sześćdziesiąt tysięcy liwrów i trzema benefisami; przytém trzy miesiące wakacyj i wolność zbierania wawrzynów w całej Europie. Aha! drobniutki głosik — czytaj, czytaj.

I wręczył mi list. Ani słowa, podpis dyrektora Opery, księcia de Barberini, byłego ministra neapolitańskiego, który został dyrektorem Opery z miłości dla śpiewu i wszystkich sztuk pięknych, wyższych i niższych.

— A cóż, ma głos? czy téż tylko malutki, kieszonkowy sopraniczek? — spyta Sir Francis wyglądając tryjumsfująco.

— Ani słowa, musi go mieć więcej niżem go słyszał, kiedy ją powołują do Neapolu. Więc jedzie? jedzie? ale tutaj jest zaangażowaną na lat sześć; sto pięćdziesiąt tysięcy franków wynagrodzenia w razie złamania zawartéj umowy...

oto sęk! Skąd ona weźmie tyle pieniędzy? ona podobno złamanego grosza nie ma.

— Skąd weźmie tyle pieniędzy? albożto nie ma przyjaciela we mnie? Pożyczam jój te biédne sześć tysięcy funtów sterlingów, najdalej za dwa lata będzie mi je mogła zwrócić, ona swym talentem milion funtów sterlingów zapracuje jak nic, i ręczę, że za jakiego udziałnego księcia wyjdzie, to jest, jeśli kto będzie w stanie zyskać to serce, już *innemu* całkowiec oddane. Bądź zdrów doktorze, właśnie się uganiam za pieniędzmi, z wielką mi to przychodzi trudnością wydostać tę nędzną kwotkę, bo ja to właściwie jeszcze testamentem nieboszczyka ojca jestem skazany na dźwiganie jarzma opieki aż do końca dwudziestego czwartego roku, i właściwie jeszcze nic nie posiadam. Ale, trzeba się udać do lichwiarzy, i robi się interes.

— Sir Francis, zabrniesz w okropne długi, wcale mi się nie podoba to pożyczanie tak wielkiego kapitału. Nie zapominaj że masz matkę i narzeczoną; już coś napomykasz o jój *sercu całkowiec komuś oddaném*; zlituj się na miłość Bo-

ga, serce aktorki, kiedy właśnie warunkiem bytu i szczęścia tych osób....

— Może mieć serce, i daleko lepsze i większe od serca ludzi przesądnych, — odpowiedział cierpko baronet, i pędzi w swoją drogę do jakiegoś lichwiarza, któremu za ośm tysięcy funtów sterlingów zobowiązał się zapłacić dwanaście tysięcy za czternaście miesięcy, skoro dojdzie do pełnoletności.

* * *

Znów go nie widać z jakie dziesięć dni, aż nareszcie jednego rana przybiega do mnie Pike, służący jego.

— Nie trać pan ani jednej chwili, tylko pan bież ze mną do Sir Francisa, którego przed ćwierć godziną przywieziono do domu złupionego, na miazgę zboksowanego, i jeszcze do tego ranionego w pojedynku kulą pistoletową, która dotąd pozostaje w prawém ramieniu. Samuel Bembou, służący owój aktorki Miss Atelriecht go przywiózł, i czekać u niego będzie aż pan nadejdzie. On leży jak półumarty, i ustawicznie pana przyzywa; ha! pan mu dobrze radził, on

zaś słuchać nie chciał, teraz się doigrał: okropnie wygląda, dawnom już nie widział tak zbitego człowieka.

Nie straciłem ani chwili, jestem w mieszkaniu baroneta, w którego przedpokoju siedział Samuel Bembou, służący Miss Celiny z pałającą twarzą, spijając sobie portwajn z trudną do uwierzenia brutalską obojętnością.

— Kto? cò i jak?—spytam się tego drągala?

— On panu wszystko sam opowie, powolnym czasem jeśli nie umrze, rozumie się, — odrzeczcie służący, i kiwnąwszy głową odchodzi.

Biędny baronet okropnie wyglądał: jego szlachetna twarz pokryta była sińcami, trzy zęby miał wybite z przodu, oczy krwią zaszłe, ramię chustkami przewiązane, i suknie zbroczone także krwią, a leżał na szesłagu milcząc, wzdychając i smutnie kiwając głową.

— Doktorze! ból głowy najokropniejszy, gorączka, pragnienie, krew jeszcze uchodzi z rany, widzisz, nawet przesiąka ten bandaż; daj sobie sam radę bez pomocy chirurga i cyrulika, bo przedewszystkiém żadnego rozgłosu: honor!

honor! przynajmniej ocal; biedna moja matka! biedna narzeczona! ach! tyś wszystko przewidywał, nie dobrze zmieniać tak nagle sposób myślenia; przekłeta aktorka, Celina jest potworem, nie widziałem podobnego w życiu swoim.

— Przedewszystkiém nie mów nic Sir Francisie, i zezwól na puszczenie krwi, ogolenie głowy, przystawienie baniek i pijawek, — radzę biednemu młodzieńcowi.

— Na wszystko zezwalam, bo pałam żądzą zemsty, i chcę żyć dla niej tylko, ale koniecznie żyć chcę dla niej tylko.

Baronet zaczął majaczyć, nawet w szal wpaść. Obawiałem się tetanosa; kazałem ogolić głowę, krew puścić, bańki i pijawki postawić, odwiązałem tymczasowy bandaż, arteryjną ramienną podwiązać musiałem, kulę splaszczoną na kości wyjąć: nareszcie obwiązawszy ranę, przyłożywszy pęcherz z lodem do głowy i do rany, uzyskałem spokojność dla biednego ranego.

Przez cały tydzień pozostawał w najwię-

kszém niebezpieczeństwie, i jak tylko chwila-
mi przychodził do przytomności, to spoglądał
w około siebie, czy jakiejś obcej nie ma osoby,
w najczulszych mnie błagał wyrażeniach, abym
nikogo nie przybierał do pomocy, ani nie przy-
puszczał do tajemnicy. Słudzy, nadzwyczaj wier-
ni swemu panu jak to nie rzadko w Anglii, tak-
że sumiennie strzegli tajemnicy, bo ich o to pro-
sił Sir Francis zaraz po swym powrocie do domu
z jakiejś nieprzewidzianej i nieprzepowiedzianej
wyprawy, trwającej tylko dwadzieścia cztery
godzin, a tak jednakże płodnej w przygody.

Nie opuszczałem go ani na chwilę, i z nie-
małym dowiedziałem się zgorzeniem, że Miss
Celina, która codziennie przysyłała służącego
swojego pytać się o zdrowie Sir Francisca, wy-
stępowała jednakże prawie co wieczór w jak
najkomiczniejszych operach Verdego, i sumien-
nie się ubiegała o poklaski publiczności.

Komedyjantka nie ma czucia, przynajmniej
w Anglii, komedyjantka może zdobywaniem ła-
twości udawania wszystkich uczuć, tracić jego
rzeczywistość, pali kosztowny obraz dla otrzy-

mania z niego popiołu, poświęca swoje sumienie dla otrzymania poklasków.

* * *

Cały tydzień upłynął w niepewności życia dla biednego baroneta; drugi upłynął w srogich boleściach, trzeci w wycieńczającej gorączce, czwarty i piąty w litość wzbudzającym osłabieniu; tymczasem, coś w czwartym tygodniu jego choroby, przedstawienia w teatrze Olimpu ustały, i dowiedziano się, że jego dyrektorka zbankrutowawszy wyjechała tajemnie z panną Celiną i z kilkunastu lepszymi aktorkami i *aktorami aż do Ameryki Północnej do Nowego Yorku*. I Samuel wyjechał z panią swoją. W Olimpie pozostały tylko chóry, komparsy, corps de ballet, ludzie z orkiestry, z maszyneryi i inni mniejsi półbożkowie, których w obecnym stanie oświaty w każdym miejscu, do którego dochodzi światło nauki i sztuki, bardzo łatwo zastąpić.

Pani Vestris zapomniała tych biédaków zaspokoić, i teraz są do żebractwa przywiedzeni, muszą po prostu ręce wyciągać. Doszły nawet do Ameryki jęki tych nieszczęsnych, ale już się

zimni republikanie zachwycają boską Celiną, już się zaprzęgają w całym znaczeniu tego słowa jak konie do jej tryjumfalnego wozu; wszystkie jęki boleści ucichły przy tych entuzjastycznych okrzykach. Już nawet o tym mówią, że Miss Celina Atelrieth, idzie za jakiegoś ogromnie bogatego bankiera w Nowym Yorku.

Ale do tego nie przyjdzie, chociażby tylko dla tego, że Miss Celina Atelrieth jest, i to już od dwóch lat, żoną pana Samuela Moppsa, mniemanego sługi swojego, dawnego *klowna* angielskiego, który podróżując przed kilkunastą laty w Hiszpanii dla dawania przedstawień herkulesowskich, kupił tam od umierających z głodu cyganów jakieś zapewne skradzione dziecko świetnej urody, lubo strasznie zbiédzone i brudne, i swym kosztem jak najstaranniej we Włoszech, we Francyi i w Anglii wychowywał na aktorkę i na żonę swoją.

Udało mu się prześlicznie: cygańskie dziecko, nie znające nigdy ani ojca, ani matki, wyrosło na Precyjozę najlepszego gustu, zostało żoną swego opiekuna, udającego przy niej służącego, i służyło mu i pani Vestris na durzenie ła-

twowiernój i niedoświadczonój młodzieży angielskiej.

Baśniami były owe historyje o babce hrabini Montmorantin, o przyjacielu księciu Saint Albans, o powołaniu na primadonnę do Neapolu przez księcia Barberiniego. Wszystko to komedya ułożona umyślnie na złowienie serca, a następnie i pieniędzy entuzyjastycznego baroneta. Pani Vestris sama raczyła przedstawiać babcię hrabinę, kochany zaś pan Samuel Mopps przedstawiał kolejno i księcia Saint Albans zajeżdżającego w pożyczanej karecie, i fagasa spijającego się tak dobrodusznie ze szczupakiem baroneta, plecącego tyle ładnych bajeczek o nieboszczyku ojcu Celiny i o jój biédnej matce, z rodu hrabiance.

Ale jakim sposobem, przy jakiej okoliczności, dzięki jakiemu podstępowi lub jakiej *chwili zobopólnego zapomnienia* Sir Francis przyszedł do kulaków, wprawną pięścią tak serdecznie wydzielonych, a oraz i do postrzału w ramię, — tego właściwie sam dobrze nie wiem; to jednakże mogę zaręczyć, że zazdrosny a dobrze w boksy i w strzelanie wprawny *klown* poczęstował

estetycznego baroneta w chwili gniewu jedném, a w chwili wymaganego zadosyć uczynienia drugim. I to wiem, że on go przywiózł do domu w najnielitościwszy sposób odartego, spoiniewieranego i rannego, i że się dopytywał o jego drogie zdrowie najstaranniej codziennie przez całe trzy tygodnie, wypijając przytém po butelczce dobrego portwajnu ze Szczupakiem. A potém, gdy się przekonał, że baronet nie umrze, lecz że wraca do zdrowia, namówił panią Vestris do bankructwa i uciekł ze zdobyczą, z wawrzynami i z lubą żonką do Ameryki.

Nie ścigał go Sir Francis, lecz zniewolony mojemu prośbami, wrócił do Szkocyi i do spartańskiego życia, i ożenił się coś w rok potém z kuzynką swoją.

Zajście zaś to całe nie miało żadnego rozgłosu, pozbawiło tylko baroneta trzech zębów, tyleż kroć sto tysięcy franków, władzy w ramieniu na pół roku, i zbytniego ulubienia w artyzmie.

Tę zaś historyją opisałem nie dla tych, co siedzą w naszym pocziwym kraju, w którym nic podobnego z wielu bardzo przyczyn, a zwła-

szcza z przyczyn moralności naszych córek Tallii, Melpomeny i Terpsychory, wydarzyć się nie może; lecz ją spisuję dla tych, co to podróżują po obcych krajach, i łakną wrażeń, których u nas doznać nie można.

ROZDZIAŁ IV.

Suchotnica.

(Z opowiadania lekarza angielskiego.)

Dla duszy bogobojnej, która pragnie wtajemniczyć się w zamiary Boga, nie ma godniejszego zastanowienia się przedmiotem, dosyć zwyczajnego niestety w kronikach medycyny w Europie, a mianowicie w Anglii, nad suchoty. Choroba straszna, która oszczędza występki, nie karze rozpusty, lecz której ofiarami są: młodość, piękność i cnota. Pewnym być można, że istota nacechowana jej nieszczęsnym piętnem, nie ma w sobie nic pospolitego. Umysły rozwinięte przedwcześnie, dusze szlachetne i wzniosłe, cha-

raktery łagodne, podlegają téj strasznej pladze, która je wyrывa z upodobaniem, nawet z pewnym, stałym i nienasyconym okrucieństwem.

Ilekróć razy zastanawiałem się nad ofiarami téj plagi, zawsze ponure myśli obudzały się w méj duszy. Cbrześcijanie wielką wyznają prawdę, że „Sprawiedliwość nie jest z tego świata.“ Szatanie zniszczenia, pytałem wówczas, czemu ofiarami twemi nie mogą być zgrzybiałość lub występki; skąd ta potężna przebiegłość twoja, która niweczy całe wysilenie sztuki, całe doświadczenie tylu wieków. Dla czego właśnie te istoty, które Stwórca hojnie obdarzył przymiotami umysłu, silniejszym natchnął uczuciem miłości, zimny twój miecz uderza bez względu. Kiedy się objawiasz, jest zawsze za późno, nacechowana przez ciebie ofiara, jest na śmierć wskazana poprzednio.

Nie trudnym byłoby zadaniem, na następstwach naturalnych téj choroby, usnąć jaki romans tragiczny, któren, zwłaszcza pod piórem utalentowanego pisarza, nabralby dostatecznego dla czytelników zajęcia; nie ten atoli jest cel mój, w krótkości przedstawię tutaj jeden przebieg téj

choroby, na który miałem sposobność zapatrywać się. W licznym szeregu przykładów wybiorę ten właśnie, któren najmniej przedstawia okoliczności dziwnych i romantycznych. Nie mam bowiem zamiaru układać dramatu dla zabawienia próżniaków.

Dziesiąty rok życia zaczynała Miss Herbert, kiedy została sierotą; jój ojciec i matka umierając przedwcześnie, polecili swe dziecię opiece podeszłemu baronetowi, stryjowi sieroty, a którego łagodny i szlachetny charakter, zdawał się przedstawiać wszystkie rękojmie przyszłego jój szczęścia.

Zdradzona pierwsza miłość, zostawiła w duszy stryja, głębokie i niezatarte na przyszłość wrażenie, postanowił nie wchodzić w związki małżeńskie powtórnie. Majątek jego uszczuplony niezmiernie rozrzutnością ojca, nie wystarczałby na utrzymanie ani stanowiska, ani tytułu jakie posiadał, gdyby nie wpływy bliskiego krewnego, któren mu wyrobił nader korzystną w Indyjach posiadłość. Wiadomo, że to jest powszechny ratunek zbankrutowanych majątków, i dzięki dziwnym i tylko polityce Wielkiej Bry-

tanii właściwym urządzeniom, najpiękniejszy obszar ziemi na świecie Hindostan, jest dzisiaj tylko rozległym szpitalem dla zrujnowanych rodzin trzech królestw.

Konieczny ten środek nie przypadłał jednak do serca stryjowi, odkąd stał się ojcem dla Miss Herbert. On ją pokochał z całą żywością i energią duszy, która się nie kalala w poziomych rokoszach życia, i przechowała całą młodość i świeżość swych uczuć.

Jego szczęście, jego nadzieje, skoncentrowały się w osobie biednej sieroty. To przywiązanie wypływało zarazem z jego upodobania i obowiązku, z poświęcenia się i współczucia. Myśl pozostawienia saméj w Anglii, wystawienia jéj na wszelkie przypadki życia, zdala od swego jedyne go obrońcy, dręczyła go niezmiernie; z drugie j znowu strony, klimat Indyj i zgubny wpływ jego na Europejczyków, mianowicie kompleksyi delikatnéj, przejmował go obawą. Nie miał dostatecznego zaufania w żadnym z licznych pensyjonatów naukowych, którymi chlubi się Wielka Brytania, postanowił więc zabrać ze sobą młodą sierotę.

Nie mając jeszcze jedenastu lat skończonych, Eliza, takie było jój imię, znajdowała się w Kalkucie. Niby latorośl wątła i delikatna, wystawiona na żar płomienistego słońca i zgubne wpływy zabójczego klimatu.

Nie tyle piękność, ile regularność kształtów i rysów odznaczały szczególniej Elizę; w chwili, w której ją poznałem, mogłaby służyć za typ wieku dziecięcego.

Istota pełna świeżości, lecz zarazem wątła, którą zdawało się, że najmniejszy powiew wiatru uniesie, i która zaledwo ziemi dotykała swojemi stopami. Rozmawiając z nią, doznawaleś pewnego rodzaju obawy, aby głośniejszym tonem lub ruchem jakim porywczym, nie urazić téj natury łagodnej i delikatnej.

Wszystkie uczucia, jak równie rysy Miss Herbert, zdawały się należeć do rzędu stworzeń mniej ziemskich, więcej idealnych niż u innych ludzi.

Tkanka jój skóry była cieńszą, i tworzyła półcienie przezrocyste, naksztalt zabarwionéj porcelany, jój włosy były bardziej delikatne niż jedwab', a brwi jeszcze delikatniejsze, tworzyły

osłonę nad jój niebieskimi oczyma, pełnemi niewypowiedzianej słodyczy. Z obrazem Miss Herbert nie mogłeś łączyć żadnego wyobrażenia tchnącego namiętnością, zapalem lub energiją. Wszystko w niej było wyszukanie delikatne, i gdyby była dłużej żyła, niezawodnie burzliwe chwile ziemskiego życia byłyby ją złamały, jak wątłą łódkę uniesioną na wzburzone morskie fale.

Charakter jój był zgodny z fizyjonomiją i usposobieniem jój moralném; tło jego stanowiły łagodność, wdzięk, figlarność i skłonność do marzeń. W samotności największe znajdowała upodobanie, unikając wszelkiej wystawy, rozgłosu, ruchu; lecz i ta melancholija była umiarkowana, bo upodobanie do ustronnego życia było pełne wdzięku, tak jak wszystkie jój wzruszenia.

Łagodny jój umysł, szczęśliwa organizacyja, sprzyjały do rozwinięcia się w niej wczesnie znamienitych zdolności. Utwory fantazyi były jój ulubionym przedmiotem, które czytała z zajęciem. Jedném słowem, trudno sobie wyobrazić

w jednej osobie, tak anielskiej, tak ujmującej i odznaczającej się istoty, jaką była Miss Herbert.

Matka jej w dwudziestym roku życia umarła w skutku choroby piersiowej, a w sześć miesięcy później, tyfus pozbawił ją ojca. Sierota odziedziczyła słabą kompleksyjną swych rodziców, i dla tego, od samego urodzenia otoczona była wszelkimi staraniami, które przesadzone, jeszcze bardziej wpłynęły na rozwinięcie w niej słabej kompleksji, z jaką na ten świat przyszła.

Uczucie przyzwoitości panowało w jej duszy nad wszystkimi innymi uczuciami, i z tego względu sędzę, że trudno byłoby romansopisarzowi wziąć z niej model na jaką heroinę. Wszelką przesadę uważała za kłamstwo, i czuła względem niej nieprzepartą odrazę. Jasność myśli, bystrość poglądów i trafność spostrzeżeń, które nigdy nie były ze sobą w sprzeczności, znamienowały jej umysł. W sztukach pięknych mimo swojej młodości zajmowała ją tylko prawda, w życiu towarzyskiem, szczerłość. Przebóg! z taką duszą czyż można długo istnieć na tym świecie.

Jeden zarys wzięty z jej życia, może dać

niejakie wyobrażenie o jój charakterze. Kiedy jeszcze malém była dzieckiem, stryj jój wprowadził ją do domu jednej podeszłej baronowój, kobiety światowój, która przesadzoną wymową starała się podnieść swe wdzięki, i okazać prawo do wyższości tonu. Zachwycona widokiem ładnego dziecka, które jój przedstawiono, zdobywała się na pochlebstwa, pochwały i wykrzykniki, które bardzo się nie podobały malój dziewczynce.

— Nie chcę odwiedzać téj pani,— rzekła do swego stryja za powrotem do domu, ona kłamie, nazywała mnie bowiem aniołkiem i małą boginią; mój stryju, nie chodźmy już do niój nigdy.

Nie wiem czy moi czytelnicy uznali równo ze mną tę przenikliwość w spostrzeżeniu, i to zamilowanie prawdy małego dziecka, które się objawiło w tych kilku wyrazach; rokosz była patrzeć na tę szczerą prostotę i umysł przenikliwy, utrzymujące się w swój mocy pośród wyszukanych zbytków i oznak czułości bez granic, któremi otaczana była Eliza.

Stryj, któren żył w odosobnieniu, i którego melancholija pełna pœzyi z przymieszanemi nie-

co uczuciami mizantropii, tworzyła jego charakter, spoglądał z roskoszą, ale zarazem z niejaką obawą na dziecię, które pod jego okiem wzrastało. I im bardziej te chlubne przymioty w niej się rozwijały, tém większe czuł ku niej przywiązanie, lecz i trwoga żeby jęj nie utracić powiększała się zarazem. Ta to trwoga była jedyném zmartwieniem Karola Herbert, którego powodem była Eliza.

— Ach! — odezwał się raz do mnie z głębokiém westchnieniem. Ja jestem podobny do owego majtka w Tysiąc i jednej nocy, któren cały swój skarb w wążłłej ukrył barce; to biédne dziecię, ta istota tak słaba, zajmuje całą mą duszę, pochłania wszystkie moje myśli; gdybym ją utracił, wiesz doktorze, to dla mnie byłoby wszystko na świecie stracone. Bo i cóż mnie wiąże do tego świata, ani związki familijne, ani przyjaźni... znikąd nie mam się czego spodziewać, tylko ona, ona jedna. A jak widzisz, ona jest za piękna, za dobra dla tego świata. Niebo pożyczyło nam jęj na pewien czas, ale jęj nie darowało, i ile razy wieczorem przyglądam się jęj pogrążonej we śnie, zdaje mi się jakby nad jęj piękną głową

krążyły posłańce nieba, oczekujący chwili w której mnie ją odebrać mają. Uczucia jakich doznaję z powodu tego dziecka, są dziwne mój doktorze, zdaje mi się nie raz, że ona jest tylko uludnym widmem nieba, które wkrótce uleci, a ja niestety nie mam prawa błagać niebios o dłuższy jej pobyt na ziemi. I w tej ciągłej obawie nadjęcia tej strasznej chwili, widzę że wówczas i moje życie byłoby stracone.

Przywiązanie stryja do swojej siostrzenicy, połączone z obawą jej utraty, wzrastało z dniem każdym; wkrótce podniosło się niejako do stopnia ubóstwienia. Po jednorocznym pobycie w Kalkucie, niespokojność o zdrowie i życie swjej siostrzenicy, tak się wzmożła i niepokoiła go, iż wolał opuścić nader korzystną posadę którą zajmował, aniżeli wystawiać na niepewność szczęście i życie Elizy. W rzeczy samjej, pobyt w Indyjach jest grobem dla osób słabych piersi; w tym kraju, gdzie powietrze którym odychasz jest palące, najmniejsze zarody dziedzicznej choroby piersiowej rozwijają się z gwałtowną szybkością.

Na nieszczęście, stan majątkowy był na prze-

szkodzie do jego powrotu do Anglii, i jeszcze cztery lata upłynąć miało, zanim wierzyściele ojca poznać mieli długi, któremi dobra Karola Herbert były obciążone. Napróżno błagał u swego rządu o jaką posadę chociażby nawet mniej korzystną, któraby go powołała do Anglii. Zawód, jakiego doznał w tym względzie, podkopał mocno jego siły fizyczne, i przyprowadził go do niemożności pełnienia powierzonych sobie obowiązków; zabierał się więc do powrotu do Anglii schorzał i ubogi, gdy dziwna wspaniałość jednego nababa (a) przywróciła mu majątek i nadzieję.

Był to serdeczny przyjaciel Sir Karola Herbert, któremu ten ostatni wyjawiał swoje zmartwienia i obawy względem stanu zdrowia swój siostrzenicy, jak równie usilne pragnienie powrotu do Anglii, dla wyrobienia tam dla siebie jakiej posady zaszczytniej zarazem i korzystnej. Pomimo wielkiego wpływu jaki posiadał u ludzi przy sterze władzy zostających, nabab oddany całkiem zmysłowości, żadnego nie uczynił sta-

(a) Nabab, przydomek dawany spanoszonym w Indyjach anglikom.

rania dla poratowania swego przyjaciela. Nie miał on ani dzieci, ani żony; umierając, testamentem zapisał cały swój majątek, jeden z najpiękniejszych w Indyi Sir Karolowi Herbert i jego siostrzenicy do równego podziału, a w razie śmierci jednéj ze stron, majątek miał przechodzić na pozostałą. Po otrzymaniu tego spadku, któren był czysty i w zupełnym porządku, Sir Karol spiesznie opuścił Indyje udając się do Anglii.

Jeszcze w czasie swojego pobytu w Indyjach, niepokoiły go często obawy względem zdrowia Elizy; wezwał więc rady doktora Charnej, jednego z najsłynniejszych w Kalkucie, opowiedział mu wszystkie szczegóły tyczące się urodzenia młodéj dziewczyny, i swoje obawy jakie mu się w tym względzie nasuwały. Zwracał uwagę doktora na cerę purpurową, która występowała na jéj białych policzkach, na delikatność niezwykłą, która ją odznaczała. Z polecenia jego doktor przychodził często na obiady, aby zabrawszy miejsce obok Miss Herbert, mógł dokładniéj zbadać, czy niebezpieczeństwo zagraża jéj zdrowiu.

Czy to lekkie traktowanie téj okoliczności, czy téż brak doświadczenia, wreszcie, czy choroba jeszcze nierozwinięta nie dozwoliła się wyśledzić, dosyć, że doktor w ciągu swych spostrzeżeń nie odkrył żadnego symptomatu suchot. Spokojność wstąpiła na nowo w duszę Sir Karola, gdy go zapewnił doktor, że nie widzi żadnej skłonności do suchot w młodej dziewczynie, i że powróciwszy do Anglii, może się nawet długiego spodziewać życia.

Elizie dziwném się wydawało, że obcy człowiek do familii wcale nienależący, stał się nagle poufnym domownikiem; spoglądał na nią długo wzrokiem badającym, śledził jój poruszenia, przysłuchiwał się jój rozmowie, pośród żartów brał ją za puls i dawał jój szczególniejsze zapytania co do jój snu i zdrowia. Eliza obdarzona była niezwykłą przenikliwością umysłu, zwieść ją było rzeczą niepodobną, a niezręczne wzięcie się doktora, do reszty ją objaśniło. Zapytania bowiem czynione przez niego pokojowej Miss Herbert były jój powtórzone. Od téj chwili, zrodziło się w niej podejrzenie, że jest dotknięta chorobą niebezpieczną, i dla tego jest

pod dozorem tajnym doktora, którego obowiązkiem jest śledzić ją na każdym kroku. Jakieś uczucie ścieśnienia, obawy, niepokoju, oswładnęło jój umysł. Na widok tego szpiega lekarskiego, którego tytuł i przeznaczenie przed nią ukrywali, doznawała mimowolnej trwogi; drażliwość nerwowa rozwinęła się w niej tém bardziej, i jedyny skutek jaki wydała ta nieszczęsna przezorność był ten, iż młoda dziewczyna niepokojona była boleśnie, przekonaną będąc, że idzie o to, aby ją ratować jako zagrożoną niebezpiecznie.

Stryj wysilał się na wyszukanie pozorów dla usunięcia z umysłu swój siostrzenicy téj myśli, zakłócającej jój spokojność. Cały swój zapas dyplomatycznych tłómaczeń wyczerpał, dowodząc jój, że stosunki handlowe i spekulacyjne sprrowadziły doktora w dom jego; gdy jednego poranku cała zbladła wpada Eliza do jego gabinetu, a ucalowawszy Sir Karola, odezwała się głosem wzruszonym.—Mój drogi stryju, powiedz mi czy mam się czego obawiać, czy memu zdrowiu co zagraża?

Niespodziane zagadnienie zmięszało Sir Karola, długo się jąkał, nie mogąc się zdobyć na

żadną odpowiedź; wreszcie, przyszedłszy nieco do siebie, — bynajmniej, — odezwał się cały zakłopotany, nie obawiaj się niczego..., dziecko

niech ci powie... to śmieszność...
— Powiedz mi, co ci się stało?

— W domach, gdzie się stryja było tak gwałtownie, — jego zdziwienie tak ale udane, — było tak widoczna, że biedna Eliza uściłowała swego stryja, i uśmiechać się przy tym, zabrała zupełnego przekonania, że jej choroba była prawdziwa, że jej choroba jest nieuleczalna, i że jej pozostawiało tylko życie na wstępie Boska.

— Wzbrania się wyznać, że to przekonanie było błędne, stanowczo i zębnie na postęp choroby, i jej rozwinięcie się. W ogólności, lekarze nie dają zwracania uwagi na moralną stronę choroby. Nie chcą wiedzieć, że imają do wszelkiej wywierania nad nami władzę, nie chcą wiedzieć, że takiego stopnia, która zostanie

pod wpływem choroby, która zostanie

Dosyć powiedz, że to przekonanie było błędne, i że jej choroba była prawdziwa, że jej choroba jest nieuleczalna, i że jej pozostawiało tylko życie na wstępie Boska.

rze między ziemią a niebem, wesołe, lecz pozbawione tego swobodnego wybuchu uczuć, którym niegdyś czarowała wszystkich co ją bliżej znali. Często znajdowano ją samotną w swoim pokoju zapłakaną, zgnębiającą pod wpływem myśli, że zarody śmierci piastuje w sobie.

Sir Karol niezadowolony z następstw, które wywołane zostały przez jego nieostrożność i niezręczny dozór, zrobił się niespokojnym i gderającym. Eliza, w obecności stryja uzbierała się w odwagę, udawała zupełną spokojność, której wcale nie doznawała. Szczęście téj małej rodziny, dawniej tak ciche, swobodne, zamęczone zostało; jakaś żena tajemna, jakieś udanie w każdej chwili i w każdej okoliczności, podkopały jego istnienie. Nic nie mogło zatrzeć w umyśle Elizy tego wrażenia, które przeszło w silniejsze przekonanie, w skutek troskliwych i wyszukanych starań, któremi ją Sir Karol otoczył. Mocny kaszel połączony z duszeniem się, brak apetytu, jakiś odcień bladości, były dostatecznymi powodami udręczenia Sir Karola Herbert.

Ta choroba ma jeszcze i tę własność, że przez długi przeciąg czasu niepokoi rodzinę,

trzymając ją między obawą a nadzieją. W długim i okrutnym oczekiwaniu ciosu, który ma uderzyć, w naszych oczach przedmiot kochany

przeistotniał się w przedmiot straszliwy i

wyjątkowy. Lecz jeśli ta kochana osoba nie

wyobraża sobie, że może być w jakiś sposób

dotknięta, że może być ofiarą kogoś innego,

nie rozumie, jak to możliwe jest, że może być

dotknięta, że może być ofiarą kogoś innego,

jeżeli nie ma nadziei, że może być dotknięty

przez kogoś innego. Wtedy nie może być

dotknięty, jeżeli nie ma nadziei, że może

być dotknięty. Wtedy nie może być dotknięty

przez kogoś innego, jeżeli nie ma nadziei, że

może być dotknięty. Wtedy nie może być

dotknięty, jeżeli nie ma nadziei, że może

być dotknięty. Wtedy nie może być dotknięty

przez kogoś innego, jeżeli nie ma nadziei, że

może być dotknięty. Wtedy nie może być

dotknięty, jeżeli nie ma nadziei, że może

Powóz oczekiwał ich nad brzegiem; jednym lekkim susem przebyła przestrzeń oddzielającą ją od powozu. Gdy zajęli miejsce obok siebie w powozie, starzec w uniesieniu radości uścił ją serdecznie i rzekł:

— Moje dziecię, otóż jesteśmy w Anglii, oby ci Pan Bóg szczęśliwie żyć dozwolił. Przez długi czas przyznam ci się szczerze, twoje zdrowie wzbudzało we mnie obawę; teraz, gdy oddychasz powietrzem rodzinném, mam wewnętrzne przekonanie, czuję jakąś pewność, że będziesz szczęśliwa i zdrowa.

Sir Karol mówił te wyrazy ze łzami. Sławny doktor Baille, któren żył wówczas, i był wezwany na poradę, nie odkrył w osobie Miss Herbert żadnej zasady do lękania się o jój zdrowie.

— Jest-to,—mówił on—dziewczę delikatne, której zdrowie mogłoby być bardzo zachwiane, gdyby się na przyszłość zbyt oddawała pracy lub zabawom, ale prowadząc życie umiarkowane, zamieszkując na wsi, gdy nadto wcześniej będzie za mąż wydana, może dojść późnego nawet wieku.

Sir Karol Herbert uspokojony do reszty, trzymał się ściśle przepisów doktora. W bliskości Londynu nabył willę z pałacem w stylu lekkim gotyckim, którego ozdobne wieżyczki panowały nad morzem roślinności. Willa ta była przybytkiem świętym, w którym on ubóstwiając swoją siostrzenicę, urządził dla niej pobyt pełen przyjemności zarazem i prostoty.

Jego życie, jego myśli były poświęcone dla Miss Herbert; on należał do tych charakterów silnych, namiętnych, jednolitych, których potęga ma w sobie coś nadzwyczajnego, i która się wzmacnia w odosobnieniu.

Częstokroć wsparty na oknie biblijoteki, wpatrywał się okiem wytężoném na zielony trawnik rozciągający się szerokim obszarem pod murami pałacyku. Była to scena nie dramatyczna wprawdzie, ale rzewna z powodu wewnętrznego uczucia jakie leżało w duszy starca.

Młode dziewczę z dniem każdym stawało się piękniejsze, i mimo wieku młodocianego, zatrzymała jeszcze delikatność dziecięcia, bawiła się kwiatami. Pies, własność familijna, przyjaciel domowy, był jój towarzyszem, układał się przy jój

nogach, zrywał się lub zatrzymywał na jój zawołanie; a stryj, któren na świecie nie miał już żadnych związków, któren swojej siostrzenicy poświęcił całe swe przywiązanie i nadzieje, żył dnie całe spoglądając na wszelkie poruszenia młodego dziewczęcia.

W ósmnastym roku życia, jój piękność, jój umysł rozwinęły się jednocześnie. Nie będę czytelnikom moim przytaczał idei ani uczuć, które to młode dziewczę wzbudzało we mnie. Większa część ludzi płytkim tylko obdarzona pojęciem, nie dałaby wiary memu opowiadaniu, sądząc, że istotę méj wyobraźni ubrałem w kolory idealne. Ci jednak, którzy głębiej wtajemniczają się w szczegóły i zjawiska naszego życia, zarzucą mnie nawet brak dokładności; wiedzą albowiem z jaką szybką dojrzałością władze umysłowe rozwijają się u osób, wskazanych na śmierć przez chorobę suchot. Z wielkiem zajęciem słuchałem jój rozmów, w których było zawsze tyle myśli wzniosłych, tyle spostrzeżeń porywających i nowych, których nieznaleść w wielu utworach nowoczesnych, nawet wziętością zaszczyconych autorów; a gdybym tutaj przyto-

czył uwagi pełne naiwności młodej dziewczyny nad Tassesem i Mozartem, nad wzruszeniami, które wywołują sztuki piękne, mianowicie muzyka i malarstwo, posądzonoby mnie o szarlatanizm literacki lub proste marzenie. Niechaj filozofija wyjaśnia, jeżeli zdoła fenomen téj choroby, która odsuwając najprzód swe ofiary od wszelkich myśli ziemskich, przygaszając w ich łonie ogień życia, roznieca płomień duszy i umysłowe władze rozbudza.

Wkrótce, uczucie daleko silniejsze od tych, które dotąd zajmowały Miss Herbert, ośwładnęło jéj sercem. Młody kapitan Fitz Williams złożył jéj hołdy swoje, a poparty życzliwością Sir Karola, odpowiedni zresztą usposobieniu i sercu Miss Herbert, usłyszał słowo miłości które wzniecić potrafił, i które podzielać był godzien. Atmosfera szczęścia zdawała się otaczać młodą dziewicę i utrzymywała jéj siły fizyczne; widząc jak zaręczeni codziennie przebiegali konno rozkoszne błonia księstwa Kent, sądziłbyś, że śmierć zapomniała o swéj zdobyczy.

Spokojny o zdrowie siostrzenicy stryj, pojechał do Irlandyi dla załatwienia niektórych inte-

resów. Za powrotem do domu nie spostrzegł żadnej zmiany w swojej siostrzenicy, ale w trzy dni potém, gdy pracował w swoim gabinecie nad załatwieniem korespondencyi, weszła poufna Eliza, której postawa i ruchy zakłopotane zadziwiły Sir Karola.

— Eliza czy nie chora, zapytał składając okulary na biurku.

— Nie panie—odrzekła zapytana, zmieszana nagłym poruszeniem starca. Następnie, z ostrożnością mówcy, i tysiącznemi wybiegami opowiedziała szczegóły niebezpieczeństwa które się objawiły podczas nieobecności stryja; kaszel lekki, bezsenność ciągła, poty zimne, co wieczór gorączka, wreszcie purpurowe barwy na obu policzkach.

Stryj całe dwuznaczne opowiadanie wysłuchał z cierpliwością i uwagą, ale za usłyszeniem tych ostatnich wyrazów, tłukąc swe okulary o biurko i zrywając się nagle:

— To suchoty, to suchoty, te plamy pasowe, to śmierć. Czemuście mnie o tém zaraz nie uprzedzili, czemuście nie napisali do Irlandyi, o! nigdy ci tego nie zapomnę.

Zadzwoił na służącego, i natychmiast wyprawił go po doktora Baillie; służący zastał go chorego. Sir Karol niezadowolony z tego zawodu, posłał po mnie. Tę więc okoliczności winien jestem swój wstęp do tego domu, w którym miałem sposobność podziwiać tę niepospolitą energiją uczuć nieklamanych, płynących z serca, a nie z włożonego obowiązku. Żaden ojciec nie objawiał względem swęj córki tak tkliwęj niespokojności; nigdy mąż nie zdawał się żyć ściślej z życiem swęj ładnej i młodej żony.

Na wspomnienie tego wyrazu suchoty, biędny starzec drżał od trwogi. Trudno opowiedzieć z jakim błaganiem zaklinał mnie aby od Miss Herbert oddalić wszelkie podejrzenie niebezpieczeństwa jakie jęj groziło. Niepodobna opisać tęg trwogi, tego drżenia, tęg niespokojności, z jaką mnie poprowadził do nięj.

Byłto jeden z dni wrześniowych; zastawiono herbatę w małym saloniku. Smętne światło jesiennego wieczoru, odbijając się od fantastycznych kształtów gotyckiego okna, padało na twarz młodej dziewicy, ubranęj w białą muślinową suknię,—tą dziewicą była Miss Herbert.

Spojrząwszy na nią, przeczułem całą wartość obawy jój stryja. Nic bardziej nie zatrzyma doktora jak ta białość cery zostająca w sprzeczności z mocnym pąsem przywartym do dwóch policzków, i ten szczególny jakiś połysk błękitnych oczu, obok bladości czoła. Takie znaki nie mylą nigdy; tego samego dnia nawet, rano, byłem przy zawarciu powiek jednej młodej dziewczyny, którą ta choroba okrutna wyrwała z łona familii. Znadto dobrze znana mi ta krwawa plama, któremi cechuje swoje ofiary. Miss Herbert powitała mnie w milczeniu, następnie oczy jój zwróciły się na stryja.

Ta wizyta była przykra dla nas wszystkich; dla młodej dziewicy, która wiedziała że jój życie znajduje się w niebezpieczeństwie, dla Sir Karola usiłującego napróżno ukryć swój przestach, i dla poufnój, która od dawnego czasu posiadała całe zaufanie domu, i sercem przywiązana była do téj familii. Przez przeciąg jednego kwadransa, wszyscyśmy milczeli, zakłopotani swoim położeniem; wreszcie, zobaczywszy fortepian, skorzystałem z tego, i powiedziałem kilka pochwał tyczących się jój talentu w muzyce;

uśmiechnęła się słysząc mnie mówiącego w tym przedmiocie; ten uśmiech zawierał nieco pogardy, jakby chciała powiedzieć: — Żle odgrywasz rolę.... ja się na tém rozumiem.— Ośmieliłem się jednak dłużej prowadzić rozmowę w tym przedmiocie, prosiłem nawet o odegranie jakiego sonetu Beethowena, co wykonała z talentem i dobrym wyborem. Stryj się oddalił pozostawiając Elizę, powiernicę i mnie. Mój egzamin i spostrzeżenia potwierdziły przekonanie, jakie o jój stanie zdrowia z początku powziąłem; ten puls tak szybki i nieregularny, ten oddech przytłumiony i gorący, już zdradzały anioła żaloby, którego skrzydłami śmierci trącał w blade czoło swój ofiary. Nie wiedziała, że wszystkie odpowiedzi które mi dawała na moje pytania, potwierdzały nieszczęśliwe przekonanie. I mimo zupełnej pewności jój zguby nieochybniej, musiałem się zdobywać na wyrażenia oznaczające obojętność i rzecz małej wagi. Słuchała mnie z pozornym dowierzaniem, które tém bardziej było mi bolesnym.

Do widzenia się,—rzekłem odchodząc,—

tak dobrze wygląda, nie potrzebuje często widywać się z doktorem.

— Bardzo ci dziękuję doktorze, — rzekła podając mi swoją rękę; dziękuję za twoją chęć uspokojenia méj obawy; chciój się zobaczyć proszę cię z moim stryjem, i uspokój go, gdyż on jest bardzo niespokojnym.

Sądziłem że moje ostatnie wyrazy zasłonią przed nią niebezpieczne położenie w którym się znajdowała, omyliłem się jednak.

Jak tylko opuściłem salon, udała się, jak mi później mówiono, do odosobnionej kapliczki i tam długo płakała... zrozumiała moje myśli.

Czułem, że z méj strony należało odkryć całą prawdę Sir Karolowi Herbert; zastałem go w jego gabinecie; trzymając w rękach kapelusze i rękawiczki, oczekiwał aby mnie odprowadzić do bramy parkowej. Po tém wszystkiém com widział i słyszał, powiedziałem mu: przykry obowiązek mego powołania nakazuje mi wyznać panu, że pierwsze symptomata choroby płuc już się objawiły u jego siostrzenicy. Być może, że starania lekarskie, zmiana klimatu odwloką na dalszy czas grożące niebezpieczeń-

stwo, ale zupełnie wyleczyć... chyba tylko cudem Bożym.

— Litościwy Boże, — zawolał Sir Karol, i przez kilka minut stał oparty bez żadnego ruchu o kratę parku.

— Ale! zapomniałem ci powiedzieć, — zawola nagle uradowany, że mu na myśl przyszło, zapomniałem ci powiedzieć doktorze, że Elizie powrócił się apetyt, wszak to jest dobry znak nieprawdaż doktorze, odpowiedz proszę cię.

Odpowiedź moja była okropna i zrobiła na nim głębokie wrażenie; oświadczyłem mu, że wszyscy dotknięci chorobą suchot, na krótki czas przed śmiercią zwykle odzyskują apetyt.

Naówczas nieszczęśliwy ten człowiek którego cała istność była skojarzona z losem siostrzenicy, oddał się bez żadnego względu okropnej rozpacz.

— Więc ten anioł umierać musi, umierać koniecznie doktorze! cały mój majątek poświęcę, aby jój tylko uratować życie. Sprowadź się do mnie, mieszkać u mnie, sam zarządzaj wszystkiém, ale ją uratuj na miłość Boską. Czy jechać z nią do Francyi, czy do Włoch, jestem go-

tów na wszystko, bo widzisz jój życie to istność moja, gdy ona zgaśnie, cóż ja pocznę na świecie.

— Nie unosz się pan, przynajmniej staraj się okazać spokojnym w jój obecności, w przeciwnym razie zgon jój przyspieszysz.

— Ach doktorze! to ironija... być spokojnym patrząc na nią, i widząc w polowie na marach leżącą.

Nazajutrz oddałem powtórna wizytę Miss Herbert, rozmowa z nią była zarazem nader dla mnie zajmująca i bolesna.

Biedna istota opisywała to co czuła z niezwykajną przenikliwością. Czuję, mówiła mi, jakąś próżnią wewnętrzną, brak tchu któren zdaje mnie się opuszczać, jakąś niemoc bez bólu, tajemną, ciągłą potrzebę ulżenia przez częste odkaszliwanie, do którego niestety przyłącza się już i krew. Jednym słowem to były suchoty.

— Jak długo sądzisz doktorze że będę mogła żyć jeszcze, — zapytała milutkim swym głosem.

— Na miłość Boską, nie zadawaj mi pani podobnych zapytań, one są bez znaczenia, — plonne.

— Powiedz przynajmniej czy będę bardzo cierpiała.

— Nie sędzę, przynajmniej teraz abyś pani miała wiele cierpieć, ale radzę klimat łagodniejszy, któren może się stać bardzo pomocnym.

Młoda dziewczica słuchała tych wyrazów ze drżeniem, a twarz zdawała się mówić, — nie wierzę twoim obietnicom doktorze.

— Biędny mój stryj,— zawołała, — biędny Karol, i upadła zemdlona na ręce domowników. Sir Karol z natury nadzwyczaj drażliwego temperamentu, i którego rozliczne w życiu przeciwności nie nauczyły być cierpliwym, ukazał się w téj chwili, i boleść swą zaczął objawiać uniesieniem i gniewem.

Człowiek z wyższém ukształceniem, rozsądny, towarzyski, salonowo ułożony, nie mógł się powściągnąć, i miotał najstraszniejsze przekleństwa. W szale gniewu i rozpacz, bił służących i tłukł wszystko co mu w ręce popadło. Gdy mu chciałem przedstawić bezużyteczność i niedorzeczność takiego postępowania, obrócił swoje złorzeczenia na mnie, na medycynę i na lekarzy w ogóle.

— Sądziś doktorze, że ja może żartuję, albo sam będziesz śmiał najgrawać się ze mnie. Jako, jój życie uchodzi co chwila widocznie, ja na to patrzę, a ty chcesz doktorze abym był spokojny. Oh! zaiste ja szaleję, szaleję z bólu. Przekleństwo duszom zimnym i ludziom bez serca!

Wkrótce zamiast jednej osoby, miałem dwóch pacjentów do pielęgnowania, i obawiałem się aby naprawdę obłąkanie nie owładnęło starca. Umysł ognisty i zarazem melancholiczny, zwykle tylko jeden przedmiot obiera, któremu oddaje się z całą duszą.

Usiłowania na jakie się zdobywał Sir Karol aby owładnąć i przytłumić w sobie te gwałtowne wybuchy, które nim miały, wywiązały febrę, która przez długi przeciąg czasu zatrzymała go w łóżku.

Gdy doktor Baillie oddający się wyłącznie leczeniu chorób piersiowych, przyszedł do zdrowia po przebyciu ciężkiej i niebezpiecznej choroby, poszedłem do niego i zaprosiłem aby się udał razem ze mną do Miss Herbert.

Zastaliśmy ją spoczywającą w ubraniu negligowém; prawą ręką zasłoniła swą twarz,

w lewój trzymała wstążeczkę z medalionem w którym znajdowały się włosy. Zobaczywszy nas, powstała z wolna i podała rękę doktorowi Baillie. Po chwili milczenia, doktor Baillie przemówił do Miss Herbert kilka wyrazów uspokajających, których znaczenie prawdziwe aż nadto dobrze rozumiałem, i wyszedł z salonu. Stryj spostrzegłszy nas, rzucił się raptownie z fotelu na którym spoczywał, i stał oparłszy się o kominiek, nie mówiąc ani słowa przez cały czas wizyty; okropny był wyraz jego twarzy.

— Sir Karolu, — odezwał się mój kolega, przepowiednie doktora są uzasadnione i słuszne, klimat naszego kraju w téj porze roku jest zabójczy dla tych, którzy podlegają słabościom piersiowym. Ze wszystkich rodzajów suchot, mógłby się rozwinąć najboleśniej, i zabrać ją szybko ze świata, należy więc przedewszystkiém zmienić klimat. Pojedź z nią do Włoch, jest-to jedyny środek dla odwleczenia zabójczego ciosu któren jój życiu zagraża.

W trzy tygodnie potém, cała familija już była w Neapolu.

.

Na kilka dni przed ich odjazdem, przyszedłszy do domu aby wytchnąć nieco po trudach swego zawodu, usłyszałem mocne uderzenie dzwonnka w przedpokoju; wkrótce zaraz postać w czarnym ubiorze z twarzą bladą, okiem zamgloném i zapadlém, z głosem wzruszonym i posępnym stanęła przedemną. Był to kapitan Fitz-Williams, któren znajdował się w Szkocyi dla przepędzenia tam kilku tygodni u swych krewnych, gdy mu doniesiono o stanie zdrowia Miss Herbert. Wszelkiemi sposobami starałem się ukoić niemą jego rozpacz w której był po-
grążony.

Wyrazić mi niepodobna jak byłem wówczas wzruszony.

Rozumiem co to wszystko znaczy, ona i ja jesteśmy na śmierć wskazani. Nieszczęsna chwila pierwszego naszego poznania się.

Uczeni, za głębokich filozofów w świecie uchodzący, i tym tytułem zasłaniający niedołę-
żność swoją, ludzie zużyci, których świat cały już nudzi, i którzy nie pojmują innego szczęścia lub niedoli nad możność lub brak używania zmysłowych rokoszy, nawet ci, nie mieliby od-

wagi popisywać się przed nieszczęsnym narzeczonym ze swoją teorią egoizmu, bolesnego doznałoby wzruszenia.

To zupełnie inna choroba od każdej innéj, to śmierć powolna stojąca nad ofiarą swoją, jak owa postać w Dantem, która ogarnia swą ofiarę stopniowo, ta pewność bliskiej śmierci, wolny postęp téj klęski, czynią ją najstraszniejszą ze wszystkich chorób, w których jeżeli nie ma zupełnej pewności, to przynajmniej jest jakiś cień nadziei, wyrwania ofiary z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Kapitan wziął uwolnienie od służby wojskowej, towarzyszył swojej narzeczonej do Włoch, i pozostał tam do końca miesiąca Czerwca. Rókoszne niebo Neapolu, zdawało się obudzać w młodej dziewczycy siły jéj żywotne, a omylony tą nadzieją zwodną, błyszczącą zawsze na odległym horyzoncie w chorobie suchot, stryj i Fitz Williams sądzili, że ją jeszcze uratować zdołają. Lecz jak to zwykle się zdarza, przywiązanie ich wzrastało w miarę, jak przedmiot ich upodobania zbliżał się do swego zgubnego kresu.

Wreszcie Eliza nalegała o powrót do Anglii,

nie życzyła sobie, jak mówiła, umierać gdzieindziej, tylko na swojej rodzinnej ziemi, aby złożoną być w grobie obok matki swojej.

Widziałem ją po jej powrocie... była to zupełnie inna osoba. Ten kwiat dawniej wprawdzie więdnący, był teraz przedemną złamany, zgnieciony, zwiędniały, niby lilija którą wieczorem opuszczamy kołyszącą się na swój łodydze, a którą rano po burzy zastajemy ze strząśniętym kwiatem i poszarpanemi liśćmi złożoną na ziemi.

W tym samym salonie w którym ją po raz pierwszy ujrzałem, siedziała czyli raczej leżała na Ottomance naprzeciw dużych gotyckich okien; gdy wszedłem, znajdujące się przy niej osoby, ostrzegły mnie gestem znaczącym, że Miss Herbert zdrzemnęła się nieco; ledwo dotykając się podłogi w obawie nieprzerwania jej spoczynku, zbliżyłem się do łoża nieszczęsnej dziewczicy.

Byłto cień tylko, owinięty szalem indyjskim; biała muszlinowa suknia jaśniała z pod ciemnych, różowych palm kaszemiru; wycieńczone jej ręce i nogi niknęły w atlasie i jedwabiu, które nawet nie uwydatniały ich kształtów; z dniem każdym

resztki jój sił niknęły widocznie. Trudno było uwierzyć, że ta dziewczica jeszcze żyje, że krew krąży w jój żyłach pod tą powłoką przezroczystą skóry, raczej wziąłbyś ją za symbol anioła, lub misterną rzeźbę dłuta Kanowy. Długie, czarne rękawki z których wychylały się jój ręce, tym bardziej uwydatniały białość jój skóry. Jój kibić ściśnięta szafirową wstęgą, zdawała się należeć do dziewczynki mającej lat dziesięć wieku, aniżeli do osoby w wieku Elizy. Ruchu żadnego; listek róży złożony na ustach chorój, nie byłby drgnął nawet; znikające z niój ciało, otwarło symetryją i regularność naturalną delikatnych jój rysów, był to szkielet tylko, a jeszcze ostatki niepospolitój piękności, opromieniły na wpół zamarłe ciało.

Okropną jest rzeczą spoglądać na takie sceny.

A stary stryj którego czoło pokryło się białością, i któren wszystkie utracił włosy od czasu gdy siostrzenica na śmierć wskazaną została, ocierał batystową chustką krople zimnego potu, dobywającego się z jój zapadniętych skroni i poźólkłego czoła.

Wreszcie podniosła oczy, odwróciła głowę, a ujrzawszy mnie siedzącego obok swego łóżka, podała mi rękę ze smętnym uśmiechem.

— Czym się bardzo zmieniła doktorze, rzecz głosem tak cichym, że ledwo zebrał wyrazy, któremi do mnie przemówiła.

— Z przykrością widzę, odpowiedziałem, że pani jesteś znacznie osłabiona i wycieńczona.

— A mój stryj, nieprawda jak się także zmienił.

Następnie usiłowała podnieść się własnymi siłami, lecz nie mogła tego dokonać sama, starzec pospieszył całując czoło swojej siostrzenicy.

— Oszczędzaj mnie, oszczędzaj mój stryju, twoje przywiązanie mnie dobija.

Potém powstała, czerpiąc siłę w chwilowym wzruszeniu, i podparta na ramionach stryja, opuściła salę zalewając się łzami.

Te szczegóły których jednostajność może nudzi czytelników moich, tworzą tło téj domowej tragedyi, przedmiot rozmów pospolitych i obojętnych, a która się nazywa: — Chorobą suchot.

Puls już ustawał, arteryje zdawały się być

sparaliżowane, i grobowe zimno śmierci przejmowało młodociane jój żyły. Starzec jeszcze nie tracił zupełnie nadziei; mocniejszy . blask w jój oczach, nieco chwilowój świeżości w cerze, wystarczały do podtrzymania w nim téj ślepej wiary w przyszłość, której miłość prawdziwa nie porzuca nigdy.

Jednego szczególniej wieczora byłem wzruszony i do głębi duszy przejęty, smętną sceną, od opisu której chociaż w krótkości nie mogę się powściągnąć.

Wszyscy znają charakter muzyki Mozarta, a szczególnie jego muzyki kościelnój. Jest-to coś czysto duchowego, nadzmysłowego, co wcale nie tycze się zmysłów, coś uroczystego, zarazem rzewnego i wzniosłego. Nikt nie wykonywał téj muzyki, nie oddawał jój ducha dokładnie nad Elizę. Jój dusza, jój skłonności zdawały się być nastrojone do tych akordów łagodnych i niezmysłowych.

— Elizo, moje dziecię—odezwie się stryj,— zagraj nam tę cudowną mszę Mozarta, którą nie raz przegrywałaś wieczorami. Doktorze, może

zechcesz posłuchać. Muzyka! to jedyna przyjemność jaka mi pozostaje.

Eliza przystąpiła do fortepianu. Nigdy genijusz Mozarta nie wzbudził we mnie wyższego szacunku jak tego wieczora. Gdy rzewne i uroczyste melodyje ogarnęły mą duszę, padły mi na serce, nie mogłem wstrzymać się od łez. Boskość i boleść te dwa piętna któremi Mozart nacechował swoje utwory, uczułem głęboko i z całą siłą. Ta pyszna i wielka harmonija podniesioną została do szczytności pod palcami konającego anioła, na którego spoglądałem z żalem. Łzy padały mi z oczu, Miss Herbert to spostrzegła.

— To za smętna muzyka; nieprawda doktorze—odezwała się do mnie. Stryj pod wpływem wzruszenia musiał się oddalić.

— Gdy mnie pochowacie w grobie,—mówiła dalej Eliza, — pragnę aby ta muzyka wykonaną została na organach. Oh! i on kochał także, oh!....

Westchnęła, a w drugim końcu salonu odezwało się westchnienie jak echo; to wchodził

Sir Karol, którego twarz zasłonięta chustką napróżno usiłowała ukryć swe wzruszenie.

Na cóż się przyda opisywać szczegóły ostatnich chwil jój konania. Ubytek ciała i bladość cery, wskazywały codziennie postęp trawiącej ją choroby. Kapitan Fitz Williams, któren z powodu febry nerwowej musiał czas pewien pozostać w Medyjolanie, powrócił zapóźno, niestety! zastał już tylko martwe zwłoki téj, którą uwielbiał.

Byłem obecny do ostatniej chwili życia téj dziewczicy, której imaginacyja i umysł podsycane poetycznym ogniem w skutku ataku gorączki, przed zgonem podniosły jój duszę do stopnia jasnowidzenia. Jój zgon, poprzedził na krótko zgon starca i szlachetnego młodziana.

Oby wspomnienie, które jój tu poświęciłem, mogło wzbudzić dla niój sympatyją. ✎

Smutny to dramat niewydatny i jednostajny, jest wiernym obrazem scen, które w życiu rzeczywistém powtarzają się ciągle, i nie jedno już zdruzgotały serce.

ROZDZIAŁ V.

Miłość młodzieńca i miłość starca.

Lukrecyjusz, chcąc odmalować dotykalnie to następstwo istot żyjących, które wiecznie zachowują swój gatunek, ucieka się do figury poetycznej równie śmiałej jak wzniosłej. Ludzie, mówi on, podobni są do gońców, podających sobie pochodnię życia.

Et quasi cursores, vitæ lampada tradunt.

Nic w rzeczy samej, nie maluje lepiej owęj akcji ruchliwej i przechodniej pierwiastku żywotnego, rodzaju przetwarzania się, właściwego istotom organicznym; nieśmiertelność bowiem indywidualna jest im odmówiona. Tym to spo-

sobem, życie przechodzi od zarodków żywych, rozwiniętych, które wkrótce giną, do zarodków zapłodnionych, posiadających możliwość przyjęcia tego życia, podobnie jak się udziela ruch, przez uderzanie się ciał. Wszystko co żyje, podlega wpływowi téj potężnej przyczyny wiecznego odżywiania wszechświata; wszędzie są widoczne skutki téj przyciągającej i rodzącej energii. Gdzież miłość nie przenika? Gdzież życie, jeżeli nie w miłości? Miłość krąży w gałązkach, żyje w kwiatku, w ptaku, w owadzie, miłość jest jedyną istnością i jedynym życiem, ponieważ to życie wywołuje i uwiecznia.

Władca świata, miłości powierzył część swéj twórczéj potęgi. Miłość jednak, jako pierwotna przyczyna, energiją swoją przedewszystkiém oddziaływa na człowieka; ona go zmienia, zmienia ciągle i stanowczo, szczególnie w pewnych epokach życia; i dla tego miłość, jest właściwością ludzkości, żadne zwierzę nie potrafi wznieść się do téj szczytności uczucia. Pod nazwą uczucia, miłości rodziny, pokolenia, odnajduje się nieustannie ze względem na swe źródło przekazywanie życia, i zapatrując się na ten przed-

miot w całej jego obszerności, wyrzec można, że historia miłości jest historią rodu ludzkiego.

„Dajcie mi—powiedział Kartezjusz (Descartes) materją i ruch, a świat wam utworzę.“ Lecz w wielkiem prawie, o którym tu jest mowa, materja i ruch dosięgły zdaje się szczytu działalności; one działają, one kombinują się wzajem i tworzą świat istot organicznych. Co więcj, świat stwarza się z każdą godziną, z chwilą każdą, bowiem tajemnicza siła powinowactwa żywotnego cząsteczkowego, działa wiecznie, jakkolwiek zawsze zastosowana do postaci i gatunków ciał żywotnych, tę siłę zawierających; wypada stąd, że względne następstwo zjawisk życia, utrzymuje się stale, gdy raz przyczyna żywotna rozwinęła swe działanie. Czytamy w jednym hymnie greckim: — Bóg wyrzekł do miłości, niechaj wszystko urządzoném będzie, i stało się tak natychmiast. Wiekuistych dzieł sprawca, który słońcu nadał prawa, urządził także działalność istot na ziemi; on im udzielił pewną część życia, a gdy ta doszła do całkowitego swego rozwoju, do szczytu i pełności energii, polecił jej krążyć i przechodzić w inne przez pośrednic-

two miłości; ciągle więc natrafiamy na piękny obraz Lukrecyusza.

Zastanawiając się w rzeczy samój nad tym wielkim warunkiem: że organizm winien mieć szczyt doskonałości, pojmiemy łatwo, że trzeba, że tak powiem, nadmiaru życia, ażeby je przekazać innym istotom, a to miejsca mieć nie może, gdy siła żywotna jest w peryjodzie swego chylenia się. Jak tylko czas znużył naszą istotę, pochylił ciało ku ziemi, człowiek czuje się już niezdolnym do dania innym życia.

Wszystkie namiętności stygną w wieku podeszłym; w rzeczy samój, one jeszcze istnieją, lecz ich ognisku zbywa na działalności; owa namiętność najpotężniejsza, najgroźniejsza ze wszystkich, *miłość*, zagaśła zdaje się na zawsze. Natura, rozsądek, przyzwoitość, towarzystwo, wszystko mieć chce: turpe senilis amor. Gdy człowiek przebiegł część drogi życia, gdy siły słabną, a zdrowie nadwątlone, biada mu, gdy wiedziony wspomnieniami, żalem, czasem resztą dzielności i ognia wyobraźni, odważy się wypłynąć jeszcze na owo morze, tak w rozbitcia obfite; bolesne doświadczenie nauczy go, że to

uczucie nie harmonizuje z jego wiekiem. Niczego nie należy się obawiać więcej, jak miłości prawdziwej; niczém pogardzać więcej jak miłością płochą, szczególnie w starości. Gdy Henryk IV w pięćdziesiątym piątym roku zakochał się w księżnej de Conti, a Chaulieu w osmdziesiątym drugim roku w pannie Delaunay, obydwaj wystawili się na pośmiewisko współczesnych. Co więcej, miłość nadużywając swego wpływu na fizyczność, staje się wówczas, jakto uważali starożytni, współwinowajcą i zwiastunem owéj nieubłaganéj bogini, którą Libitiną nazywali; stwarzanie bowiem i niszczenie są do siebie w stosunku prostym i nierozzerwanym. Śmierć i miłość dążą po tym samym gościńcu, a pani de la Sure, mówiąc, że pani de Sully karmelitka, przysłała jéj głowę trupią w koszyczku z róż, daje na to symbol o tyle straszny, o ile prawdziwy.

Czyż należy stąd wnosić, jakoby starość była zupełnie wydziedziczoną z tego uczucia, które nadaje wartość życiu, a pod pewnym względem jest życiem samego życia. O nie zaiste! chociaż istota nasza zmienia się z postępek wie-

ku, miłość jednak nie ma ograniczenia, chyba dla dusz ograniczonych. W człowieku przy schyłku życia, wyzuwającego się z wszelkiej zmysłowości, miłość przybiera charakter czysto moralny od poddaństwa zwierzęcości wyzwolony, jako pozostający w związku z samą potęgą duszy. Jest to miłość rodzicielska, miłość małżeńska, miłość synowska, która nie posiadając tyle energii co pierwsza, rozgrzewa jeszcze stare serca i stare lata. Młodzi ludzie tak sądzić nie zwykli, inaczéj téz być nie może. Oprócz namiętności wrzącéj, gwałtownéj, która ogarnia wszystkie zmysły człowieka, żadnéj innéj nie przyznają panowania nad duszą. W ognistéj swéj imaginacyi, uwiedzeni i oczarowani zmysłami i wyobraźnią, widzą tylko piękną téj namiętności stronę, urok bez końca, nadzieję, pociechę wieczną; oni wierzą, jak powiedział sławny poeta, że miłości zbywa jedynie na długotrwanii, żeby była razem, Edenem przed upadkiem i Hozanną bez końca. Przeciwnie ludzie w wieku, widzą często w miłości tylko pociąg szalomiący, władzę despoyczną nad wolą, rodzaj szaleństwa niezgodnego z mądrością, cnotą i porządkiem współcz-

nym; oni dzielą zdanie tego, który wyrzekł, że Gracyje i rokosz są téj saméj płci co i Furyje. To pewna, że jedni i drudzy mają słuszność, bowiem ich punkt widzenia jest odmienny; pierwsi sądzą tu przez wyobraźnię, ostatni przez zastanowienie. Wreszcie miłość, podobnie jak natura kryje w swém bogatém łonie sprzeciwieństwa najwyższe, niepodobieństwa najwyraźniejsze stosownie do czasów, wieków ludzi i charakterów. To właśnie czyni niewytłómaczoném to uczucie tak żywe, tak różnobarwne, tak zawile. Jakże trudno poznać tę istotę na pół rzeczywistą, na pół udaną, tę tkaninę najprzeciwniejszych skłonności; zanalizować tę niepojętą mieszaninę wściekłości i czułości, uczuć wzniostłych i żądz niskich, ufności i podejrzliwości, podejść i szczerości, nadziei w udręczeniu i niespokojności w powodzeniu, owe katusze złączone z rokoszami, i rokosze z katuszami społem, które my nazywamy miłością. Przesady w tem nie ma żadnej; badając bowiem skutki téj namiętności na sprawy żywotne ludzkie i uczucia ze stanowiska psychologicznego i filozoficznego, skutki te uwydatniają się przez przeciwieństwa najwięcej

zadziwiająca. To pewna, że miłość chociaż najmniej egzaltowana, wywołuje zjawiska najdziwniej sprzeczne, ona rozjaśnia lub zaciemnia rozum, pali i mrozi, zabija i ożywia serce. Raz przyjmuje postać najczystszej religijności, to znów najszkaradniejszy objaw rokoszy największej zmysłowych, uspokaja i upaja; podnieca pojęcie lub je poniża i odrętwia, daje mądrość lub głupstwo; raz jest duchem dobrego, to znów demonem złego, czyni wspaniałomyślnym i zmienia w samoluba, podnieca do czynów wzniosłych, do marzeń o doskonałości, lub popycha do zbrodni, znikczemnia i upadła; jednym słowem, jej straszliwy wpływ na ciało, pojęcie i serce, jest zawsze głęboki, wielki i nieobrachowany. To uczucie jest tak słodkiem i zarazem strasznem, że zapytałby się można, czy je Bóg ludziom w swój łaskawości czy w gniewie udzielił; uwydatnimy to, roztrzásając tę namiętność z dwóch przeciwnych punktów widzenia w następującym obrazie dwóch epok życia.

MŁODZIENIEC.

Cenię i uwielbiam mądrość twą mój mistrzu,

lecz żałuję cię zarazem, że już nie czujesz żywego i czystego uczucia miłości. Miłości! jesteś życiem samem, w tém co ono ma najprawdziwszego, najwznieślejszego i najpotężniejszego. O! utrata tego przekonania, jest podług mnie najsmutniejszym lat wypadkiem. Czyż nie znajdujesz, jak prawdziwe są słowa filozofa co wyrzekł, że miłość w kraju bezbożników zniewoliłaby do oddania bóstwu czci i chwały.

STARZEC.

Nie żałuj mnie tak bardzo młody mój przyjacielu, mój stan istotny nie zasługuje wcale na twoje politowanie. Czyż żałować należy człowieka, że przeszedł z strefy skwarnej do klimatu umiarkowanego, że przekłada spokojne używanie swych władz i zdolności nad gwałtowne ich podniecanie, i że wierzy: że szczęście, krew zimna i rozsądek, mają wyższość nad złudzeniem, urokiem i szalem?

MŁODZIENIEC.

Rozumiem cię, lecz właśnie egzaltacja, którą zdajesz się naganiać, nadaje uroku temu

szczytnemu uczuciu. Ten pociąg dobrowolny jest przyczyną wielkich namiętności. Czyż miłość nie jest tylko jedným istnieniem dla dwóch istot, gdy dojdzie do całej swój potęgi? Kochać jest-to dać własne życie, własne tchnienie, własne radości, własne cierpienia istocie drugiej, jest to dar nieba uzdolniający nas żyć w duszy drugiej, przekształcić istotę drugą w naszą, drugie *ja*, zespolić dwie wole, chęci i nadzieje w jednostkę uczucia. Gdy ta jedność raz jest zerwaną, miłość traci swój urok, natchnienie, a nawet swój charakter. Szczęśliwy kto napotka w życiu na owę latarnię zbawczą miłości prawdziwej i świętej! on czuje pobudzający się w duszy swój popęd ku temu, co jest piękne i prawe, i przychodzi do jasnego przeświadczenia o skarbach, jakie w naszych duszach Bóg ukrył.

STARZEC.

Lecz młody mój przyjacielu, obraz który skreśliłeś daje właśnie poznać wszystkie niebezpieczeństwa miłości. Życie miłości, to życie burz, cierpień i utrapień. Mówisz o nieprzezwyjęzo-

nym uroku miłości, a zapominasz o zawodach, dolegliwościach, obawach, zazdrości, niepokoju, żalu, jako nieodłącznych od téj groźnej namiętności? Przypuszczam jeszcze miłość wzajemną, nie da się bowiem nic porównać z cierpieniami miłości niedzielonej. O! wierz mi, są dwa wyrazy, które ród ludzki objaśnia od wieków, i które wiecznie objaśniać będzie; jednego nazwą miłość, drugiego cierpienie.

MŁODZIENIEC.

Nie zaprzeczam miłości udręczeń. Niestety! one często są nawet nadto żywe, nadto do głębi duszy przenikające; mają one jednak charakter całkiem szczególny. Miłość jest jak wiosna, wszystko w niej rozkwita nawet i ciernie.

STARZEC.

Dałby Bóg, żeby tak było! lecz ileż smutnych przykładów inaczéj naucza w towarzystwie, w rodzinach, w trybunałach. Nie zaprzeczysz, że namiętność ta jest tak gwałtowną i jednostajną, że przytlumia rozsądek, wycieńcza zdolno-

ści otaczając je mgłą swoją. Tracimy tę drogocenną bussolę nazwaną zdrowym rozsądkiem: *amare et non insanire vix diis concessum est* (kochać a nie oszaleć, zaledwie bogom jest pozostawione) jest prawdą, przez wieki uświęconą. Zawsze wstrząśnienie serca wprowadza umysł w stan febryczny (a).

MŁODZIENIEC.

O! ważyć imię miłości na szali, toć byłoby profanacją; przyznaj raczej, że namiętność ta przyczynia się potężnie do rozwoju władz umysłowych. Pojętność rozwija się żywo pod gorącymi promieniami miłości, a stąd czucia czystsze, wrażenia subtelniejsze i głębsze. Posłuchaj kochanków, jakież oni zadziwiający posiadają dar malowania swych uczuć, nadziei, smutku i szczęścia, wyrażenia téj mieszaniny udręczeń i rozkoszy, téj słodkiej goryczy, która miłości stale towarzyszy. Może znajdziesz panią Scudery przesadzoną, ja jednak za nią powtórzę: zasługa

(a) Plutarch powiada, że pewien lekarz umieścił sławne wiersze Saphony o miłości, w dyjagnostyce chorób umysłowych.

mierzy się obszernością serca i zdolnością kochania.

STARZEC.

Podobne zdania są bardzo na swoim miejscu w romansie, gdzie miłość podnosi się do ideału czci eterycznej, lecz gdy idzie o rzeczywistość, rzecz się ma całkiem inaczej. Niestety! owa wiara która w twoim wieku wydaje się tak prawdziwą i widoczną, jest prawie zawsze w sprzeczności z rozsądkiem i doświadczeniem. Gdzież jest kochanek, któryby kiedy myślał, obliczał, czuł inaczej jak pod wpływem ślepego i szalonego uczucia, które nim miota? Człowiek pod wpływem tej gwałtownej namiętności, dopuszcza się częstokroć czynów zbrodniczych, wpada w uniesienie, wściekłość, która go poniża i znikczemnia. Tak to urok najpotężniejszej, największej rokoszy, staje się najobfitszym źródłem zepsucia fizycznego i moralnego.

MŁODZIENIEC.

Zgadzam się na to co do miłości poziomej, kłamaniej; przyznaj jednak, że miłość prawdziwa

wznosi, oczyszcza duszę i podnieca ją do czynów szlachetnych. Miłość i poświęcenie, są jak światło i ciepło tegoż samego promienia. Któż nie wie, że miłość podnieca do sławy i wawrznów, do zdobycia palmy talentu i geniuszu? nie ma kochanka, któryby nie pragnął ozdobić laurami łoża swój najdroższej. Czytajmy na miętne listy króla Jana do Maryi Kazimiry podczas jego wyprawy przeciw Turkom, znajdziemy tam, że to uczucie nie było obcém jego zwycięstwom. Zaiste! w jedném słowie: *kochać*, są wszystkie cnoty zawarte.

STARZEC.

Zapominasz tylko o jednój rzeczy, o poniżeniu, o słabościach wielkich mężów, tém samowładném uczuciem podbitych. Czyż Antonijusz nie porzucił panowania nad światem dla Kleopatry? Mądry Turenijusz czyż nie powierzył tajemnicy stanu swojej kochance? Nie widzianoż Nelsona wzbraniającego się wydania bitwy, i śpieszącego ucałować ramiona Lady Hamilton?

Cóż się z resztą śmiertelników stanie po podobnych przykładach?

MŁODZIENIEC.

Są to wyjątki, nie zasługujące na wzmiankę; mnie się zdaje, że w życiu tylko „kochać“ jest istotnie dobrém, a jeszcze lepszém, dziesięćkroć pierwsze w sobie mieszczącym: być kochanym. Nazwij mi uczucie, namiętność, skłonność zdolną wywołać taki ogrom szczęścia. Jakąż ideę utworzyć sobie może o nagrodzie boskiej ten, który nie poznał miłości na ziemi?

STARZEC.

Lecz młody mój przyjacielu, przypuszczasz ciągle miłość, jaką rzadko natrafisz na świecie, miłość niebiańskiej czystości. Czyż zalotność, zazdrość, wiarołomność i inne wyuzdane namiętności, nie zmieniają rokoszy w udręczenia, przychylności w nienawiść, pieszczoty w wściekłość. Są to zwyczajne następstwa miłości i

zgadzam się na to, że miłość łzami się karmi. Jeżeli łagodzi czasem dusze dzikie, nie poniżaj częściej jeszcze dusz słabych? Ileż razy widziano jój pochodnie zapalające się w eterycznych sferach, a gasnące w kale? Zepsucie obyczajów jest tego dowodem. Czy wiesz, że według statystyki moralnej świata, trzydziesta trzecia część zamachów na życie, dzieje się w miejscach brudnych, że czwarta część zbrodni podpalania, większa część przypadków szaleństwa, wszystkie dzieciobójstwa, prawie wszystkie samobójstwa u młodych kobiet, mają w téj namiętności swe źródło. Miłość ma tylko piękną powierzchowność, w głębi kryje przepaść.

MŁODZIENIEC.

Co czynisz mistrzu! mięszasz niską cześć oddawaną materyi, z miłością prawdziwą, pierwszą, najslodsza, najżywszą z roskoszy, która jest najszlachetniejszym przywilejem, jakim się szczyli ród ludzki, dla którego to uczucie wyłącznie zachowaném zostało. Ach! czemu

przemawiasz mój mistrzu z uprzedzeniami swego wieku?

STARZEC.

Bynajmniej, sięgam tylko do samego źródła tego zepsucia, tego nieładu, prawie nieuchronnego. Miłość, ten straszny sofista, sprowadza w manowce na pozór kwiatem okryte. Lecz rozsądek zimny i zdrowy łatwo potrafi przejrzeć przez ten orszak świetny, jakim miłość zdobi wyobraźnię. Mój młody przyjacielu, dziś mam szczęście czy nieszczęście, być zupełnie nieinteressowanym w tym względzie, przystoi więc mi sądzić z całą bezstronnością. Mam nad to nad tobą wyższość wielką; i ja byłem w twoim wieku, tenże sam zapal, tenże ogień krążył w innych żyłach; ty zaś nie wiedząc co uczy doświadczenie, nie masz granic porównania, a tém samém stanowczo sądzić nie możesz.

MŁODZIENIEC.

I cóż mnie ono obchodzi, i czyż potrzebuje porównań? Miłość jest tém, czém jest, — czystą

istotą duszy, najszlachetniejszą rokoszą człowieka, nagradzającą mu wszystkie cierpienia jakim jest podległy, to sędzę jest prawdą niezmienną i wieczną. Zresztą, posłuchaj słów świętego pisarza, te spodziewam się nie odrzucisz: Nie maż nic słodszeo jak miłość, nic potężniejszego, nic szczytniejszego, nic obszerniejszego, nic rokoszniejszego, nic doskonalszego ani lepszego, ani w niebie, ani na ziemi (a).

STARZEC.

Wyznać ci muszę, że przemawiasz o miłości z uniesieniem prawdziwie młodzieńczém. Jakto! porównywasz miłość boską z tą, jaka w naszych nędznych sercach się rodzi. Zapominasz jakie nieszczęścia, uludy, zbrodnie ta ostatnia wyradza; jedném słowém zdajesz się nie wiedzieć, że ona zaciemnia rozum, że go zniewala do stania się narzędziem naszego szaleństwa, do ubóstwienia naszych niedorzeczności. Zresztą, zgo-

(a) *Nihil dulcius est amore, nihil fortius, nihil altius, nihil latius, nihil jucundius, nihil plenius nec melius in coelo et in terra.*
(O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, księga II, Rozdz 5.)

dziwszy się nawet na twoją metafizykę sentymentalną, niepodobna zapomnieć o źródle i celu materyjalnym téj namiętności. Tyle egzaltacyi, tyle delikatności, a koniec tak ziemski! Przyznaj, że nie o téj miłości przemawia pisarz, którego słowa przytoczyłeś. Zgadzam się na to, że Wenus Medycejska jest prawdziwą boginią miłości, lecz nakoniec ludzie są ludźmi: aniołom tylko możliwém jest kochać tą miłością, wolną od wszelkich wrażeń zmysłowych.

MŁODZIENIEC.

Czemu nie? miłość w stosunku skończoności do nieskończoności, czyż przestaje być tą samą w swój moralnej istocie? Mówisz, że jest rzadką, tak téż być musi: prawdziwa miłość jest równie rzadką jak genijusz, jak najwyższa piękność, jak wielkość serca, jak wszystko wreszcie co się zbliża do doskonałości. Ona jest, ona zawsze będzie szczytnym typem szczęścia, chociaż tu na ziemi tylko w małej bardzo części, szczupło i oszczędnie została udzieloną. Kochać!

kochać nieustannie byłoby życiem anioła. Ow świąty, którego dusza miłością ognistą jaśniała, zawolał, mówiąc o duchu ciemności: „Nieszczęśliwy! on nigdy kochać nie będzie.“ Ja, chcąc ci dać wyobrazenie prawdziwe o szczęśliwości jaśniejszej, domając wybrani, mógłbym powiedzieć: Oni wiecznie kochać będą.

STARZEC.

Pod pewnym względem, zgadzam się na to, coś wyrzekł mój młody przyjacielu. O tak! miłość, jak wszystko na tym padole, mieści w sobie smutny, konieczny warunek prędkiej znikomości, trwałości efemeryjnej; Bóg ją nam tylko dał wskazaniem, że ona istnieje; lecz dopiero po za kresem tego życia prób i doświadczeń, będziemy mogli ją poznać w całej jej rozciągłości i czuć całą jej niewymowną słodyczą. Gdyby bowiem roskosze i udę-

bi duszy ludzkiej znajduje się nieskończona potęga czucia i kochania, których źródło nigdy nie wysycha. Jednakże miłość zmienia charakter i nazwę; jest-to miłość rodzinna, miłość kraju, miłość ludzkości i t. d., a wierzaj mi, że i ta miłość ma swoje słodkie uroki i gorzką rzeczywistość. Te róże jesieni nie są bez woni, może mniej upajające, jak róże pierwszej miłości, lecz za to mniej niebezpieczne. Twoja miłość zwodzi i czaruje, uszczęśliwia szczęściem febrycznym; nasza przeciwnie, podtrzymuje byt i ustala go. W epoce twojej miłości, człowiek podlega uniesieniom i rozerwaniu, w naszej, wszystko się czuje i ocenia jasno, żadna kropla nektaru nie zostanie uronioną. Ale miłość ta, równie jak młodzieńcza, ma kres złowrogi. Życ ciągle, kochać ciągle, oto byłoby życzenie:

Ale groźna stronnica sama się otwiera,
Pragniem wrócić ku karcie, gdzie miłość jaśniała,
Spostrzegamy zaś stronę,—gdzie człowiek zamiera.

(*Lamartine.*)

Widzimy więc, jak człowiek ze zmianą tego uczucia, zmienia zdanie w tym względzie. Kilka

lat więcéj, pewne zmiany organiczne, ujma ognia żywotnego, a sposób zapatrywania całkiem się zmienia. Zresztą, miłość to choroba, tym cięższa że jéj nikt się nie uzali, bowiem ci, co nie kochają, nie mają o niéj pojęcia, kochający zaś zajmują się sobą wyłącznie. Przyznać w każdym razie trzeba, że ludzie w wieku dojrzałym żalują czasu, gdy miłość im przyświecała. W rzeczy saméj, któryż człowiek urodził się pod gwiazdą do tyła złowrogą, żeby nigdy nie doznał słodkiego i nieprzezwyctężonego wpływu téj namiętności? Czy wszyscy nie poświęciliśmy miłości najpiękniejszych lat naszego życia, młodości serca, kwiatu skłonności? Mówimy tu o téj miłości szczytnéj, która samą doskonałość widzi w przedmiocie ukochanym, ona to przemawia o Psyché, że w niéj nie ma, ani jednego punkciku, któryby swojéj Wenus nie miał. W wieku młodym uludy nie mają granic. Dla młodzieńca, jest kobiéta przedmiotem wszystkich jego chęci, snem złotym wyobraźni, bóstwem czci jego, i że tak powiemy istotą nadzwyczajną; że zaś najwyższe wyrażenie spiritualizmu

w miłości, jest szczęście oszukiwania samego siebie, wiarą i nadzieją, wypływa stąd rodzaj upojenia, którego siła i trwałość od tysiąca okoliczności zawisła.

Tego to upajającego uroku żałuje się, gdy zimna starość uspokoiła burzę zmysłów i wyobraźni. Uluda ginie jednak tylko w połowie, pamięta się uniesienia rokoszy, a zapomina się udręczeń, niepokojów, rozpaczy, od tak gwałtownego uczucia nieodłącznych.

Natura sprzedaje nam rzeczy po ich rzeczywistej cenie: po lekkich rokoszach, lekkie cierpienia; po szczęściu wielkiem, cierpienia niesłychane: kochać więc, jest-to życie nieba; kochać się— to życie piekła; a przez fatalność szczególną, same tylko rokosze pozostawiają trwałe odciski w wyobraźni. Drugie zjawisko na jakie natrafiamy, jest owa próżnia głęboka która nastaje gdy znikły udręczenia; im większe było upojenie, tém niesmak jest więcéj gorzki, albo inaczej mówiąc z fizjologiem: im dłużej miało miejsce podniecanie nerwowe i moralne, tém niemoc, która następuje jest wyraźniejsza i całkowitsza. To właśnie jest, co czyni często ludzi namiętnych,

niezdolnymi do zajęć poważnych i użytecznych, co napęła ich starość smutkiem i znudzeniem. Zresztą różnaitość zjawisk, które spostrzegamy w skutkach téj namiętności, zależy bardzo od różnorodności usposobień indywidualnych, od charakteru umysłów jój podlegających. Dla jednych miłość jest uczuciem gwałtowném, samowładném, które ich pochłania i w rodzaj szalu wprowadza. Dla innych miłość jest rozrywką, i według nich najmędrzej i najbezpieczniej jest robić z miłości zabawkę, nie przywiązując wartości i znaczenia urojonego. Namiętność ich jest paroksyzmem febry, gdy przeminie wszystko się z nim kończy. Dla tego szkoła Pitagoresa uczyła: „Doświadcz serca twego, zanim pozwolisz obrać w niém miłości mieszkanie; miód najśłodszy w naczyniu nieczystém kwaśnieje.“

U kobiet, namiętność ta z postępem wieku także się zmienia, chociaż mniej daleko jak u mężczyzn, i dla tego wyraz „kochać“ tłómaczy całą kobietę. Ona kocha tak jak żyje, jak oddycha, zdaje się że w niój natura sama wywołuje potrzebę kochania; jój zajęcie, to miłość; jój obowiązek, to miłość; jój nagroda, to miłość;

ciągle wierną temu potężnemu instynktowi zostaje. Życie kobiet można podzielić na trzy epoki: w pierwszej one marzą miłość, w drugiej jej doznają, w trzeciej jej żałują. Miłość tyle zajmuje miejsca w życiu czulej kobiety, tak pochłania jej czas, władze i zdolności, urok idealny jakim miłość ją otacza, tak jest potężny, że gdy dojdzie do wieku, w którym miłości wyrzec się należy, ona mniema się przebudzoną z snu długiego, i po raz pierwszy spostrzega udręczenia i niedole życia. Jednak i tu miłość zmienia tylko postać i objawy; jeżeli w pewnym wieku niektóre kobiety w stosunku przyjaźni, posiadają wdzięk delikatności, nieznanej mężczyznom, nie należy się dziwić; to jest pozostałość miłości. W tém jest wytlómaczenie tych związków pełnych wdzięku, które chociaż znamionują dojrzałość wieku, barwią jednak ostatnimi odbłyskami młodości. Chociaż ta zdolność kochania pozostaje u kobiet stale, z postępem czasu zmienia jednak postać, a szczególnie przedmioty.

Pani de Sévigné, którą wiek pozbawił tak mało blasku i świeżości, że ją Coulange matką pię-

kności nazywał, posiadała wielką czułość serca w czterdziestym piątym roku, lecz takową całkiem przelewała na córkę, a jój listy są tego nieśmiertelnym dowodem. Miłość małżeńska podniesiona do pewnego stopnia egzaltacyi, jest także jednym z szczególnych rysów tego uczucia u kobiet.

Niektóre kobiety obdarzone wyobraźnią nadzwyczaj żywą, i czułością niezwykłą, wpadają w pewnym wieku w miłość mistyczną i religijną melancholiją. Często jeszcze egzaltacja religijna, sentymentalna, zmienia się w czystą i tajemniczą dążliwość miłosną. Taką była sławna pani Guyon, która pisała do Fenelona: „Serce moje pragnęło tylko w drugie przelać przepelnienie swoje.“ Mistycyzm w którym żyła, nazywała miłością. Ona mawiała: miłość chce żebym to zrobiła, miłość mi tego wzbrania; jój demonem, jój genijuszem rodzinnym była miłość. Wiele kobiet łączy tę namiętność z najściślej szym wykonywaniem dewocyi: surowy Bossuet nazywa to dziwacznością miłosną. Jakkolwiek bądź, jest-to zawsze to samo uczucie, namiętność ta sama, pomimo przemian jakie przecho-

dzi, i różności przedmiotów jakie to uczucie wywołują i podniecają.

Oto nakoniec ostatnia uwaga w obecnej materji: wpływ wieku jest daleko większy na miłość fizjologiczną, jak na miłość jako uczucie uważaną, ta bowiem ostatnia wymaga mniej siły fizycznej i egzaltacyi młodzieńczej. Te myśli o miłości, lawy przez czas zastygłe, mogą zachować resztę gorąca, które dla umysłu jest tak ożywcze. Są ludzie którzy stale młodzi, sercem i wyobraźnią uważają miłość za ustawiczną dewocyją, która w swém trwaniu, zdaje się raczej odżywiać pierwiastek żywotny, jak go pochłaniać. U niektórych starców umysłu żywego, można czasem zauważyć przywiązanie ku kobietom bardzo bliskie miłości. Nie mniej jednak pamiętać należy, że są granice, których przekroczyć nie trzeba. Różnica tak uderzająca między temi dwoma epokami, określona oddawna. Wielkie szaleństwa są przywilejem młodości, wielkie słabości należą do wieku dojrzałego. Te ostatnie są w skutkach bardzo groźne pod wielu względami; niebezpieczeństwo bowiem jest tak natychmiastowe, syrena skał tak blisko.

Stokroć szczęśliwszym może być człowiek w wieku, który przez spokój, byt dobry i rozsądek, wynagradza sobie owe napady szału starego wieku, którego następstwem nadto często jest żal i zgryzoty bez końca!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



PAMIĘTNIKI

LEKARZA POLSKIEGO.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

PAMIĘTNIKI

LEKARNA POWIATOWA
W KRAKOWIE

DR. H. H. H. H. H.

WYDZIAŁ DOKTORÓW

Tom II

WARSZAWA

Wydawnictwo Lekarskie PZWL, ul. Długa 15, 00-610 Warszawa

1967

WYDZIAŁ DOKTORÓW

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 27 Czerwca (9 Lipca) 1856 r.

p. o. Starszego Cenzora, Radca Honorowy,

A. Broniewski.

ROZDZIAŁ I.

Kobięta zbląkana.

(Rzecz opowiadana autorowi w czasie podróży z Londynu do Lizbony przez lekarza angielskiego.)

Pewnego dnia w miesiącu Listopadzie 1847 r. wieczorem, kiedy otoczony rodziną spokojnie siedziałem przy kominku, i odpoczywałem po dziennym trudzie; wszedł służący i oznajmił mi, że jakaś przybyła osoba życzy sobie widzieć się ze mną. Wszedłszy do gabinetu, zastałem tam starą, brzydką, niską kobiętę.

— Ta dama, której tu napisany adres, pragnie się widzieć z panem, — rzekła oddając mi kawałek pomiętego papięru, na którym przeczytałem:

Pani Alfons Nr. 11 Friedrichstrasse, na trzecim piętrze.

Te wyrazy pięknym napisane charakterem, skreślone były ręką drżąca.

— Cóż jest téj pani?—spytałem staruszki.

— Co jój jest?—odpowiedziała mi, — zdaje się że jest bardzo bliską śmierci.

— Czy pani myślisz — odrzekłem, słysząc jak dészcz lał strumieniem, — czy pani myślisz, że koniecznie potrzeba bym tam był jeszcze dzisiaj w wieczór?

— Tak, bo jest w bardzo niebezpiecznym stanie.

— Czy to jaka nagła słabość? — zapytałem znowu.

— Nie. Już była chorą gdy do mnie przyszła; mnie i córce mojej zdaje się że to coś niedobrego.

— Trzeba ją było umieścić w jakim szpitalu.

— Tak... zapewne... pan zażąda niezawodnie *honorarium* za swe wizyty, a więc zapewne o to chodzi?

— Dobrze — odpowiedziałem, idę natychmiast, i otworzyłem przed nią drzwi od ulicy.

W twarzy téj kobiety był jakiś szczególny wyraz, który mię uderzył.

W dziesięć minut byłem już na miejscu, i wszedłem do domu *publicznego*.

— Matko! matko! zawołało kilka wyneźdzniałych dziewcząt—przyszedł doktor do Jetty.

Stara pojawiła się znowu ze świecą w rękę; była na wpół pijana, a z pokoju przyległego, z którego wyszła, usłyszałem chrapliwy głos mężczyzny.

— Chciéj pan pójść za mną, powiedziała;— chora leży na trzeciém piętrze.

Wszedłem do małej izdebki, słabo i ponuro oświeconej jedną cienką świeczką; stara objaśniła ją palcami.

— Jeżeli pan czego będziesz potrzebował, zawołaj tylko na mnie.

Powiedziawszy to, wyszła, z czegom był bardzo zadowolony. Jak tylko zamknęła drzwi za sobą, przysunąłem krzesło do łóżka wraz ze stolikiem, na którym stała świeca. Wtedy ujrzałem chorą: piękne jéj czarne włosy w nieładzie opadły na twarz, którą zakrywała rękami.

— Co pani jest? zapytałem najłagodniej-

szym, na jaki zdobyć się mogłem głosem, starając się wziąć ją za rękę.

Chora rozplakała się.

— Niechże się pani nie obawia i nie tai, jestem lekarzem po któregoś pani posyłała.

— A więc czy mnie poznajesz? — zawołała zrywając się z łóżka. A potem odjęła ręce od bladéj twarzy i wynędzniałéj okropnie; i odgarńawszy włosy spojrzała na mnie obląkanym wzrokiem.

— Czy podobna! — zawołałem — Adelajda!!

Nic nie mówiąc ciągle patrzała na mnie, ruszając przytém głową gwałtownie, a potem upadła zemdłona na poduszkę.

Zdołałem ją ocucić w krótkim czasie.

— Na Boga! — zawołałem — panno von Bohr... (usłyszawszy wymówione swe nazwisko westchnęła głęboko, kryjąc znowu twarz w obu rękach). — Nie obawiaj się niczego, zaklinam cię; przybyłem tu na twoję prośbę, chcę ci więc przynieść ulgę. Powiedz mi co cię boli?

— Tu! — zawołała nieszczęśliwa dziewczyna kładąc lewą rękę na sercu z wyrazem okro-

pnój rozpaczy, i głosem który mię przejął do głębi duszy.

O! gdyby jój uwodziciel był obecny! czemuż nie mógł usłyszeć tego jednego wyrazu?

— Panno von Bohr.... — powiedziałem, — czy czasem nie plujesz krwią?...

— Panno von Bohr!... powtórzyła, a w twarzy jój malowała się wtedy największa boleść. — O panie! nazywaj mnie jak chcesz byle nie tém nazwiskiem. Nie nazywaj mnie imieniem które shańbiłam.

Powiedziała to z tak gwałtowném wzruszeniem, że się aż zerwało jedno z małych naczyń płucowych; musiałem jój natychmiast puścić krew.

— Jakto? jeszcze krew? zawołała.

Nie dałem jój więcej mówić, zaklinałem tylko, żeby milczała i ufała méj troskliwości.

Na prędcie zapisałem lekarstwo na świstku papieru, i zawołałem żeby kto przyszedł. Jakoż zaraz wbiegła do pokoju kobiéta odrażającój powierzchowności.

— Masz tobie! — zawołała ujrzawszy krew

i zbladłą twarz chorój.—Biédna Jetto! nie wiele ci się już należy!

— Milcz! — powiedziałem ostro, dając jój przytém polecenie: — Ruszaj natychmiast po to, co tu napisane, i przyślij tu kogo starszego.

— Jój matkę — nieprawdaż?

— Jój matkę? — spytałem zdziwiony.

Chora uśmiechnęła się lekko.

— Ach! nie znasz pan zwyczajów tego domu, wszyscy nazywamy ją tu *matką*.

Litość, jaką doznałem na widok biédnej ofiary, połączyła się z pogardą, obrzydzeniem i wstrętem, jakie budziło we mnie to przekłete miejsce; byłem martwy aż do chwili, kiedy brzydka młoda dziewczyna wróciła z lekarstwem. Wlałem je natychmiast w szklankę i dałem zażyć chorój.

— Jetta musi się mieć daleko gorzej?—spytała głosem grubym, spoglądając na mnie bezwstydnie.

— Tak — odpowiedziałem jój w krótkości, — jeżeli nie będzie miała ratunku, umrze téj nocy.

— Czyby nie było lepiej odwieść ją do szpi-

tala? — rzekła zbliżając się do łóżka chorój, i patrząc na nią z głupią ciekawością.

— Nie nie! zawołałem — długo jeszcze nie będzie można ruszyć jój z miejsca, toby mogło spowodować śmierć; jój stan nie zniósłby najmniejszego poruszenia; słyszysz i rozumiesz mnie dobrze?

— Rozumiem, — ale i cóż z tego? nasz dom nie jest szpitalem, tu trzeba być zdrową i czerstwą, ażeby być użyteczną.

— Dziewczyno! przez litość! nie mów w podobny sposób przy łożu umierającej nieszczęśliwej swój koleżanki.

— Przy łożku umierającej? mówisz pan, panie doktorze. Dla Boga! któż poniesie koszta pogrzebowe, z pewnością matka nie podejmie się tego, i to jeszcze nie w jój parafii.— Potém nagle odwracając się do chorój rzekła:

— Jetto! wszakżeś miała pieniądze, cóżes z niemi zrobiła?

— Idź! idź! — zawołałem odpychając ją od łóżka; na twarzy bowiem Adelajdy malowała się wtedy boleść. — Zostaw nas samych i bądź spokojna; podejmuję się wszystkiego.

Zbliżyłem się do chorój.

— Zadam pani niektóre pytania — rzekłem — ale na nie tylko znakami będziesz mi odpowiadała.

— Czy pozwolisz przenieść się do domu zdrowia, gdy się będziesz czuła lepiej?

Dała znak potwierdzający.

— Może masz tu jakie długi?

— Nie — szepnęła. — Występne życie zapłaciło za wszystkie wydatki.

— Uspokój się... za godzinę będziesz miała wyborną służącą przy sobie.

Wstałem chcąc odejść. Z wysileniem dostała z pod poduszki mały woreczek i podała mi go.

— Schowaj swoje pieniądze, zawołałem. Uścisnęła mą rękę.

— Jeszcze jedno słowo, — rzekła po chwili milczenia, — nie mów o mnie swój żonie.

Spojrzała na mnie błagająco; przyrzekłem, aby ją uspokoić, choć wiedziałem że nie dotrzymam obietnicy.

Gdym bez światła schodził ze schodów, zatrzymały mnie dziewczyny tutejszego domu, które otaczały jakiegoś człowieka obwiniającego je — jedną z nich o skradzenie zegarka.

— Cicho bądźcie! na imię Boga was zakli-
nam!—zawolałem—czyliż nie wiecie, że tu jest
osoba konająca?

— A co mi tam do tego, kiedy mnie tu nie-
słusznie oskarżają,—odezwała się jakaś na wpół
tylko ubrana jędza, która mimo powstrzymują-
cych ją towarzyszek, głosem i ruchem odgrażała
młodemu mężczyźnie, z uporem twierdzącemu,
że widział zegarek w jej ręku.

— Chciałem pani coś powiedzieć,—rzekłem
do starój.

— Mnie?—krzyknęła trzęsąc się z gniewu.
—Teraz nie mam czasu. Czy nie widzisz pan
jak ten niegodziwy oszust oskarża jedną z mych
dziewczyn o kradzież, usiłując *splamić honor
mego domu*. Oto jest frycka, powiedz jej to pan.

Na wołanie starój, wysoka dziewczyna wy-
szedłszy z tłumu wprowadziła mnie do małej
izbedki, pytając czego sobie życzę.

— Chciałem ci tylko powiedzieć,—rzekłem—
że panna Adelajda jest teraz pod moją opieką, i
że ją dobrze znam.

— Ach! pan ją znasz dobrze; panie dokto-

rze! tysiące innych mogłoby się tém samém pochwalić.

— Milcz!—zawołałem oburzony,—i słuchaj co ci powiem: panna Adelajda jest bliską skonu, najmniejszy hałas lub niepokój może jój śmierć przyspieszyć, a wtedy pociągnąłbym was do odpowiedzialności.

— Doktorze! bardzo mi to przykro, gdyż ta dziewczyna była ze wszystkich w tym zakładzie najłagodniejsza i najuczciwsza. Cóż możemy dla niój uczynić?

— Teraz dać jój tylko największą ciszę; żeby nikt do niój nic nie mówił, a najdalej za godzinę przyślę kogoś co będzie miał staranie o niój.

— Ale czémże panie doktorze, ta dziewczyna wynagrodzi panu wszystkie koszta.

— To już do mnie należy, opiekuj się nią tymczasem.

Wyszedłem.

Przez całą drogę myślałem o Adelajdzie: niestety! jakżeż się zmieniła od czasu kiedy ją raz pierwszy widział, jakżeż dziś różna od téj świetnej piękności, z której tak dumna była jój mat-

ka, a nawet cała okolica Brandeburga. Któż ją tak nisko zepchnął? Matka jój, wdowa po urzędniku, który żadnego nie pozostawił majątku, za pośrednictwem przyjaciół najęła dom na przedmieściu, i odnajmowała od siebie pokoje rozmaitym osobom, życzącym sobie dla zdrowia lub przyjemności oddychać świeżem powietrzem. W czasie słabości méj żony i ja także przed trzema laty wynająłem mieszkanie od matki Adelajdy, która tak dalece zachwyciła nas wdziękiem postawy i całym ułożeniem, że Emilija uczuła do niój silny pociąg. Jakież było jój zdziwienie i boleść, gdy się dowiedziała o dzisiejszém jój położeniu.

— O mój drogi!— zawołała moja żona,— czy to być może. Otocz ją całym swém staraniem, i nie opuszczaj jój; uratuj ją od śmierci i oddaj biédnej matce, jeżeli boleść nie zabiła jój jeszcze.

Całą noc nie mogliśmy zmrużyć oka, a ja już o świcie byłem przy łóżku Adelajdy.

Poruszenie czuwającej sługi gdym wchodził zbudziło chorą. Spojrzała na mnie wzrokiem gasnącym.

— Powiedz mi, ale mów jak najciszej, jak się czujesz?

— Czuję tylko że żyję doktorze, jakby przebudzona w grobie. Cóż to za kobieta?—zapytała mdlejącym głosem, patrząc na służącą siedzącą w nogach na łóżku.

— Ta kobieta będzie miała o tobie staranie,—odpowiedziałem.—Całą noc czuwała przy tobie. Chora usiłowała podać jej rękę, którą służąca uścisnęła w swój dłoń. Przez kilka dni Adelajda leżała bezprzytomna.

Pewnego poranku około godziny dziesiątej idąc do niej, usłyszałem na schodach przez drzwi na w pół otwarte, głosy kilku rozmawiających osób. Wymówiono imię Adelajdy, zatrzymałem się chcąc wysłuchać co mówią.

— Powtarzam wam jeszcze raz, że i tak już długo czekali, i że wkrótce będzie zapóźno, — mówił jakiś człowiek głosem krzykliwym:—wiem że ma tę pieniądze pod poduszką, a więc zabierzmy je jak najprędzej.

— A co zrobimy ze służącą, która jej nie opuszcza? — odezwał się głos kobiety, po którym poznałem starą matkę.

— Wypchnę ją za drzwi i zrzucę ze schodów, wszak to nie pierwszy raz będzie? nieprawdaż?

Piekielna tłuszcza zaśmiała się głośno.

— Ale czyby matka nie mogła pójść, i pod pozorem przesłania jój łóżka, spokojnie zabrać woreczek?—spytała jakaś z młodszych bezczelnie.

— Jabym miała prześcielać jój łóżko, czyś zapomniała jak Jetta mnie nienawidzi, a przytém kobieta co jest przy niej, posługuje jój we wszystkim.

— No! już widzę, że pewno przeklęty doktor zabierze jój woreczek; ten łajdak nazwie to swoim honorarium, gdy my to szczerzej wyznamy, że ukradniemy, nieprawdaż matko?

— Ależ matko!—odezwał się głos kobiety, którego dotąd nie słyszał,—uważaj, że biedna Jetta umiera.

— A to właśnie dla tego, głupcze! nie potrzebuje mieć pieniędzy; zresztą przeniosą ją do szpitala, gdzie nie potrzebuje nic płacić.

— Dobrze mówisz matko! — zawołał mężczyzna,—moje jednak zdanie jest najlepsze, musimy je zaraz wykonać.

Z szybkością zbiegłem ze schodów, i udałem się do Komissarza Policyi, który mi dodał konstabla. Pokazałem mu drogę i powiedziałem o co idzie. Zbliżając się do domu, jedna z dziewczyn poznawszy go, chciała natychmiast biedz dla ostrzeżenia; lecz urzędnik zatrzymał ją, wskazując na szarfę.

— Zginęłaś! — zawołał — jeśli wydasz najmniejszy krzyk. Idź pan — doktorze, ja zaraz będę za tobą.

Wszedłszy do pokoju Adelajdy, zdziwiłem się widząc przy jej łóżku, na miejscu zwykle zajmowaném przezemnie, ostatniego rzędu obdartusa, który najspokojniój słuchał ze wzruszeniem przemawiającej do niego sługi. Na odgłos mych kroków powstał, i z miną niedowierzającą zbliżał się do drzwi, gdzie spotkał konstabla.

— Trzymaj go pan! — rzekłem — on tu popełnił kradzież.

Konstabl schwycił go za kolnierz.

— Co ja ci winien oszuście? — wołał lotr zwracając się do mnie.

— Cicho! nie rób hałasu i chodź ze mną spokojnie, bo ci w łeb palnę, — rzekł konstabl,

przykładając mu do skroni lufę nabitego pistoletu.

Aresztant chciał się opierać.

— Przykro mi to z powodu chorój—rzekł, — ale muszę mu w łeb palnąć.

— Daj pokój na Boga! — zawołałem — nie chwytaj się téj ostateczności.

— Złodzieju! — zawołał konstabl targając nim gwałtownie za kark i piersi, — powtarzam ci raz jeszcze że zginiesz, jeśli nie pójdiesz zaimną.

— Co pan chcesz odemnie? — woła złodziej. — Jakiem prawem możesz tego wymagać odemnie?

— Oto na mocy takiego prawa—rzekł konstabl przykładając mu lufę pistoletu do twarzy, i byłby mu w łeb strzelił, gdyby nie Adelajda przebudzona ogromnym krzykiem złodzieja.

— Litości! litości! — zawołała zrywając się na łóżku, i padła na kolana wyciągając ręce ku grupie szamocącej się przy drzwiach.

Zbliżyłem się czém prędzój do niej prosząc ją, żeby się uspokoiła, i począłem zapewniać, że niema żadnej obawy, i że tylko chcę ją od wszy-

stkiego złego obronić. Nic nie odpowiedziała, tylko drżała ciągle jak liść wiatrem poruszany.

Złodziej w końcu pozwolił się najspokojniej prowadzić.

Po chwili lekko zaszukano do drzwi. Był to urzędnik.

— Już zabezpieczyli złodzieja — rzekł do mnie, — a na pana czeka już powóz na dole, można nim tę panią natychmiast odwieść do szpitala. Postąpiłem podług pańskiej rady.

Stan Adelajdy, początkowo bardzo zatrważający polepszał się widocznie. Niektóre ślady dawniejszej piękności dawały się spostrzegać; przychodziła do siebie prędko; a służąca, która się bardzo do niej przywiązała, nie chciała ani na chwilę opuszczać chorą.

— Adelajdo! — powiedziałem jój raz — oto powróciłaś do życia.

— Do życia? — powtórzyła westchnąwszy głęboko, — wcale się z tego mój doktorze nie cieszę, wolałabym umrzeć.

— Zawsze to pani powtarza — przerwała służa, — ja powiadam, że to źle, bardzo źle tak mówić, nieprawdaż panie doktorze?

— Zapewnie! — odpowiedziałem, — jest-to niewdzięczność względem Opatrzności, która tak cudownie przywróciła ci zdrowie.

— Nigdy nie byłam niewdzięczną, — rzecze Adelajda, — ale życie nie ma dla mnie powabu. Śmierć tylko może mi dać spokój jakiego pragnę.

— Zдай się na wolę Boga, — przerwałem, i troszcz się o swą przyszłość; pomyślę ja o spokojnym i skromnym dla ciebie schronieniu.

— Powiem ci coś niespodzianego doktorze, posiadam teraz przeszło 5,000 talarów.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Możesz mi wierzyć doktorze, — mówiła dalej, — powiedziałam prawdę. Kwota do mnie, do mnie jedynie należy, odziedziczyłam ją po stryju. Nie stawiałam się dotychczas po odbiór, nie chcąc brać spadku po rodzinie którą shańbiłam. Poświęciłam Bogu te pieniądze jako małe zadośćuczynienie za me grzechy.

— Biędna dziewczyna! W tym czynie jaki przekonywający dowód jój żalu! Zamilkłem nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Doktorze! opowiem ci moje przygody, — rzekła mi jednego poranku, — zobaczysz, jak dumam, a potem miłość pograżyły mnie w przepaść, w której mnie znalazłeś.

— Przypominasz sobie zapewne czas, kiedyś mnie poznał. Żyłam wtedy pod opieką matki spokojna i szczęśliwa. Chwalono moją pięknosc, z której cóż dzisiaj pozostało?

Nie chcąc się zajmować gospodarstwem domowem, przepędziłam życie na czytaniu romansów, wyobrażając sobie, że kiedyś dostanę wielkiego pana za męża. Zakrwawia mi się serce na wspomnienie, ilu to młodych i godnych ludzi odepchnęłam, nie tylko z dumą lecz nawet z pogardą... ja !... która później !!!...

Pewnego wieczora, gdym z książką w ręku przechadzała się nad rzeką, spotkałam się nagle z młodym jakimś wojskowym, który także bawił się czytaniem. Zdziwiony cofnął się o kilka kroków; zdjawszy czapkę uklonił mi się, przepraszając mnie i tłumacząc się bardzo ujmująco. Zdawało się, że głębokie na nim zrobiła wrażenie jak również on na mnie; godzina moja wybila. Rysy jego twarzy były nadzwyczaj miłe,

głos trafiał do serca, nie mogłam go się dosyć nasłuchać; mówiąc do mnie, stał w odległości pełen uszanowania; przyzwoitość jego i powaga bardzo mię ujęły, i zmusiły niejako zostać w miejscu.

— Sądzę— rzekł do mnie,— że pani często przechadzasz się nad tą rzeką, gdyż mieszkanie jój jest stąd niedaleko. Więcej już nie będę pani przeszkadzał, — rzekł dalej z miłym uśmiechem.

Skłonił mi się nisko i odszedł. Słowa jego były pełne poezyi, bez przesady, pełne uczucia delikatności, zdawało się, że chciał mi się przypodobać, i to jego umiarkowanie spodobało mi się.

Zamknęłam książkę, i usiadłszy oddałam się marzeniom o tém spotkaniu. Co za dziwne szaleństwo! żalowałam tego człowieka, którego nazwiska nawet nie znałam, pragnęłam żeby jaki wypadek sprowadził go do mnie, serce biło mi mocno, a uprzejmość z jaką do mnie przemawiał, zdawała mi się być przepowiednią głębszego uczucia.

Wróciwszy do domu, usiadłam do fortepianu. Po małej przegrywce ręce moje latały po

klawiszach nie mogąc wygrać żadnej sztuki. Matka chciała mi dyktować list, alem tyle narobiła błędów, że się na nic nie przydał. Przepędziłam noc niespokojnie, lękałam się o siebie, przeczuwając namiętność niepohamowaną, gwałtowną. Podobna miłość od pierwszego spojrzenia wydać ci się może śmieszną, a jednak ja mówię prawdę! Nazajutrz z książką w ręku wróciłam na miejsce wczorajszego spotkania, ale on nie przybył, pojutrze toż samo, ale znów napróżno, nie spotkałam nikogo. Byłam nierozsądną!

W nadchodzący Poniedziałek zobaczyłam go wreszcie idącego pod rękę z towarzyszem, lecz był blady, osłabiony, z ręką na temblaku; spostrzegłszy mnie zarumienił się. Wyczytałam już poprzednio w gazecie, że porucznik Alfons S... pojedynkował się z jakimś hrabią polskim, który go ranił w lewe ramię. Nie wątpiłam więc że to on.

Niespokojną byłam z powodu tego pojedynku. Niebezpieczeństwo, na jakie był narażony, przejęło mnie do żywego. Niestety! kochałam go już! a miłość ta powstała w kilka minut, wywarła wpływ na całe życie i zgubiła mnie.

W kilka dni potém spotkawszy go, nie wiem jakim sposobem ośmieliłam się wyrzucać mu ten pojedynek. Zarumienił się, i z zadziwieniem spojrzawszy na mnie, pokazał mi jak był tém dumny, że życie jego tak mnie obchodziło.

Tegoż samego wieczora byłam tyle nieroztropną, że przyjęła jego rękę; nazajutrz zeszlismy się w tém samym miejscu. Dowiedziałam się, że był oficerem jazdy, i że tu przybył dla poratowania zdrowia.

Tak widywaliśmy się codziennie nad wieczorem przez kilka tygodni, i widział coraz wzrastającą we mnie dla niego namiętność. Żądał tajemnego małżeństwa, gdyż jak mówił, ojciec nie będzie chciał się nigdy inaczéj zgodzić na jego szczęście. Za zbyt go kochałam, abym mu mogła nie wierzyć lub robić jakie uwagi. Przystąpiłam na jego żądania, i wkrótce wyjechaliśmy spełnić ten zamiar. Zawiózł mię do Paryża, i nie opuścił niczego, coby mię mogło rozerwać i utrzymać w stanie ciągłego oczarowania. Ale wśród ciągłych roskoszy, ścigało mnie i raniło bolesne wspomnienie! doktorze nie mogłam się ukryć przed wspomnieniem matki!

Po trzech tygodniach musiałam się położyć w łóżko, skutkiem gwałtownych wzruszeń, mocno zapadłam na zdrowiu. Uwodziciel mój czuwał nademną z troskliwością pełną miłości. Później, przywykłam do mego położenia, i oddałam się z całym zapalem zabawom paryskim. Co wieczór błyszczałam w nowym stroju, co dzień czekały mnie nowe przyjemności. Zatarły się wkrótce moje wspomnienia, uciszył się żal, myślałam tylko jak mam używać życia; ale przykrości, gniew i smutki stopniowo zaczęły mięszać nasz spokój.

Pewnego dnia porucznik wydobył z pugilaresu list pisany przez jednego z jego przyjaciół. Donoszono mu, że matka przeczytawszy mój list rzuciła go w ogień, przeklęła mnie, przysięgła sobie nie widzieć mnie nigdy, i obsypywała mnie najcięższymi obelgami. Było to bezczelne kłamstwo. W sercu méj matki było niewyczerpane źródło przebaczenia i dobroci. Chciałam w siebie wmówić, że ta dobra matka wykluczyła mnie ze swego serca; byłoby to usprawiedliwioném, ale co było dla mnie najokropniejszém, to mój tak niski upadek, który ni-

szczył resztę wyższych szlchetnych uczuć jakie pozostały we mnie. Przywykłam do mego losu, nie wspominałam więc panu Alfonsowi o małżeństwie, a życie płynęło mi bez celu i pragnienia czego.

Wkrótce spostrzegłam, że się bardzo dla mnie zmienił, i że pragnie bym się od niego odłączyła. Najzepsutsi ludzie bywali u niego, a ja musiałam im robić grzeczności. Usłużność ich i widoczne nadszukiwania nie obchodziły go wcale. Nic go nie cieszyło, i ze wszystkiego był niezadowolony, ciągle się sprzeczał, i nie raz bardzo dotkliwie zranił moje uczucia lub dumę.

Czas urlopu jaki uzyskał wyszedł już; trzeba było za ośm dni opuścić Francję, i wracać do Pruss. Miałam więc powrócić do ojczyzny, między ludzi, których dawniej znałam! co za okropna myśl! Nie byłabym tego przeniosła. W przeddzień wyjazdu opuściłam Paryż z młodym, pięknym, bogatym i rozpustnym człowiekiem. Pojechaliśmy do Rzymu. Wkrótce porzuciłam go dla innego, z którym toż samo zrobiłam dla trzeciego. Czas jakiś błyszczałam tém światłem, ja-

kiem wielcy panowie otaczają swoje kochanki; światłem szybkim, hańbiącym i przemijającym.

W końcu śmiertelnem się rozchorowała, zwiędła moja piękność a z nią znikło wszystko. Nie miałam więcej nad trzysta talarów całego majątku. Przybyłam do Paryża, gdzie zabawila przez trzy tygodnie później; zapragnęłam wrócić do Pruss, które zdawały mi się być ziemią obiecaną. Pojechałam więc do Berlina w Grudniu. W drodze spotkałam się z młodym paniczkiem, którego dawniej Alfons mi przedstawiał, jako jedynego ze swych przyjaciół. Ofiarował mi bez ceremonii dom i stół. Żyłam z nim przez cały miesiąc. Gdym została sama w Berlinie, oparował mnie nadzwyczajny smutek, a chcąc się w nim rozerwać, zaczęłam pić mocne likiery. Raz w wieczór poszłam do teatru. Orkiestra zagrała jakąś śliczną sztukę, w około wszystko zdało się oddychać wesołością i szczęściem, a mnie wtedy ogarnął gorzki i głęboki smutek. Jakże na mnie oddziaływała ta tęskna i słodka melodyja muzyki! Omdlewałam prawie, a po półgodzinnem słuchaniu, dostałam mocnego ataku nerwowego. Spostrzeżono to. Jakaś kobieta

obok mnie siedząca zawołała:—Ona zemdleje.— Była to znana młoda i piękna zalotnica, ubrana w brylanty. Spojrzałam potem na łoże, w których pełno było błyszczących kobiet. Widok ich napelnił mnie smutkiem, jakżeż mi się wszystkie zdawały być pięknymi. W jednej łoży usłyszałam głośniejszy śmiech, zwróciłam się w tę stronę, i ujrzałam w niej Alfonsa w towarzystwie trzech dam. Zaciemniło mi się w oczach, i padłam bez przytomności.

Nazajutrz zrana przyszedłszy do siebie, ujrzałam się w łóżku. Jakaś młoda dziewczyna stała w głowach i powiedziała mi, że zemdleła w teatrze, że znaleziono mój adres w pularesiku i następnie odwieziono mię do domu. Gospodyni powiedziała mi, żebym się jak najprędzej od niej wyprowadziła, gdyż nie chce, aby osoby podobne mieszkały w jej domu. Zabrawszy z sobą dziewczynę, która mi usługiwała, wyszłam z mieszkania. Dwa dni jeszcze musiałam pozostać w łóżku, a gdym mogła wstawać, chodziłam z nią do teatru. Nie miałam już wtedy więcej jak tysiąc złotych całej summy, która się codziennie zmniejszała, i kilka przedmiotów.

które sprzedalam. Minał już czas, w którym żyłam świetnie kosztem własnej godności; teraz zaś nie miałam z czego żyć. Cóż mi więc pozostało? Szukałam śmierci pijąc nadzwyczaj wiele likieru, ale napróżno; żyłam więc w nędzy i zgryzocie.

Wspomnienie matki nie odstępowało mię ani na chwilę od czasu przybycia do Berlina, nie mogłam się niczego o niej dowiedzieć; ale obawa o nią była tak silną, że postanowiłam przebrana udać się do niej. Niestety! nie znalazłam już domu gdzie spędziła tyle dni szczęśliwych!

Zimny dészcz padał i przemoczył do nitki moję starą zniszczoną salopkę. Co za przykra droga! Zziębnięta weszłam do małego szynku, gdzie wypiwszy parę kieliszków wódki, nabrałam trochę sił. Niestety! ani czas, ani droga, ani umęczenie nic nie przyniosły. Na miejscu domku matki wznosi się skład robót pozłacanych z wystawą błyszczącą i pretensyjonalnym znakiem. Nie zatrzymywałam się tu długo i podeszłam do drugiego domu, gdzie z załamanemi rękami i gwałtownie zaciśniętymi ustami stałam przez czas jakiś. Wkrótce ujrzałam zbliżającego się

człowieka; cała drżąca spytałam się o mieszkanie matki mojej.

— Aha! pani von Bohr?... Tak, to będzie ta sama, której córkę przed czterema laty wykradł jakiś wojskowy. Biędna poczciwa kobiéta! umarła już z półtora roku.

Usłyszawszy to, stanęłam jak wryta. Oh! moja matko! zawołałam, nie mogłaś przeżyć hańby, jaką się okryło jedyne twe dziecko, i umarłaś! Nie padłam, nie zemdlałam, nie krzyczałam, alem zaczęła uciekać z tego miejsca, które tak było dla mnie straszne. Biegłam jak waryjotka. Przypadkiem przejeżdżała dorożka, zatrzymałam ją i kazałam się odwieść do Berlina. Gdy przyszło do zapłaty, nie znalazłam ani grosza więcej nad dwa złote; a cena zwyczajna była około talara. Dorożkarz oskarżał mnie o oszustwo, i wiózł na ratusz.

— Jak mogłaś podobnie sobie postąpić?— rzekł spoglądając surowo.

Padłam na kolana nie wiedząc gdzie była i co się działo w okolo.

— Cha! teraz widzę kto ty jesteś. Nie warto zatrudniać sędziego podobnemi stworzenia-

mi,—dodał po chwili rzuciwszy mi dane mu pieniądze pod nogi.

Wtedy krzyknęłam przeraźliwie i bezprzytomna padłam na ziemię. Odwieziono mnie do szpitala, gdzie przebyła trzy tygodnie. Ledwie mnie uratowano ze strasznego zapalenia mózgu, które omal nie położyło kresu memu smutnemu położeniu. Gdy stąd wyszła znalazłam się bez pieniędzy i bez schronienia. Młoda jakaś dziewczyna, która jednocześnie zemną szpital opuściła, namówiła mnie bym weszła do domu nierządnic, gdzie mogę mieć jakiś zarobek. Stąd wziął mnie do siebie jakiś młody cudzoziemski hrabia, który przyrzekł dawać mi pieniądze za każdą razą, gdy ich od niego zażądam; jakoż dał mi 400 złotych przy pierwszej prośbie, ale gdy się drugi raz do niego udała, oświadczył, że się zgrał w karty i rozmaicie zaszargał, tak, że mnie już nie potrzebuje.

Pewnego wieczora, gdy się w towarzystwie podobnych mnie kobiet zatrzymała koło drzwi teatru spostrzegłam Alfonsa, który podawał rękę jakiejś damie bogato ubraniej, wsiadającej do powozu. Gdy spojrzął na mnie, poznał

i zbladł jak śmierć, potem zaraz wsiadł z ową damą do karety, która zdawała mi się być jego żoną, i odwrócił się do niej. Być może, że się obawiał jakiego zajścia zemną. Dowiedziałam się niezadługo gdzie mieszka. Często wśród ciemnej nocy z dumą przechadzałam się około pałacu, w którym mieszkał. Ale usłyszawszy w salonie jego fortepian; o! jak gorzkiemi zalewałam się łzami! Kilka razy zdawało mi się, że przez cienie zasłoniętych firanek widzę go obok żony swojej, na łonie szczęśliwej rodziny. Doktorze! te noce nigdy nie wyjdą z méj pamięci....

Przechodziłam nie raz i około twego domu, i płakałam myśląc o tobie. Widziałam cię raz z żoną, a widok ten głęboko mię dotknął, tak byłam do was przywiązana. Pyszniłam się waszą przyjaźnią, uważaliście mnie za równą sobie, a wtedy ujrawszy was przypomniałam sobie dawniejszą czystość, i upadek w jakim teraz byłam...

Zamilkła na chwilę i rozplakała się.

— Poznałeś całe moje życie; dusza w upadku, słaby umysł, głęboka nieczulość, oto były moje

przymioty. Nie wiem czym ogłupiała czy oszalała, ale krzyki budziły nie raz sąsiadów ze snu.

Gdym była samą w pokoju, dla zabicia czasu lub dla rozrywki, brałam dzienniki, i tym sposobem dowiedziałam się o śmierci mego krewnego, który zapisał mi owe trzydzieści tysięcy. Zrobiłam wtedy silne postanowienie nieodbierania tego spadku za życia, osądziłam się niegodną dziedziczenia po tych, których nazwisko shańbiłam, i przeznaczyłam tę sumę po mojej śmierci na zakład Świętej Magdaleny.

Przed trzema może miesiącami w południe, przechadzając się pod Lipami, usłyszałam okrzyki trwogi po za sobą, odwracam się i spostrzegam rozbrykanego konia pędzącego galopem; jeździec usiłował powstrzymać go, wszyscy uciekali przed nim. Na skrócie ulicy koń przestraszywszy się nie wiem czego, dał dęba, i rzucił o dziesięć jakie kroków oficera, który na nim siedział; nieszczęśliwy rozbił głowę o bruk. Pobiegłam mu na pomoc, ale nie poruszał się, nie oddychał, słowem, nie żył, a ja pomimo krwi pokrywającej jego twarz, poznałam go: był to Alfons, mój uwodziciel.

O Opatrzności! dotknęła go twa sprawiedliwość; straszna twa ręka spoczęła na nim. Uwodziciel zginął w oczach swój ofiary!

Adelajda zbladła, zatrzymała się, głośnie łkania tłumily jój mowę.

— Tak, — mówiła po chwili, — widziałam śmierć jedyne go człowieka, którego zawsze kochałam, który był przyczyną nieszczęścia całego mego życia. Od tego dnia cień jego ani na chwilę nie odstępuje i ściga mnie bez ustanku, wszędzie widzę skrwawionego umarłego Alfonsa. Oh! pomimo całego twego wysilenia doktorze, pośpiesz za nim, czuję to, i to jest moje najgłębsze przekonanie, chcę prędko umrzeć.

Potém mówiła dalej:

— W tém położeniu będąc zbrzydło mi wszystko, a jednak nie mogłam z niego już wyjść. Spodłona, poniewierana, bita, ściągana do Policji, wypędzana przez kaprys właścicielki domów publicznych, włóczyłam się z domu do domu, gdzie słyszała często język złodziei, albo téż widziałam zbrodnie. Raz zawiniłam coś, przełożona zbita mnie okropnie. Ah doktorze! co za życie? Śmiać się w rozpacz, upijać się

gdy mordują, śpiewać, udawać śmiałą, wesolą, gdy głód dokucza. Piersi moje trawiła konsumpcja, która mnie zabija.

Może będzie ze trzy tygodnie, gdym szła ulicą, jakiś młody człowiek jadący konno, spojrzał na mnie, poznał i powiedział zbliżywszy się:

— Pani widywałeś mnie u porucznika Alfonsa?

Był to ten sam Anglik, z którym opuściłam Paryż oszczędzszy od Alfonsa.

— Zdajesz się być nieszczęśliwą, — mówił dalej: — jesteś pani widzę chorą, trzeba myśleć o swém zdrowiu.

Wyjął z pugilaresu kilkaset złotych i dał mi je; potem spojrzawszy w okóło, gdy mu się zdało, że go może kto widzieć ze mną, siadł na konia i odjechał. Przyjęłam bez namysłu i spokojnie tę jałmużnę i upodlenie; część mych występków zdawała mi się być odkupioną przez to upokorzenie. W przypominaniu sobie wszystkich udręczeń, znajdowałam jakąś dziką rozkosz. Miałam mająteczek a jednak gardziłam nim, wolałabym umrzeć. Z kilkuset złotych tego Anglika mogłabym była coś oszczędzić, miałam

je jeszcze schowane w tym ostatnim nędznym przytulku, gdzieś mię mój zbawco znalazł. Zdziwisz się zapewne, żem tych pieniędzy nie użyła dla obrania sobie jakiego uczciwego stanu, ale na to trzeba było zmienić sposób życia, a mój zły duch nie dopuścił do tego. Jestem potulną zbrodniarką bez nadziei wydobycia się, bez chęci wyrwania się z otchłani zbrodni. Dom, w którymś mnie znalazł, nie jest miejscem samego zepsucia, ale i zbrodni. Powinnam umrzeć, i nie być żalowaną przez nikogo, nie zasłużyłam sobie na żadną litość.

Zatrzymała się dłużej, otworzyła usta, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale już nie mogła, i padła zemdlona; po trzech minutach otworzyła oczy i ciężkie westchnienie wydobyło się z jéj piersi.

— Tak jest—rzecze nareszcie dalej Adelajda,—tak nikczemny potwór jak ja nie powinien już wracać pomiędzy uczciwych ludzi, nie powinien kalać swym przeklętym oddechem siedzib cnoty i spokoju. Dla takiéj co kształconą była starannie, a potém bezwstydowni się oddała, dla takiéj wyrzuty sumienia, bóle, wstyd i

śmierć w ohydny miejscu, a grób w niepoświęconej ziemi jest zasłużoną karą. Doktorze! wiesz że w straszliwym szale, mszcząc się na sobie samém, katując się bez litości, wiesz! żem zesłała na bezwstydnicę żydów, plemienia tak mi nienawistnego, że mnie dreszcze porywają na samo ich wspomnienie. Ale chciałam się sama ukarać, srogo, nieubłaganie, bom na to zasłużyła; chciałam się skalać do reszty, ja szlachetnie urodzona a ze wstydu wyzuta panna. Nieprawdaż doktorze, dla mnie litości niéma? nieprawdaż doktorze?

— Adelajdo! Adelajdo! nie bluźnij!—rzeknę do młodej kobiety tak okropną rozpaczą dręczonej.— Adelajdo! Odkupiciel świata nie tak przemawiał do nędznej grzeszniczki, która łzami swejmi stopy Jego obmywała. Nie potępij siebie za nadto; miej litość sama nad sobą, bo żałujesz.

Balsam religii ukoił jój żale...

* * *

Dzień, w którymśmy razem opuścili szpital, głęboko mi utkwiał w pamięci.

Było to na wiosnę; niebo piękne uśmiechało się do nas, ciepłe powietrze rokosznie zagrzewało nasze dusze. Jechaliśmy szybko koczkiem, w głębi którego siedziała Adelajda i jej służąca. Nigdy nie czułem większego moralnego zadowolenia jak wtedy, gdym wiózł do samotnej cichej owczarni tę zbląkaną owieczkę.

Był to mały domek nieopodal od drogi, leżący w małym lasku; ładny murowany domek wznosił się między zielonym jaśminem i powojem. Adelajda wszedłszy do przedpokoju padła na kolana, drżące ręce wzniosła ku niebu, i w tej postawie pozostała dość długo.

Ludzie! którzy nie lubicie innego życia jak w powierzchownej wystawie i w bezpożytecznym blasku, wy, którzy nie pojmujecie innych przyjemności nad zmysłowe rokosze, wy szydzicie z scen, którem tu opisałem: są one mało znaczące dla was, ale też i nie dla was są pisane!!!

— Doktorze! zostaniesz zemną w korespondencyi? nieprawdaż? — powiedziało do mnie biedne dziecię, — a listy będziesz adresował *do chatki Adelajdy*.

Często odwiedzałem Adelajdę. Zdawało się

że przyszła zupełnie do siebie. Z każdym miesiącem przybywało jój zdrowia, a przytém spokój umysłu, spokojność głęboka prawie religijna tej samotni, myśli pobożne, co ją ciągle zajmowały, uczynki miłosierne, które rozsypywała na około, przyczyniały się do zape wnienia jój szczęścia. Trzy lata żyła tak choć osłabiona i tęskna, ale o tyle szczęśliwa, o ile ponure wspomnienia przeszłości pozwalały jój nią być. Dnie całe z zapalem się modliła. Zaniedbany katar, którego się nabawiła ze zbyt długiego siedzenia w kościele, wywołał też same symptomata suchot, które mi się raz udało wyleczyć. Trzeba było przyczyny, żeby się były odnowiły, a przyczyna znalazła się. Przebieg choroby był nadzwyczaj prędko.

Wiele cierpiała w chorobie, przewidywałem jak mię skon iój zasmuci. Silnie, serdecznie lubiłem Adelajdę, i mocno się do niej przywiązałem; po tylu usiłowaniach boleśnie ją było tracić. Im się bardziej zbliżała fatalna chwila, tym więcej się starałem być przy niej spokojnym. Podyktowała mi ostatnią swą wolę. Żądała, ażeby nikt więcej, prócz mnie, służącój i trzech

ubogich kobiet miejscowych nie był na jój pogrzebie. Zastrzegła sobie nadewszystko, ażeby żadnego napisu nie kłaść na grobie.

— Niech się zatrze pamięć o mnie, — mówiła. — Tylko, — dodała płacząc — wy nie zapomnijcie o biédnej dziewczynie, która was tak kochała.

Rozplakaliśmy się wszyscy.

Ostatniego Stycznia o trzeciój godzinie po południu, przybyłem do chatki. Jakaś stara kobiéta, którój nigdy nie widziałem, otwierając wrota powiedziała ;

— Adelajda już nie żyje.

Służąca z płaczem powitała mię w pokoju.

— Nieboszczka zostawiła dla pana pamiątkę.

Wszedłem do pokoju, gdzie zastałem zmarłą jeszcze nieostygłą; twarz jój nie straciła téj słodczy i melancholijnej piękności, jaką miała za życia. W zimnej ręce trzymała haftowaną chustkę, nad którą, że pracowała, widziałem dawniej.

— To dla pana, — rzekła służąca.

Wziąłem chustkę, na której znalazłem następujący napis wyhaftowany ręką Adelajdy:

— Adelajda zbawcy swemu, lekarzowi ciała i duszy.

Biędna Adelajda!

ROZDZIAŁ II.

Pojedynek na puginały.

Jestem od dwóch miesięcy w Portugalii. Pewien młody Fidalgo, zaprosił mnie jednego razu na polowanie do małego zamku Braganzy. Wiadomo, że w tych chwilowych mieszkaniach, zbierają się ludzie majątni, znudzeni pobytem w stolicy przez lato i zimę. Tutaj zwykle młoda majątna szlachta portugalska nabiera dobrego humoru. Książę Pallucella, dzielny agronom, żywy, przyjemny, zachwycający, łączył gracyją arystokraty z ujmującą prostotą szlachcica wiejskiego, pojmującego szlachetną duszę w każdym dobrze wychowanym człowieku.

Hrabia zaś de Lawradio który szukał w woj-

sku karyjery, wesoly, także nadzwyczaj żywy, (którego przytém charakter, wywoływał nieraz sceny jakich byłem świadkiem), żył ciągle w towarzystwie wojskowych, i popełniał codziennie tysiące niedorzeczności, przeinaczał się co chwila, szukał ciągle nowych zabaw, kochał się w wytwornym stole, w doskonałych winach, pięknych koniach, które zajeżdżał. Sąsiedni dzierżawcy lubiący spokojność i swe pola obsiane, niszczone przez niego bez litości, nie mogli się dość uważać na niego. Żył przytém ciągle awanturniczo, często kolacje przeciągały się u niego późno w noc, robił zakłady szalone, wyprawiał polowania bez końca, a gra, pływania i próby pistoletowe ciągnęły się już bez przestanku od dni pięciu. Hrabia de Lawradio chciał nas zabawić. Miasteczko Tavi, w którém mieszkał, leżało od zamku bardzo blisko. Zostaliśmy piśmiennie zawiadomieni o balu, który z podpisów miał być dany w tém mieście, a wszystka szlachta okoliczna pośpieszyła się zapisać na niego. Spodziewano się licznego zgromadzenia; miało się bowiem zjechać mnóstwo osób, wielu z przyjaciół hrabiego, a on sam

ogłosił się gospodarzem balu. Trzeba było widzieć to miasteczko; za szczupłe na pomieszkawanie przybyłych tancerzy, zamienione w pewien rodzaj obozu, gdzie się wesołe odbywały hulanki. Odgłos muzyki, odbijając się o góry sąsiednie, budził okolicznych mieszkańców; mieszczańskie zachęcenie tym widokiem, zrobili dla siebie podobny festyn.

Na wezwanie takie, zjechały się wszystkie okoliczne piękności. Rzadko kiedy można zobaczyć zgromadzonych tyle pięknych, eleganckich kobiet i mężczyzn! Jakżeż silnie biły wszystkich serca! Największa część przyjaciół hrabiego, odznaczała się wytwornym obejściem. Prawie wszyscy znali się wybornie na wszystkich środkach podbijania serc kobiecych, sposobem najłatwiejszym, to jest pochlebniemi słówkami, niemającymi w rzeczy samej żadnej wartości. Ja jeden cudzoziemiec nie znałem tych środków, zresztą cały mój ustrój, w którym oddawna przebijala się melancholija, mało odpowiadał wesołości i giętkości manier moich towarzyszy. Zadowolniłem się przetańczeniem dwóch kontredansów z jedną z tych biednych skro-

mnych i lękliwych istot, na które wcale nie zwracano uwagi, a które się jednakże znajdują w każdym towarzystwie, czy to u nas w Polsce, czy w Anglii, Francji, a nawet w Portugalii. Między tańczącymi pannami, jedna, młoda i piękna osoba zwracała ogólną uwagę. Przewana Fijolką Bragancy, dla podobieństwa wyjawiającego się w skromnym łożeniu i charakterze, była ciągle otoczona tłumem wielbicieli. Oczy miała tak silnego niebieskiego koloru, jak i ten kwiat w chwili kwitnienia: oczy te duże, podługne, pełne ognia i słodyczy, miały szczególny wyraz czucia i zapалу, które rozlewały się na całą twarz regularnych, cokolwiek śniadych, prawie zimnych rysów. Sprzeczność ta fizjonomii południowej z spojrzeniem malującym tyle łagodności duszy, dodawała jęj jeszcze większego uroku; zdawało się, że odrazu można w nięj czytać, głębokie uczucie, słabość i siłę. Po pięknym czole wiły się naturalne pierścienie kruczo-czarnych włosów, które sływały na przesliczne ramiona, a w zgrabnych ruchach przebiła się szlachetność, duma i delikatność.

Wszyscy młodzi ludzie, prócz hrabiego La-

wradio, zachwyceni wdziękami téj młodéj osoby, ubiegali się z okazaniem jéj swego uwielbienia. Młody kapitan gwardyi, bardzo bogaty, odznaczający się pięknym wzrostem, zdawał się odbierać pierwszeństwo od młodéj Inezy za swe zabiegi, przed innemi. Po nim najwięcej zajęty był nią młody człowiek do znakomitéj należącej familii, który się poświęcił dyplomacyi. Gdy się uśmiechnęła do jednego, zaraz drugi zmarszczył na to brwi, jeżeli znów z większą uwagą posłuchała rozmowy kapitana, to wnet na twarzy rywala, którego nazwę Rowetro, wi- dać było największe nieukontentowanie.

Kapitan Siendemonios podał rękę pięknej Inezy z którą zamierzał tańczyć pierwszego kontredansa. Rowetro, zatrzymał go mówiąc:

— Kapitanie! mam przyrzeczenie. Pani! — rzekł daléj, zwracając się do Inezy: — wszak prosiłem poprzednio?

Na twarz Inezy wystąpiły silne rumieńce; przewidywała zajście.

— Prawda! — powiedziała — pamiętam, że panu Rowetro przyrzekła; gdybym mogła, tań-

czyłabym z obydwoma panami. Kapitanie! nie będziesz więc wymagał, nieprawdaż?

I błagająco spojrzała na niego, jakby żądając względu dla pochmurnego rywala.

Kapitan oddalił się, rzuciwszy przytém na Rowetra spojrzenie pełne obrazy.

Znałem nieugiętą dumę jednego i drugiego. Rowetro tańcząc z Inezą, ani na chwilę nie spuszczał z oka kapitana tajemniczo milczącego.

W zabiegach jego nadzwyczajnych przebiła się jakaś niespokojność i gniew tłumiony.

W trzy dni potém, hrabia Lawradio sprosił na obiad znaczną część tych, którzy byli na owym balu. Rowetro i kapitan byli także w ich liczbie; postanowiłem przeto obserwować obu-dwóch. Kapitan przybył pierwszy, i usiadł w oknie. Rowetro zsiadłszy z konia wszedł niezadługo; na jego widok kapitan zbladł, drgnął, ścisnął pięści i z niespokojnością opuściwszy zajmowane miejsce, stanął w głębi sali, wprost drzwi wchodowych. Rywale powitali się milcząco, grzecznie, ale z uderzającą obojętnością.

Dwadzieścia osób zasiadło do stołu przepysznie zastawionego; dobre wina dodawały hu-

moru, dowcip stawał się ogólnym i wszystko zapowiadało jak najprzyjemniejszą zabawę. Kapitan i Rowetro siedzieli zdala jeden od drugiego, i zdawało się, że zapomnieli o rywalizacji. O ósmój podano desert i kosze pełne win Porto, Madery i Szampana, a przed każdym postawiono kilka kieliszków. Młodzi ludzie spełniali najrozmaitsze toasty, a służący napelniali ciągle kielichy. Nigdy nie był świadkiem tak rzeźwój pijatyki w krajach południowych. W tém gospodarz powstał, i wznosząc w górę puhar, który napelniał pieniący się szampan, zawołał:

— „Kochani towarzysze i przyjaciele! napelnijcie swe puhary. Wniosę zdrowie, które z radością spełnicie. Wypijemy zdrowie pięknej Inezy, Fijolka Braganzy. Wzywam was do odpowiedzi na mój toast.

Ogólne okrzyki odpowiedziały na wniesione zdrowie. Kapitan i Rowetro powtórzyli je z zapalem. Ręka kapitana zatrzęsała się, gdy zbliżał szklanke do ust.

— Ale któryż z panów, — zawołał jeden z gości, — odpowie za nią i podziękuje w imieniu pięknej Inezy?

— Parbleu! odpowiedział drugi,— a któżby, jeżeli nie wybrany przez nią na balu, Rowetro.

— Dalej Rowetro wstawaj! Po co tyle skromności? Takeś ją oblegał przez cały wieczór, że niepodobna było z nią tańczyć, nawet nie było czasu z nią mówić.

— Myślę, — wtrącił hrabia Lawradio, — że i kapitan ma do niej równie dobre prawa.—Prócz uśmiechu widziałem wyraźne pierwszeństwo, mające pewne znaczenie, które piękna Inez dawała kapitanowi. Rowetro i jego rywal, zarówno zmieszani, milczeli. Kapitan gwałtownie ścisnął szklankę, którą trzymał w ręku. Goście rozmarzeni winem, zaczęli brać stronę, jedni kapitana, drudzy dyplomaty, którzy obadwaj nie przemówili ani słowa przez cały czas, kiedy rozprawiano o ich pierwszeństwach, z taką gwałtownością i zapalem, jakby szło o ocalenie kraju. Co chwila kapitan ciskał na Rowetra gniewne spojrzenia.

Księżę Pallucella, widząc rozognione twarze dwóch młodzieńców, i przewidując skutki tego zajścia, starał się złagodzić powiększający się gniew dwóch rywali.

— Mnie się zdaje, — zawołał — a nawet postawię dwadzieścia przeciw jednemu, że serce młodej Inezy dotąd się waha jeszcze. Cóż mamy lepszego zrobić? Oto, zdajmy wszystko na los, krzyż albo cyfra! Niech Rowetro i kapitan rozgrają się, kto wygra otrzyma tytuł kawalera Inezy.

Wszyscy śmieli się głośno, prócz rywali, których czoła nie rozchmurzyły się ani na chwilę. Kapitan był blady, wzrok utkwiał w trunku, którego pełną szklanke trzymał w rękę, popijał go po trochu, starał się okazać obojętnym i spokojnym, ale wzruszenie zdradzało mimo woli. Rowetro, starszy i więcej panujący nad sobą, był niewzruszony, zakłopotanie zaledwie można było w nim dostrzedz. W tej niespodziewanej chwili najgwałtowniejsze uczucie zawiści, jakie mogą się wyroić w sercach portugalskich powstały i rozhukwały się.

— Kapitanie, — rzekłem z cicha do sąsiada, — w istocie sądziłem, że zaszczyt ten, którego ci tak uparcie zaprzeczają, słusznie należy się tobie; przecież widziałem, jak się rumieniła z dumy i radości kiedyś jej hołdy składał.

Usiłował się na to rozeźmiać.

— Masz pan słuszność, — odpowiedział: — Rowetro nie ma żadnego prawa do tytułu, który mu chcą nadać.

— Przynajmniej tak mi się zdaje.

Ponure wejrzenie mówiącego, ścięło lodem wszystkich obecnych.

— Przyjaciele! — zawołał wtedy swobodnie Rowetro, — zdaje mi się że za wiele o tak małą rzecz narobiono hałasu, lecz w takim położeniu, w pośród téj sprzeczki, zmuszony jestem szczerze objawić swoje zdanie; a nikt tutaj, jak sądzę, nie ma prawa zaprzeczać mi pierwszeństwa, które sobie zdobyłem. I ten rycerz, który jest moim rywalem, co także same słowa wymówił z przyciskiem, zmuszony będzie wyznać, że piękna Ineza, włożyła na mnie tytuł i obowiązki, o które się dobijam. Wprawdzie dzielny kapitan, ma dumną minę, spojrzenie ogniste, głos nader uroczy, ale....

— Nie tak śmiało! i zuchwale panie Rowetro! — zawołał, czerwieniąc się z gniewu kapitan.

— Zuchwale! do djabła! cóż to ma znaczyć,

czy się chcesz ze mną kłócić kapitanie? Nie sądzę. Być może, żem powiedział co nieprzyjemnego dla ciebie, żaluję tego mocno, bom nie miał tego zamiaru. Na honor! byłoby mi to przykro. Co się tycze naszej piękności, o której mówimy, pozwólcie panowie, bym miał prawo odpowiedzenia za nią. Tak kapitanie, ośmielę się odezwać w imieniu méj pięknej tancerki, i podziękować za nią towarzystwu, które wypilo jój zdrowie. — W czasie téj rozmowy Rewetro, zręcznie połączył wesołość z dowcipem i grzecznością; spodziewałem się, że się kapitan uspokoi, ale on zamiast pójść za przykładem swego przeciwnika, zawołał głosem drżącym z gniewu:

— Mylisz się Rowetro! słowo honoru mylisz się! Czyż możesz wiedzieć, jaką odpowiedź dała mi Ineza, i jakie są jój skryte uczucia? Czy nie wiesz, że nie przyjmowała twych grzeczności z przyjemnością.

— Ale skąd? Nazajutrz rano widziałem się z Inezą i mogę cię zapewnić...

— Nazajutrz! widziałeś ją, nazajutrz! a to z jakiej przyczyny?

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się panu ze swego postępowania. Wolno mi jest, — mówił dalej, — wychylając szklankę wina, która odebrała mu resztę przytomności i pamięci, — wolno mi jest starać się o Inezę; tém gorzej dla tych, co w tém chcą czegoś złego dopatrzeć.

Zaogniły mu się policzki, i głos się przerywał; próżno przyjaciele chcieli go powstrzymać. Chwiejąc się wstał, i widocznie rozmarzony winem, zawołał:

— Ineza przyjęła moje oświadczenie, nawzajem odebrałem jój wyznanie, oświadczam to kapitanie ażeby nadal odjąć ci wszelką ochotę do sprzeczeki.

Zaszemrano powszechnie na Rowetra, którego jedynie stan obecny mógł usprawiedliwić.

— Rowetro! — zawołał przeciwnik, — postępujesz nikczemnie i nieuczciwie!

Potém rzekł z żalem i dobitnie:

— Nie mogę dłużej wytrzymać w żaden sposób.... Chcesz zgubić osobę niewinną i słabą, a ja, który z oburzeniem słuchałem twój mowy,.... oświadczam z swój strony w obec wszy-

stkich zebranych tu przyjaciół, że jesteś... słyszysz, co mówię... że jesteś *podłym*!

Ostatni wyraz wymówił z przyciskiem i zwolna, głębokie milczenie panowało w salonie.

— *Podły!*—odezwał się Rowetro, który nagle spoważniał i pobladł. — Zarzucasz mi niekczemność, i nazywasz *mnie* podłym?

I wstając jak automat ze szklanką w ręku, powtórzył kilka razy:—Dalibóg podły, to trupem pachnie.

— Potwierdzam to, — odpowiedział kapitan głosem pewnym.

— A nie wiadomo ci, że musisz mi z tego zdać rachunek!

Kapitan rozparł się w krześle i patrząc spokojnie na Rowetra; powiedział:

— Nigdy nie mówię nic, czegobym się później mógł wstydzic lub z czego miałbym się usprawiedliwiać, nie spodziewaj się tego ode mnie.

— A więc nie spodziewaj się także ode mnie,—zawołał Rowetro, cisnąwszy mu szklankę w oczy, — żebym ci się z tego tłómaczył.

Szklanka stukła się o twarz kapitana, którą

skaleczyła i zakrwawiła. Wszyscy zerwali się z miejsc krzycząc, biegali na wszystkie strony sprzecząc się między sobą. Tylko dwaj przeciwnicy stali spokojnie wśród tego zamieszania. Kapitan ocierał wino z munduru.

Rowetro nieporuszony z założonemi rękoma stał ciągle w jednej postawie; wkrótce jego przeciwnik zbliżywszy się do gospodarza, rzekł z cicha :

— Kochany hrabio! masz tu pistolety? za chwilę skończymy tę małą sprzeczkę, przyjaciel mój Verdahao, zajmie się tą sprawą.

— Uspokój się kapitanie, — odpowiedział hrabia zmieszany, — prawisz od rzeczy, chcesz w moim domu popelnić zabójstwo, z powodu kłótni wszczętej przy obiedzie. Co za głupstwo! Pogódźcie się lepiej, podajcie sobie ręce i bądźcie przyjaciółmi, daliście już dosyć dowodów, że jesteście ludźmi honoru. Trochę zastanowienia, a wszystko będzie dobrze.

— Wiadomo ci dobrze — odpowiedział kapitan, — że to jest niepodobieństwem. Poruczniku Verdahaó zrób mi przysługę i przynieś pistolety, znajdziesz je w gabinecie gospodarza.

Ale — mówił dalej — czybyśmy nie mogli przejść do zbrojowni, to byłoby najwłaściwiej.

Kapitan, który w życiu nieraz był w podobnym wypadku, mówił o nim z krwią zimną.

Kilku roztrzępanych znajdujących się w salonie, podpici nie źle, zaczęło wołać:

— A więc trzeba to skończyć; podobna sprawa natychmiast załatwioną być powinna. Pistoletów! pistoletów!

Kuzyn hrabiego de Lawradio, człowiek młody i nadzwyczaj prędki, krzyczał także:

— Muszą się bić koniecznie! nie ma innej rady! Shańbiliby się gdyby się nie pojedynkowali.

— Przeklęta dziewczyna, o którą ci dwaj ludzie będą się u mnie zabijali, — zawołał hrabia Lawradio, — i przeklęta chwila, w której się wszczęła ta kłótnia! Kochany Rowetro, — rzekł przysuwając się do grona, które go otaczało, — proszę cię i błagam jak o łaskę, opuść mój dom, żeby nie mówili, iż zabójstwo spełniono u mnie na uczcie przyjacielskiej. To musi nastąpić, chodź ze mną Rowetro. Wziął go pod rękę i poprowadził ku kapitanowi.

— Daruj— odpowiedział Rowetro, — usiłowania twe są próżne; tylko walką może się to skończyć; im prędzej więc tém lepiej. Przyjaciel mój baron Albufera będzie moim sekundantem, dalej więc baronie, — rzekł obracając się do zupełnie młodego człowieka, — bądź laskaw zając się wszystkiem, czém prędzej tém lepiej. Poręcznik Verdahaô czeka, proszę cię idź do niego.

Jeden z obecnych zbliżył się do Rowetra, uprzedzając go, że kapitan strzela nadzwyczaj wprawnie, i że w odległości dziesięciu sążni trafia w kruzadę.

— Doprawdy! — zawołał Rowetro obojętnie, — muszę więc napisać testament, wzrok mam nadzwyczaj krótki, widzę więc jak się rzecz skończy.

Opuściwszy przyjaciół, udał się do kapitana, który żywo rozmawiał w rogu pokoju z kilkoma oficerami. Rowetro podał mu rękę. Kapitan zmarszczywszy czoło, nieporuszony milcząc, odwrócił się.

— Kapitanie! — rzekł Rowetro, — mówią że

każdy człowiek z którym się strzelałeś nie unikł śmierci.

— Więc cóż?

— Wiesz zapewne, że mam wzrok krótki, że źle celuję i źle strzelam z pistoletów.

Lekki szmer przebiegł po zgromadzeniu.

— Co to jest? — szepnął mój sąsiad, — Rówetro cofa się? wykręca się? to mię dziwi! Kapitan w którego twarzy malowało się niezmyślane zadziwienie, parę chwil milczał; w końcu zawołał:

— Więc cóż chcesz zrobić?

— Zaraz się dowiesz. Byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy użyli tak nierównych broni. Sądzisz więc, że ja chętnie i spokojnie będę stał czekając twojej kuli, bez nadziei oddania ci wet za wet? O nie mój panie! Chciałeś, żebyśmy się bili; nedorzecznosc twoja jest powodem pojedynku, wywołałeś go dobrowolnie, przyznaję, że to jest sprawa zarówno okropna, jak i śmieszna, nawet musisz ją przypisać same-mu sobie. Będziemy się bili, twarz w twarz, pierś do piersi, pistolet przy pistolecie, lufa o lufę na poprzek stołu. Tak panowie! — tu głos

jego podniósł się, — padniemy razem, zginiemy razem, pójdziemy razem do diabła, i skończymy wszystko.

— To okropność, to niegodnie, to piekielnie! wołano ze wszystkich stron. Nie będziemy się przypatrywali tak zawziętej walce, nawet słyszeć o niej nie chcemy, to rzeź a nie pojedynek.

Kilka osób wybiegło z pokoju, kapitan nic nie mówił, radził się przyjaciół, ażeby postanowili jak najrozsądniej powinien sobie postąpić.

— A teraz, kto z nas podły?— zawołał Rowetro.

— Dowiesz się zaraz. Twoje warunki są dzikie, chcesz zbrodni i to podwójnej, będziesz ją miał, a przekleństwo, które ściga zabójców niech spadnie na ciebie. Dwie rodziny wyrzucić ci będą śmierć jedynaków. Przyjmuję pojedynek.

Twarz kapitana zsiniała, lecz nie zawahał się wcale.

— Czy broń już gotowa?—zapytał Rowetro nie zważając na kapitana.

Już dwaj sekundanci poszli wszystko przyrządzić. Zgodzono się na pojedynek w strzelni-

cy, w tyle zwierzyńce, zdaleka od pomieszkania. Napróżno widzowie starali się dać im do zrozumienia, jak dalece podobny pojedynek był dziki i barbarzyński. Dwóch nawet wyjechało konno, żeby uwiadomić policyjną. Hrabia de Lawradio przybył na miejsce walki i uprzedził sekundantów o postanowieniu Rowetra i kapitana. Oba dwaj z oburzeniem odrzucili na w pół nabite pistolety, wołając, że nie chcą się mięszać więcéj w sprawę tak niegodną ludzi honoru, a która przytém w oczach ich była podwójném zabójstwem. Tymczasem hrabia zrobił propozycyją którą przyjęli z radością; nabili prochem oba pistolety zgodziwszy się, że je oddadzą przeciwnikom niby jako ostro nabite. Postawiono na stole dwie świece, a Rowetro i kapitan weszli jednocześnie. Widać było jak niecierpliwie oczekiwali stanowczéj chwili.

— Masz pan przy sobie, — spytał mnie jeden z obecnych, — potrzebne instrumenta i bandaże?

— Byle nam tylko broń wypaliła, — rzekł Rowetro, — obejdziemy się bez tego wszystkiego.

Jak zwykle w nieprzewidzianych okolicznościach, brakło mi najpotrzebniejszych rzeczy. Wy-

słałem przeto konno po takowe do mieszkającego w sąsiedztwie chirurga. Piętnastu ludzi białych otaczało stół oczekując rezultatu.

— Gotów jesteś panie Rowetro? — zapytał jakiś przyjaciel kapitana.

— Gotów panie!

Przeciwnicy stanęli na przeciw siebie, — z uwagą śledziłem ich ruchy. Muskuly ich były wyprężone, twarze blade, oczy nieruchome z wyrazem silnego postanowienia, czoła spokojne, a brwi nachmurzone.

— Prosimy o znak, — rzekł kapitan po cichu, — w podobnych pojedynkach uprzedzający choć sekundą swego przeciwnika, jest prostym zabójcą.

W téj chwili przybył chirurg. — Dasz znak tym panom, — powiedziano do niego. On zakrył oczy rękami, tak był przestraszonym.

— Daléj! — zawołał Rowetro, na co czekasz?

Potém ścisnęli ręce przyjaciół żegnając się, a chirurg zamknawszy oczy postąpił naprzód, i drżącym głosem zawołał:

— Pistolety w górę!

Lufy obiedwie prawie się oparły o piersi przeciwników.

— Jak powiem trzy, niech panowie strzelają. Raz... dwa .. trzy...!

Wstrząśnienie odepchnęło ich na cztery kroki; przyjaciele rzucili się ku nim.

— A to co?—zawołali jednocześnie, kto sobie tak z nas pozwolił żartować? Co za zuchwalec bawi się z nami jak z dziećmi. Te pistolety nie były nabite!

Hrabia Lawradio i sekundanci wytłómaczyli im podejście, które nie przyniosło pożądanego skutku. Napróżno im wystawiano, że dosyć już okazali odwagi, że plama już zmyta, i że powinni się pogodzić. Rowetro ścisnąwszy zęby krzyczał:

— Nie! nie! to być nie może!!

— Łatwy sposób—odpowiedział kapitan,— oto dwa równiej długości puginały wiszą na ścianie. Wybieraj! To nasz pocziwy pojedynek portugalski, nie bój się, jeden z nas paść musi.

Rowetro gwałtownie pochwycił za jeden.

— Już nas nie zwiodą więcej! zastawiaj się!!

Zemsta i wściekła żądza krwi, błyszcząca w ich oczach. Staliśmy zdaleka, przejęci okropnością, sztylety błyszcząły, zaledwie oczy dojrzeć mogły ich razów. Trudno byłoby powiedzieć, kto był zręczniejszy, tak dalece zagrzewała ich wściekłość i przyspieszała razy. Wreszcie padł jeden, był to kapitan; sztylet na wskrós przeszył mu serce, wsparł się na łokciu i zawoławszy tylko:—Boże! — zamknął oczy. Rowetro uklął obok przeciwnika, i najuroczystszym rzekł głosem:

— Duszo! twoje grzechy przyjmuję za swoje, i pokutować będę za nie w klasztorze aż do odpuszczenia.

Potém wstał, i obróciwszy się do nas struchlałych rzekł:

— A cóż stoicie jak skamieniali? Trzeba go pochować i od wszystkich obecnych odebrać przysięgę na Ewangeliją i na sztylet, że mię nie zdradzą. Ja sam udaję się do matki nieboszczyka wyznać wszystko, i wyjednać sobie przebaczenie. Darmo, stało się. Bóg tak chciał.

I kazawszy się opatrzyć, bo i on miał z dzieśnięć mniej więcej głębokich, ale nie ciężkich

ran, wsiadł do powozu i pojechał do matki zabitego przez siebie kapitana.

Potém zniknął gdzieś i nie było go widać całe dwa lata; znów się zjawił nareszcie blady, ale najzupełniej spokojny, pogodzony z Bogiem, i ożenił się z piękną Inezą, Fijolką Bragancyi.

Oto wyobrażenia jakie do dziś dnia mają Portugalczycy o miłości, honorze i religii.

ROZDZIAŁ III.

Okulista.

Bawimy w Lizbonie już od kwartału, i nie będziemy opisywali uroków tego miasta porównanego do Neapolu i do Konstantynopola, bo z tego miłego obowiązku już dawno wywiązaliśmy się czytelnikowi w inném dziele.

Więc jesteśmy w kraju pomarańcz, puginałów i processyj, i znaleźliśmy w nim to, czego głównie w każdym kraju szukamy: *ludzi*, najmiłsze istoty jakie Pan Bóg wymyślał i stworzył. Tak, ludzi szukamy przedewszystkiém, bo ludzie są to bracia nasi, bez których raj wydawałby się pustynią; bo człowiek jest moim po-

lem, na którym sprawdzam skuteczność sił natury, badanych przezemnie z takim mozołem na ławkach szkolnych, uniwersyteckich i wszędzie gdzie się tylko znajdowałem, na lądzie i na morzu, w dzień i w nocy.

Człowiecze! nader miły przedmiocie studyjów moich! wiesz ty, że dla poznania ciebie nie lękałem się zstępować w owe przybytki szczerój ale zbyt rozkiełznanėj radości, *knajpami* zwane? wiesz ty synu ziemi! że dla poznania ciebie, miałem nawet odwagę wystąpić na owe dostojne pola nudów i obłudy, zwane salonami arystokracji? Wszystko zrobiłem dla poznania ciebie z gruntu jakim jesteś, i jakim być możesz, nie lękałem się bólu głowy, obmowy, kosztów na żółte rękawiczki i na ciasne lakierowane buty; a ty jak mi się wywdzięczyłeś za to, lubo z pewną przyjemnością przeczytałeś spisane wyniki moich spostrzeżeń; otóż jak mi się wywdzięczyłeś? obmówiłeś mnie, posądzając raz o natchnienia gminne; drugi raz o dążności arystokratyczne, a nawet mnie obmawiałeś nie posądzając mnie o nic, prosto tylko, aby dogodzić

przyrodzonej ci potrzebie bawienia się kosztem cudzej sławy.

Ale ci wybaczam człowiecze, bliźni mój, przedmiocie najulubieńszych badań moich; a dla tego ci wybaczam najwięcej, żeś mnie nigdy nie obmówił w oczy, tylko zawsze za oczyma, kiedy mnie nie było w miejscu; żeś anonimem lub silnemi protektorami zastawiał się, gdyś w piśmie mnie szarpał, także najczęściej kiedy mnie nie było, lub kiedy odpowiedzieć nie mógł żadnym sposobem.

Najszczerzej wam wybaczam o ludzie! bo nie chcę być współnikiem złości waszej i truć siebie samego, nie chcę pozbawiać się miłej nadziei, że jeszcze długo pozostanę między wami, i jeśli Bóg da zdrowie przekonam was, że można zmienić zdanie nienawistne na przychylne, że można chrześcijańskim sercem pokochać to, co się wprzód prześladowało.

* * *

A więc znalazłem i tu ludzi w kraju Luzytańskim, ludzi nie wiele różniących się od nas, tylko więcej żółtych, do gniewliwości skłonnych,

mniej gościnnych, mniej serdecznych, a zwłaszcza przy kieliszku, mniej otwartych.

A jednak jest jakaś różnica pomiędzy narodami, nawet zdaje mi się większa, niżeli zachodzi pomiędzy językami, któremi przemawiają; bo czemuż Portugalczyk nie lubi Hiszpana; Norwegczyk Szweda, a dopiero Neapolitańczyk Sardyńczyka, a dopiero, dopiero Niemiec południowy Niemca północnego?

Oh! Boże! czemuż dopuściłeś że tyle jest rozlanych żywiołów nienawiści pomiędzy rodem stworzonym na obraz i podobieństwo Twoje? pomiędzy dziećmi jednej pary w raju urodzoną, wychowaną i żadnym trudem życia, żadną troską nie zgnębianą?

W chwilach szczęśliwych istnienia mojego, ja widzę że nienawiść jest jedyną klątwą, spadłą na rodzaj ludzki, targającą jego życie i szczęście; i w tych uroczystych chwilach, ja pojmuję, że chrzest duszy jest wybaczeniem, odrodzeniem, miłości Boskiej objawem, miłości ludzkiej zwiastunem.

Ale łatwiej chrzcić ciało jak duszę!

Wody Jordanu miały tę skuteczność, że

z człowieka przewidującego męczarnie, których dozna ze strony swych bliźnich, wyrugowały wszelką nienawiść; oh! czemuż wszystkie rzeki nie płyną Jordanie twémi wodami? i czemuż dzisiaj woda z twego sprowadzona koryta nie jest jeszcze rękojmią zapomnienia, wybaczenia, miłości i spokoju?

* * *

Rób dobrze, i szczęście twoje opieraj na wdzięczności, nie mogącej cię minąć za tve dobre uczynki!

Nie! to jeszcze nie dosyć. Nie licz na wdzięczność doczesną, nie ludź się błogą nadzieją, że już na tym świecie zapłacony będziesz do grosza i do feniga za twoje szlachetne zapaly i za dobre tve poświęcenia, jałmużny i prace.

Bóg jeden zna siłę ducha wlanego w ciebie; Bóg jeden wie ile wydołać jesteś w stanie na tym padole próby, gdy cię spotkają przeciwności losu i własnych złych pociągów nagabywania. Bóg jeden zsyla ci szczęście i nieszczęście; szczęście na to, żeby cię kusilo, nieszczęście na to, żeby cię do oddziaływania duchem twoim

powoływało. On jeden sądzić cię będzie, bez pomocy oskarżyciela i adwokata, Swoją całą mądrością, Swoją całą miłością. Jego mądrość przeniknęła wszystko dobre i złe, co od stworzenia świata odziedzyczyłeś przez krew ojców; Jego mądrość, wysłedziła w tobie wszystko dobre i złe, coś wyrobił sam w sobie, z własnej woli lub winy, przypadkowo lub swawolnie.

* * *

Otóż nikt się nie powinien łudzić nadzieją nagrody, ani téż nikt nie powinien myśleć, że za najlepsze chęci i usługi może uniknąć niewdzięczności. Nawet lekarz, zdrowio i życiodawca często jest wystawiony na najczarniejszą niewdzięczność ze strony tych którym wrócił zdrowie. Już w Niemczech, nawet w poczciwym Królewcu, widziałem lekarza postrzelonego w pojedynku, przez dawnego pacjenta, którego wyleczył niesłychanym mozolem z tyfusa a w Paryżu zdarzyło się, że jeden lord angielski oskarżył, pozbawił wolności, sławy i dyplomu pewnego lekarza za to, że mu za nadto dobrze wyleczył żonę już oddawna chorą i od lekarzy opuszczoną.

A tu w Lizbonie, w kilka tygodni po poznaniu się z doktorem Hamilton, sławnym na świat cały okulistą, jeszcze gorzej się przytrafiło temu zacnemu mężowi; pchnięty został puginałem przez Portugalkę, której wyleczył męża ze ślepoty, już od jedenastu lat trwającą; i jeszcze nie jest pewną rzeczą, czy biędny Hamilton nie przypłaci życiem usługi oddanej najzupełniej bezinteresownie swojemu bliźniemu.

Szczegóły tego okrutnego dramatu, są nie tylko bardzo zajmujące, lecz także nauczyć mogą ostrożności lekarzy folgujących zanadto żywo szlachetnym natchnieniom serca swojego; opowiem je tedy nie tylko dla zabawy naszych czytelników, lecz także dla dobra kolegów.

* * *

Doktor Hamilton wstawił się jako okulista, najwięcej w Egipcie, gdzie przez lat kilka sprawował obowiązki jednego z głównych lekarzy armii Mehmeda-Alego, i gdzie zdobył sobie sławę, majątek a nawet tytuł Beya, lubo jako prawowierny zwolennik anglikańskiego kościoła, nie chciał, *dla ułatwienia sobie stosunków wy-*

rzec się tak niby *pro-forma* chrystyjanizmu. Jakoś inaczej pod tym względem rozumują protestanci, i nie widać nigdzie zbisurmanionych ewangelików. Za to brzegi Tybru hojnie dostarczają renegatów.

Wraca tedy do Anglii z głośném już nazwiskiem, aby w własnej ojczyźnie dalej prowadzić pełne zasługi dzieło uzdrowienia oczu i wracania bliźniemu drogiego zmysłu *wzroku*, lecz w przejeździe przez Lizbonę, zatrzymuje go królowa Maryja da Gloria, i prosi o pomoc dla swego infanta Don-Pedra, który wówczas był dzieckiem, a dzisiaj już jest młodzieniaszkiem i królem.

Portugalski infant chorował od urodzenia na zapalenie ócz skrofulicznój przyrody, na takież same, w skutek którego terażniejszy król Hannoveru stracił wzrok; a troskliwa matka obawiając się podobnego końca, uciekła się do rady najświetlejszych okulistów, ale dotąd zawsze płonnie.

Doktor Hamilton podjął się trudnego dzieła, i zaraz został zgodzonym na sześć tygodni za ogromną cenę, i mieszkanie objął na ten czas

w królewskim pałacu Necessidades w parterowych pokojach, wychodzących na owe cudne ogrody, założone przez Le Notra. Tutaj udzielał się wszystkim, którzy jego rady zasięgali, bogatym i biédnym, i dość dziwnie to wyglądało, że pałac dumnych królów Portugalii przemieniony został w instytut Oftalmiczny. Ale nie śmiano się opierać woli ludzkiego doktora, który wiedział, że jego czas i zdolności należą do całego świata, i nie mogą być zakupione przez jedną osobę.

Ale zresztą nie odstępował dostojnego pacjenta swojego; jednakże coś już w trzecim tygodniu kuracyi, pacjent tak wielką znalazł ulgę, że się doktor mógł oddalać na godzin kilka, a potem nawet na pół dnia i na dzień od zamku Necessidades.

W jednej ze swych wycieczek, w Castelbranco, nasz okulista poznał ślepego skrzypka, z bardzo piękną szlachetną twarzą, który przy pomocy dziesięcioletniego syna swego na gitarze grającego, dawał koncert w kawiarni, przed sześćdziesięcią kilką słuchaczami, z których każdy był zachwycony grą koncertanta po nad je-

go zasługi, bo wielkiego talentu dowodów skrzypek nie dawał. Potém chłopaczek chodził z tacą w rękę do słuchaczy, a ci rzucali mu po całej kruzadzie, rzadko kto mniej a czasem i więcej.

— Ten człowiek musi tu być bardzo popularnym, kiedy umie u skąpych Portugalczyków takie objawy wspaniałomyślności wzniecać?— rzecze doktor Hamilton do swojego tłumacza.

— Nie myli się pan, tym człowiekiem jest Jan Fragorio, który niegdyś, przed utratą wzroku był najgenijalniejszym malarzem Portugalii; on jeden umiał dźwignąć oddawna zatraconą sławę malarstwa Luzytańskiego, i byłby może zaszedł tak daleko jak najpierwsi tegocześni mistrze, gdyby mu zapalenie nie było wydarło oczu. Musiał pan przecię słyszeć o Janie Fragorio, którego utwory nie jeden zdołają w Lizbonie kościół, i nie jedną galeryją obrazów.

— Słyszałem, istotnie, nawet w pałacu Necessidades widziałem jego niepospolitego pełnego genialności pędzla utwory, — rzecze doktor Hamilton rzucając moidor złoty na tacę którą mu przedstawił syn, mały gitarzysta.

— To jest najstarszy syn nieszczęsnego Jana Fragorio; siedmioro ma dzieci, i żywi ich tym mozolnym sposobem, grą na skrzypcach, której się nauczył dopiero po ociemnieniu, — rzece dalej tłumacz do doktora.

Okulista przystąpił do artysty i w milczeniu wpatrywał się w jego oczy. Im dłużej się w nie wpatruje, tym piękniejszy wyraz błyska na jego twarzy, aż nareszcie rzeknie do swego tłumacza po francusku :

— Na Boga! tę ślepotę można wyleczyć, nerwy zdrowe w tych oczach, tylko soczewki zasłonięte, źrenice zaś ściągnięte, zrosłe w skutek zapalenia. Tu trzeba wykonać operacją katarakty i sztucznej pupilli; jakto? nikt się tu w kraju nie poznał na tém, że temu człowiekowi można przywrócić drogi zmysł wzroku?

— Kto to mówi? co on mówi? czy do mnie mówi? — krzyknie ślepy artysta po francusku zrywając się na równe nogi.

— Ach! możemy się porozumić bez tłumacza, tém lepiej, — rzece okulista. — Ja mówię do ciebie panie Janie Fragorio, ja doktor Hamilton okulista, bawiący teraz w Lizbonie w pałacu

królowej; jakto? nie slyszalesz pan o mnie, o doktorze Hamilton?

— Slyszalem, slyszalem, ale mnie zapewnili najslawniejsi lekarze w Rio-Janeiro, w Oporto, w Koimbrze i w Lizbonie ze dla mnie nie ma ratunku, ze oczy moje popsute na zawsze; zreszta tyle lat, zważ pan, ze od lat dwunastu jestem niewidomy, zem stracil wzrok w skutek bardzo bolesnego zapalenia.

— Jest dla ciebie ratunek jak mi Bóg i honor mily,—rzecze uroczystym głosem okulista.— Od tego czasu postapila nauka i sztuka, i to co kiedyś nie bylo mozebnem, to jest dzisiaj możliwem; odpowiadać za przywrócenie ci wzroku nie moge, wyrok Boga moze zniszczyć najbieglejszych ludzi dzieła, ale takim oczom jak twoje przywróciłem wzrok już wiecéj jak pięćdziesiąt razy.

— Panie Boze zmiluj się,—krzyknie artysta, i strumienie łez puściły się z oczu jego.—Jabym miał jeszcze oglądać Twego nieba błękit, Twoich pól zieloność, i milych kwiatów świetne barwy? Jabym miał oglądać dzieci moje jeszcze nigdy niewidziane, i żony mojej najpiękniejszej,

najlepszej kobiety w świecie, której nie znam jako mężatkę, miałbym podziwiać wdzięki? Fernando! Fernando! chodź tu mój chłopcze, powiedz mi jak wygląda ten pan, ten doktor?

— Papo, on wygląda mądrze, pocziwie i szlachetnie; mnie mówi serce, że jemu zawie-
rzyć można,— odpowiada dziecko ze łzami w oczach i doda:— Papo! on wrzucił całego mojdora do tacki, całego mojdora, tyle jeszcze żaden nigdy nie dał.

— Panie! podaj mi rękę swoją, — rzecze niewidomy artysta.

— Oto ją masz, i przytém serdeczne uści-
śnięcie, — rzecze doktor, sam rozrzewniony po-
dając artyście rękę.

— Ach to dobra, szlachetna ręka! miło ją uściskać, miło do serca przytulić; jakiś przyjazny prąd magnetyczny idzie od ciebie panie mój do mnie, i przeświadcza mnie, że ty jesteś tutaj przez Boga wysłanym, abyś mój zaklęty talent wydobył z pod więzów ślepoty. Ach panie! ale wspomnij jaką na się wzięłaś odpowiedzialność, tyle wznicilesz we mnie biédaku nadziei, potrafisz ty dotrzymać obietnicy? Widzisz! śmierć

jest niczém, niczém w porównaniu z okrutnym zawodem, jakiegobym doznał, gdyby się nie udała operacyja.

— Pojmuję to, mój nieszczęsny przyjacielu, lecz i ja jestem chrześcijaninem, dobrym, w boleściach i w walkach wyprobowanym chrześcijaninem, i nie chciałbym cię wystawić na okropność zawodu. Jestem pewien siebie, o ile tylko człowiek może być pewnym siebie. Bóg jedynie kieruje losami człowieka.

— Ty mnie przeświadczasz o wielki człowieku; balsam płynie z mowy twojej i duszę moję krzepi, otwiera mi ogrom nadziei i rozkoszy. Ale jeszcze jedna zawada: — Panie! ja jestem ubogim, tym nieudolnym w rękach moich instrumentem zarabiam sobie i rodzinie swojej na chléb, co ja mówię *zarabiam*? ja żebrzę, znam ja od dawna mierność talentu mojego, i wiem że tylko ludzkości biednego narodu mojego, znającego mnie od dawna, zawdzięczam te pieniądze, które w mozolnych wycieczkach swoich zbieram. Wprawdzie uciulałem sobie z tysiąc franków, i to ofiaruję tobie panie już teraz, ale

cóż jest ta kwota w porównaniu z dobrodziejstwem, które mi chcesz wyświadczyć?

Artysta zesmutniał i głowa mu obwisła.

— Bądź o to spokojnym panie Fragorio, i ja byłem ubogim, a dziś jestem bogatym, a szaf skąpstwa i chciwości nie posiadał mnie jednakże, bo sobie przypominam dawnych czasów męki. Umieć używać mądrze i ludzko swoich bogactw; nic od ciebie nie żądam, tylko żebyś natychmiast jechał ze mną w moim powozie do Lizbony, i rozpoczął bez zwłoki kurację, bo już tylko dwa tygodnie zabawię w Lizbonie.

— Ale żona moja? muszę ją przecie uwiadomić, muszę ją sprowadzić do siebie, aby mnie pielęgnowała.

— Żona twoja? a gdzie mieszka?

— Mieszka dwadzieścia mil stąd, za Koimbrą, na małym folwarczku, dzierżawionym przez ojca mojego; ale obecnie nawet się nie znajduje żona moja w domu, pojechała w głąb' Galicyi, do dość majątniej krewniej wyblagać jakieś wsparcie dla nas.

— Ha! z waszemi pocztami trudna sprawa, i za trzy tygodnie żona twoja nie stanęłaby

w Lizbonie. Nie, panie Fragorio, idź za radą moją, jedź ze mną natychmiast, twój syn sprytny chłopak, ja sam, mój tłumacz i kilku innych dobrych ludzi, pielęgnować cię będziemy, zawierz słowu Anglika, i dalej w drogę stante pede. Ale najprzód napijmy się dobrego wina Castelbranco, dla którego przyznam się, głównie tu zjechałem.

* * *

Pokochał go w ciągu podróży, bo znalazł w nim głębsze czucie, wyższą duszę, szczery zapal do sztuki, prawdziwie ukształcony rozum. Przywiózł go z sobą do Necessidades, umieścił biédnego skrzypka w pałacu królów Portugalii, i jeszcze tego samego wieczora oznajmił królowej i królowi jakiego wynalazł człowieka, w jak ciężkiej biédzie.

Donny Maryi serce było wyborne; należy ona już do potomności, lecz jój tego potomność nie ujmie, że z rzadką bystrością umysłu łączyła dobrotliwe natchnienia duszy, często się objawiające szczerém wybaczeniem w ciągu jój burzliwego życia i nader uciążliwego panowania.

— Dobry doktorze,—rzecze królowa do żywego rozrzewniona,—pomagasz mi do zapłacenia długu narodowego, i do wypełnienia chrześcijańskiego uczynku; mianuję cię za to komandorem orderu Chrystusa, gościa zaś mojego a twego pacjenta, ozdabiam dla nadania mu odwagi na operacyją, krzyżem rycerskim tegoż samego orderu, bądź łaskaw wręczyć mu jego ozdobę.

I zwracając się do małżonka, rzekła:

— Królu Ferdynandzie! pożycz mi twego krzyża, wiesz, że mi moi jubilerowie już nie chcą dawać naszych dekoracyj na kredyt.

Skarb portugalski był wyczerpanym, ale serce królowej pełném było złota.

* * *

Bóg pobłogosławił temu trudnemu, a tak pięknemu dziełu! operacyja się udała! malarz widzi, rozeznał błękit nieba, smaragd ziemi Luzytańskiej, i po piérwszy raz zobaczył lica syna pierworodnego!

Boże! są jednakże i w tém życiu zachwyceńia równające się może owym, które później doznawać będziemy, gdy ten ziemski żywot prze-

zyjemy, i dostaniemy się po odbytych próbach do jasności niebieskiej. Boże! on ujrzał po raz pierwszy piękne oblicze syna swojego klęczącego przed nim ze łzami jak perły w oczach wielkich brunatnych, tak mu przypominających oczy swój żony.

Doktór tylko na chwilę dozwolił używania téj roskoszy, potem zasłonił źrenice do jasności wskrzeszone, sam zaniósł chorego do łóżka, i ukląkł mówiąc z Ambrożym Pareuszem (a).

— *Boże ja jego opatrzyłem, ale tylko Ty potrafisz go uzdrowić.*

* * *

(a) Ambroży Pareusz (Paré) urodzony w Laval roku 1509 umarł w Paryżu 1590 roku, przewany ojcem Chirurgii francuskiej, był przybocznym lekarzem czterech królów Francyi, to jest: Henryka II, Franciszka II, Karola IX i Henryka III, umiał sobie swoją cnota, zdolnością i szczerą bogobojnością do tego stopnia zobowiązać owego potwornéj duszy Karola IX, że podczas rzezi śgo Bartłomieja sam król zatrzymał go u siebie umyślnie, aby go ubronić od morderczéj śmierci; na którą wszyscy protestanci skazani byli. Ambrozyjusz Pareusz któremu ludzkość i nauka tyle winni, i którym się dzisiaj świadczy Medycyna, nie miał przyjaciół pomiędzy kolegami swemi; dokuczali mu gdzie tylko mogli. Taki był los wszystkich wyższości, nulla invidiae praeter invidiam medicorum.

Dzieło dokonane! nauka tryjumu odniosła. Jan Fragorio dobrze przetrwał gorączkę, następującą zwykle po każdej operacyi, już mu można było odsłonić oczy, potem uchylić cokolwiek firanek. Tak! rozeznaje kontury, barwy, odcienia kolorów, może nawet czytać, ach nie zapomniał czytać przez lat jedenaście! jednym słowem widzi!

* * *

I wkrótce potem coś w tydzień, gdy się oswoił z rozmiarami przedmiotów otaczających go, Jan Fragorio zażądał ołówka i zaczął sobie kręślić po papierze, by się przekonać czy nie stracił wprawy przez lat tyle, czy jego talent zaklęty przez czas tak długi ocknie się. Rzecz cudowna i nieodgadniona, a jednak już razy kilka od stworzenia pierwszego człowieka zauważana, artysta nic nie stracił z talentu swojego, rysował z tą samą biegłością jak wprzód! w kilkanaście minut zrobił portret dobroczyńcy, swojego lekarza, potem portret syna, i te rysunki były doskonałe pod względem podobieństwa i poprawności. Doktor Hamilton brał się za głowę, i pojąć nie

mógł, jak się to stało, że artysta od tak dawna od władania ołówkiem odwykły, mógł od razu wejść w posiadanie całego talentu przedtém posiadanego. Unosił się nad swoim pacjentem, unosił się nad sobą samym, Bogu dziękował i zaręczał, że za pięć tysięcy dukatów nie dałby sobie odkupić swego własnego dzieła, swój własnej zasługi i świadomości.

A potém, artysta zaczął coś kreślić z pamięci, długo kreślił z wyrazem najwyższego natchnienia na swój pięknej twarzy, i odganiał syna, aby mu nie patrzył w papier; i zrobił postać prześlicznej kobiety z anielską twarzą i kibicią Sylfidy. Potém zawołał syna swojego i spytał się go z miną człowieka oczekującego największego zadowolenia.

— Fernando! czy poznajesz tę kobietę?

— Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety, nawet królowa tak piękną nie jest! — odpowie z naiwnością wieku swojego Fernando.

— Oh królowa! nasza królowa jest dobrą, lecz piękną?... to co innego; ale nie przypominasz sobie kto tak wygląda mój Fernando, — wiem, że znasz tego wizerunku naturalny pier-

wotwór, wiem to dobrze; tylko szukaj w twój pamięci, szperaj, a znajdziesz.

— Dalibóg papo nie mogę, jakoś mi się koniecznie zdaje, że tak pięknego nic w życiu nie widziałem, chyba w galeryi obrazów tu w pałacu Necessidades, ale i to nie, dalibóg i to nie papo.

— Słuchaj Fernando, w domu naszym, tam w Alweyras nigdy nie widziałeś nikogo zupełnie podobnego do tego portretu? — pyta dalej artysta zmartwiony tępością pojęcia syna swojego.

— Ej! któżby tak wyglądał u nas, babcia wygląda jak grzyb, a Marikita ma ślipie jak kret, wargi jak śliwki i zęby jak migdały w łupinach.

— Ale twoja matka? ale twoja prześliczna matka Fernando, wszakżeś mi zawsze mówił, że twoja matka prześliczna.

— Tak, tak mówiłem, że moja mama prześliczna, ale... — rzecze skrobiąc się w głowę ze smutną miną Fernando.

— No! ale cóż *ale?* cóż to znaczy to *ale?* — pyta artysta już zniecierpliwiony.

— Ale? bo to widzi papa, że mi babcia tak

kazała nazywać mamę, i za to dawała mi pomarańcze, orzechy, pierniki, konfitury i...

— Co to znaczy? co to znaczy Fernando? czyś ty obelgiwał ojca twojego? Ah przecież matka twoja jest cudem piękności? — krzyknie artysta z gniewem.

— Oh tak papo, mama jest bardzo piękna; ale nie bardzo podobna do tego obrazu.

W tém nadbiegł doktor Hamilton, i widząc pana Fragorio wzruszonego i zgniewanego aż do czerwoności, spytał się o przyczynę tego.

Opowiedział mu artysta i syn jego wszystko.

— Ale mój przyjacielu Fragorio, miéjże litość, jedenaście lat w życiu kobiety, żony niewidomego, która od pójścia za mąż rodziła dziesięć razy, i wykarmiła siedmioro dzieci, to nie fraszka; zredukujże cokolwiek dawnego ideału obraz do rzeczywistości; musiała się odmienić koniecznie, zwłaszcza, że, wasze kobiety nie tak trwałe jak wy mężczyźni. A potém, cóż ten malec może rozeznąć z obrazu ołówkiem robionego, na to trzeba wyćwiczonego oka; proszę cię, nie gniewaj się, głowa nabiegła ci krwią, możesz dostać zapalenia ócz, i znów pozbawisz

siebie wzroku, a mnie szczęścia zem ci go wrócił. Kładź się natychmiast do łóżka, każę ci postawić pijawki do nóg i dać potém kąpiel na nogi dla ściągnięcia krwi.

* * *

W dni kilka potém, Jan Fragorio czując się zupełnie dobrze, stęsknił się do domu. Królowa raczyła go obdarzyć nie tylko orderem Chrystusa, lecz także brzęczącą monetą, i obstałowała u niego kilka obrazów. Artysta nakupił sztalug, płótna, farb, słowem wszystkich potrzebnych mu materyjałów malarskich; i uszczęśliwiony, obiecawszy doktorowi jak najpiękniejszy obraz wystawiający uzdrowienie Tobijasza ze ślepoty, puścił się w drogę ku Koimbrze.

Wkrótce téż doktor Hamilton, dokonawszy szczęśliwie kuracyi infanta, hojnie wynagrodzony, miał się puścić w drogę ku Londynowi, gdzie go oczekiwała od lat siedmiu niewidziana córka, teraz piętnastoletnia panienska.

Już jedzie po południu statkiem parowym. Ach czemuż nie wyjechał wprzódy?

* * *

Boże! Boże, niepojęte są wyroki Twoje dla nas, dopóki pozostajemy na tym świecie, i płytkim rozumem naszym chcemy badać ich mądrości. Boże! czemuż nieraz zbrodnia unika tutaj kary, a cnota cierpieniami jest wynagradzana? Szemrać nie będziemy, my chrześcijanie od innej siedziby oczekujący szczęścia, my prawdziwi filozofowie wiedzący, że poddać się wyrokowi losu jest mądrością. Lecz jednakże widząc, jak często niezasłużone nieszczęścia bywają powodem osłabienia ducha, wątpliwości i zachwiania się w wierze, błagać Ciebie musimy oh Boże Wielki! Boże łaski i mądrości! który łagodysz wichry dla nowo-postrzyżonych owiec, abyś nas nie wodził w grzeszne pokuszenie, i dla dobra słabych ludzi, raczył dawać częściej przykłady sprawiedliwości takiej, jaką świat ziemski pojmuje.

* * *

Doktor Hamilton miał jechać po południu o godzinie trzeciej, już większa część jego rzeczy na parostatku, właśnie się zatrudnia sam

osobiście pakowaniem rzeczy, zwłaszcza instrumentów, gdy się drzwi otwierają, i do pokojów wpada jakaś kobieta wysoka, ospowata z łuszczką na jedném oku, z włosami rozczochranemi czarnemi, ale gęstym szronem przypruszone-mi. Strój téj kobiety był nieczystym, niedbałym, cały jéj obraz przejmował wstrętem, zwłaszcza gdy otworzyła bezzębne usta, i spytała chrapliwym głosem po francusku:

— Czy tu mieszka doktor Hamilton?

— Tutaj.

— A kto nim jest?

— Ja nim jestem.

— Ha! nieszczęsny! — odrzeczcie owa kobieta złowrogim jękiem.

— A wiesz pan kto jestem?

— Nie wiem moja pani.

— Ja jestem małżonką tego nieszczęsnego Jana Fragorio, któremuś ty oczy otworzył, i który wróciwszy do domu spostrzegł, że jego żona nie jest aniołem piękności jak mniemał, lecz szatanem brzydoty. Ha! wybił mnie, wypędził z domu, zakazał mi powracać do siebie, groził mi wieczném więzieniem za oszustwo, za to

zem innéj osoby indywidualność na się przybrała aby pójść za niego. Ha! już go nic nie przebłaga, już moje szczęście na zawsze stracone. Więc wolę zginąć... tak! wolę ginąć; samobójstwa jednakże nie popelnię, bo to najokropniejszy ze wszystkich grzechów; wolę zabić aby być karaną śmiercią, i zabijam ciebie sprawcę mego nieszczęścia.

I domawiając słowa tego, piekielna jędrza wydobyła pugiuał z pod mantyli, i nim się kto mógł spostrzedz, rzuciła się na doktora topiąc mu w piersi żelazo.

Pada biédny Hamilton na ziemię, broczy się w swéj krwi i jęczy z boleści.

Ona zaś siada na kanapie, i pasie swe przekłéte oczy widokiem męczarni tego dobroczyńcy ludzkości.

Dwóch nas było lekarzy przytomnych temu zdarzeniu, doktor Kellermann, leibmedyk króla, i ja.

Przyskakujemy do rannego, zdzieramy z niego suknie.

Rana okropna: ostrze pugiuału padło na żebro i poślizgnęło się wzdłuż niego ze trzy cale

przedzierając mięsne części, potem wpadło między żebra, przebiło muskuly i widać lekko raniło płuca, bo ranny pluje cokolwiek krwią. Rana okropna, niebezpieczna, ale przynajmniej nie śmiertelna, bo serce nie tknięte.

— Rana nie śmiertelna! — krzyknęła piekielna jędza, którą tymczasem już pochwycono i skrępowano. — Oh! mylicie się, czułam ja w rękę, żem trafiła w siedzibę życia; ten człowiek będzie trupem.

Jeszcze w życiu swoim nie widział tak złośliwej istoty, nawet wyobrażenia nie miałem o możliwości istnienia podobnego potworu.

Odprawdzono ją do więzienia. Ranę opatrzyliśmy nieszczęsnemu koledze; już leży na łóżku, na którym tylko materac pozostał, reszta pościeli już na statku.

Królowa i król z całą rodziną bawili wówczas w zamku Belem, i czekali na Hamiltona z audyjencją pożegnalną.

Uwiadomiono Najjaśniejszych Państwo o tém co się stało, o zbrodni morderstwa dokonanej w pałacu królewskim.

Doktor Hamilton gdy otworzył oczy błagał,

aby się nie dopuszczano żadnych srogich przesładowań przeciw żonie Jana Fragorio, bo ona zapewne jest obłąkaną.

Nigdy dobroć i mądrość nie odstępowała tego przyjaciela ludzkości.

* * *

Prowadzi się śledztwo, które następującą wyjaśnia bardzo zawikłaną i zajmującą historiją.

Przed trzynastą laty Jan Fragorio wówczas dopiero dwudziestodwuletni młodzieniec, ale już sławny z talentu, mieszkał jako kawaler na jednej z pryncypalnych ulic Lizbony, naprzeciwko wielkiego pałacu zajmowanego przez jeneralnego intendenta wojsk portugalskich, dumnego barona Saa de Miranda.

Pan baron miał dwie córki: Ildefonsę i Izabellę, córki bliźniaczki, które temu lat dziewiętnaście przyszły razem na świat, i tém matce odebrały życie. Pan intendent musiał wyruszyć na wojnę do Brazylii; a krewni wzięli do siebie owe córeczki; jedni biédniejsi wzięli do siebie Ildefonsę, drudzy bogatsi Izabellę, i wychowy-

wali zupełnie inaczej owe dzieci, które przychodząc na świat, zupełnie do siebie podobne były.

Długo trwała wojna w Brazylii, całe lat dziesięć; a gdy baron wrócił i córki swoje zobaczył, nie chciał wiary dać oczom, bo nigdy niepodobniejszych do siebie nie widział sióstr bliźniaczek. Ildefonsa wyższa, mocniejsza, miała twarz ospą poszarpaną, jedno oko łuszczką zasłonięte, a drugie złośliwie spojierające; Izabella zaś mniejsza, ale nieskończenie zgrabniejsza, miała twarz anielskiej piękności, oczy czarne duże, podługne, pełne ognia i zarazem słodczy. Słowem, większej sprzeczności nie było na świecie jak owe dwie siostry, tylko jeden posiadający dar wspólny i zupełnie do siebie podobny, to jest: głos nadzwyczaj mocny i dźwięczny, przytém nadzwyczajny talent do muzyki.

Ma się rozumieć samo z siebie, że Izabella została bożyszczem domu, Ildefonsa zaś jego kopcuszką, a popychadłem swój pięknej ale kapryśnej i swywolnej siostry.

Ba darmo! znosiła wszystkie upokorzenia jak najcierpliwiej, a patrząc w zwierciadło, sama przyznać musiała, że na to jest wybraną od

Boga, izby je znosiła, i że dla niej mało będzie szczęścia na tym świecie.

I byłyby się zakopała w klasztorze, tylko że ją zachwycała muzyka, tylko że lubiła chodzić do teatru, tylko że prawdziwego powołania na mniszkę nie czuła w sobie. A potem gdy podrosła, i gdy się piękny a już sławny Jan Fragorio sprowadził na przeciwko, potem ona wykwitając niezwalczoną siłą natury do panieństwa, ona jakoś się zajęła młodym malarzem, który z taką pilnością pracował, i tak dobrze się prowadził.

Istotnie pod wieloma względami Fragorio był wzorowym młodzieńcem; żadnego nigdy nie doznawał pociągu do owego życia hulackiego, któremu nasi artyści zapominając szlachetności powołania swojego, lubią się poddawać, unikał towarzystwa próżniaków i ludzi źle wychowanych jak najstaranniej, honoru zaś swojego pilnował dzielnie jak najlepszy Fidalgo; nie napałował nikogo, ale języka w ustach nie zapomniał gdy go nagabywano lub lekceważono.

Owe zalety zdobiące młodego artystę, znane w Lizbonie i w całej Portugalii, zjednały mu

szacunek powszechny, i sama piękna Donna Izabella, jakkolwiek była dumną, lubiła czasem dla spróbowania skuteczności swego wzroku zerknąć pięknymi oczyma na młodego artystę, o którym nie wiedziała może, że się w niej kochał zapamiętale zaraz od piérwszój chwili gdy ją zoczył. Lecz o tém wiedziała z pewnością, że jój dusza już była zajęta innego mężczyzny obrazem, że oddała serce swoje przed kilkoma miesiącami swemu professorowi śpiewu i sławnemu aktorowi Mario de Candia, który w całej Europie uchodził za jakiegoś wydziedziczonego hrabiego, i niesłychany wywierał urok talentem, szlachetnemi manierami, pięknoscią wymowy, nadzwyczajną przystojnością i swemi mniemaniami nieszczęściami.

Nikt wówczas nie wiedział, że uroczy M. de Candia miał bardzo starą, brzydką i bogatą żonę, od której uciekł wzięwszy z sobą fundusik na przechrzczenie się, na wygięcie sobie manier i wyrobienie głosu; a najmniej o tém wiedziała piękna Izabella, z którą się zaręczył pokryjomu obiecując przybyć wkrótce do Lizbony, i wy-

stąpić w charakterze hrabiego dla zyskania jój ręki od dumnego ojca.

Donna Izabella czekała na spełnienie tych lubych i tajnych nadziei, a tymczasem ciągle dalej doskonaliła się w muzyce, i w chwilach pustoty cokolwiek kokietowała ze swym miłym sąsiadem, o którego talencie pisały dzienniki.

Biédny Jan Fragorio na zabój się kochał w Izabelli, i całkiem opanowany tém uczuciem, nie spostrzegł że w nim się kocha na zabój Donna Izydora, brzydka siostra jego pięknego ideału.

To już jest pewnością nad pewnością, że nie wściekleszego nad miłość brzydkiéj kobiety; ona nie pyta czyś ją chciał wzbudzić czy nie, ona wzgardą nie da się odstraszyć, ona cię uważa za odpowiedzialnego za uczutą namiętność, ona nakoniec chce cię zmusić do wzajemności.

Izydora widzi, że młody malarz nań spogląda ze wstrętem, że się cofa gdy ją ujrzy w oknie, że się przybliża z zafirankę do okna swego gdy do przeciwległego przysunie się Izabella.

Odgadła kto stoi na przeszkodzie jój szczęściu, a nawet zaostrzonym zmysłem pojęła, że

płocha, figlarna siostra robi sobie igraszkę z uczuć młodego artysty, i że już gdzieindziej musiała rozporządzić sercem.

Bada, szuka, szpieguje, listy ostrożnie pisane przejmuje, już wie wszystko, pisze bezimiennie list do M. de Candia, zawsze jeszcze w Neapolu tenorującego w Operze. Ostrzega go, że ktoś bardzo uludny dybie na przyrzeczone mu szczęście, radzi mu, żeby niespodzianie zjechał i wykradł Izabellę, obiecuje że jakiś nieznajomy anioł stróż ułatwi mu ucieczkę.

A tymczasem wkrada się w zaufanie siostry wszystkimi przymilającemi środkami, na jakie zdobyć się może podstępna, uczuciem namiętnej miłości spotęgowana do genialności intrygantka.

Intryga jest najulubieńszym środkiem kobiet, wiele czasu mających na knowanie planów; a w niej wygórywają najczęściej brzydkie osoby, nie mogące nic zdobyć łatwo urokiem piękności lub cnót.

Intryga dobrze obmyślana, wytrwale i zacięcie przeprowadzona jest szatańsko-skuteczną!

Już wszystko dobrze nastrojone!!!

Jan Fragorio przyjęty przez cesarza Don-

Pedra, który mu powierzył wykonanie kilku obrazów dla swój galeryi, staje się osobą używającą przystępu do dworu, i od tego czasu nazywać się może Dom Jaô Fragorio tak jak każdy fidalgo herbowy.

Już téż śmielszém spogląda okiem na swój świetny ideał, o którym cała stolica Portugalii mówi, że jest liliją Luzytanii.

Nigdy słowa jednego nie rozmawiał z cudnym przedmiotem swych dziewiczych płomieni, bo etykieta Lizbońska, nadzwyczaj surowa, nie dozwala żadnych przybliżeń pomiędzy młodem ludźmi różnej płci i nierównego urodzenia. A tu serenad nie ma w namiętnej Portugalii, która się przejmuje wszystkiém złem co z za granicy pochodzi, i już od dawna przejęła się etykieta sztywną anglików.

Daleko w tym względzie od Portugalii do Hiszpanii; dalej jak do Francyi, gdzie przecież na południu nieśmiały kochanek wyjawić może tęsknotę śpiewem pod gankiem ulubionój swojej.

On téż nie śmiał jeszcze zbliżyć się; tylko wszędzie gdzie ona chodziła, czy do kościoła, czy do teatru, czy na hecę i walkę byków, czy

na miejsca przechadzek, wszędzie się znajdował nieodstępny jak cień obok gorącego światła promieni południowych.

A raz przecież ośmielił się przemówić doń językiem kwiatów, i pysznym, wymownym znaczeniem, trzydziestu córek Flory bukietem, zręcznie wrzuconym przez otwarte okno, wyjawił jój swoją nieśmiałość, swoje obawy, swoje płomienie, nadzieje i tęsknoty.

A w dni kilka znalazł w swym pokoju bukiet z smętnych zwity kwiatów, którym mu powiedziano, że *ona* lubo na pozór szczęśliwa i wesola, grób nosi w sercu.... i wkrótce wstąpi do klasztoru.

Od téj zaś chwili lilija Luzytanii już się nie okazywała ani w teatrze, ani na alamedach, ani w oknie pałacu swojego, i w krótcie potem rozgłosiło się głucho po Lizbonie, że Donna Izabella Saa da Miranda wstąpiła do klasztoru szlacheckich Cecyljanek, najsurowszój reguły, w którym własny ojciec nie ma prawa widzieć własnej córki, w którym żywcem zakopano się od dawna dawien wiele najpiękniejszych i w muzyce najbieglejszych panien Portugalii.

Lecz w istocie, jak się tego domyślamy, donna Izabela pobudzona przez własną siostrę, dała się wykraść signorowi M. de Candia, tenorowi Neapolitańskiemu, który ją uwiózł podobno do Londynu.

Generał baron Saa da Miranda sam utrzymywał, że jego piękna córka wstąpiła do klasztoru Cecylijanek, i wkrótce potem umarł z żalu, bo wiedział że ona zbiegła z domu nie wiedzieć z kim i gdzie.

Ildefonsa płakała całemi godzinami w oknie domu swojego, i błyskała swém ślepém i swém zdrowém okiem na nieszczęśliwego malarza. Ale nie był to balsam na rany jego; obrzydła mu Lizbona i Portugalija, pojechał do Brazylii, aby zgiełkiem nowych wrażeń przytłumić swój nieszczęsnój miłości udręczeń.

* * *

Już prawie od roku bawi Don Jaô Fragorio w Rio-Janeiro; już tu znany, poszukiwany i więzty jako malarz i jako dobrze wychowany człowiek świata. Ale zawsze smutny, tylko religijne

maluje obrazy, i we wszystkich, zwłaszcza obrazach przedstawiających świętą Cecyliją, maluje swego ideału oblicze w coraz doskonalszych, świetniejszych barwach i urokach.

Ona zawsze i wszędzie, *ona* przed oczyma jego wiernej wyobraźni, i trudno mu pomyśleć o czém inném jak o niej, i nie sposób mu jój nie kochać, jój się obrazem nie lubować.

Lubił przechadzki samotne po nad brzegami morza;... i tam w wieczornym powiewie oceanu, chłodził sobie wyobraźnię, zagrzaną dziennym trudem, całodniową myślą o *niej*, która w swym klasztorze żywcem zakopana w grobie, może żałuje swych rozpaczliwych postanowień.

Razu jednego, gdy tak przechodził się samotnie, przystępuje do niego człowiek z brodą w okularach, i prosi o jałmużnę. On sięga do kieszeni, a tamten cieżką jakąś ostrą niezmiernie, zawartą w butelce, skrapia mu oczy.

Okropnym bólem przejęty, oślepiiony, biedny artysta rzuca się w morze, instynktownie ratując się, a z bólu krzyczy niemilosierdzie. Byłby niezawodnie utonął, ale pomoc mu przyszła niewiedzieć skąd, wydobyto go z wody w której

nie widząc nic, nie wiedząc gdzie jest, był zanurzony. Przeniesiono go do mieszkania, dano mu pomoc, cała twarz skancerowana, oczy zapalone ale całe, zapalenie wdziera się wewnątrz pomimo wszelkich starań, artysta żyje — ale wzrok traci.

W kilka miesięcy potem, świetny i tyle rokujący malarz powraca do Portugalii, do ojca swego, ubogiego dzierżawcy folwarku, należącego do jakiegoś klasztoru blisko Koimbry. Rozpacz w domu, o jakiej wyobrażenia sobie zrobić nie można; jedyne dziecko, które tak świetnie rozpoczęło swój zawód artystyczny, leży pozbawione wzroku, leży bez chleba i pomocy, bo on bez funduszu, ojciec zaś jego nic nie zebrał w roku przeszłym z przyczyny wojny, i nawet dzierżawy opłacić na ten rok nie może.

W Rio-Janeiro przypisano zazdrości miejscowych malarzy jego nieszczęście, mniemano że jakiś najęty człowiek wypalił mu oczy serwasserem. Nie raz się stały podobne zbrodnie, nawet w Paryżu, jak o tém przed laty kilkunastą donosiły gazety.

* * *

Gdy jednego poranku *on* znękaný smutnemi myślami jeszcze odpoczywał, ojciec zaś jego z zafrasowaném czołem już pracował w winnicy, przystąpiła do tegoż jakaś dama wysoka, czarno ale pięknie ubrana, z mantyllą na głowie twarz jój zasłaniająca.

— Ojczye Fragorio! — rzecze ta dama do starca: — ja wiem czemu wasze czoło tak posępne, ja znam wasze smutki;... syna macie ośleplego bez sposobu do życia, a was wyrzucają z tego folwarku za dni cztery, jeśli nie opłacicie za-
ległej już od roku dzierżawy.

— Tak jest Sennora jak mówisz, — odpowie stary Fragorio, — Bóg nas ciężko dotknął na starość, nas biédnych rodziców jedynego, tyle rokującego dziecięcia. I to prawda żeśmy przywiedzeni do największej nędzy. Biédny Jan nie dokończył swoich obrazów w Rio-Janeiro, wiele go kosztowała kuracyja, resztę gotowizny wyczerpały koszta przewozu, słowem, wrócił z próżnemi rękoma, i za dni cztery mają nas wyrzucić z tego folwarku, który trzymam od lat dwudziestu siedmiu, w którym się ródził oślepy malarz.

— Biédny starcze! Bóg wam zsyła pomoc. Oto pieniądze wystarczające nie tylko na zapłacenie dzierżawy, ale także na zakupienie potrzebnego inwentarza; i oto także w téj skrzynce którą tu niesie moja służąca, doskonale skrzypce i nuty umyślnie dla ociemniałych w Paryżu drukowane. Wiem że Don Jaô nieźle grał na skrzypcach, niech sobie przypomni swój talent, obok zatrudnienia przyjemnego, znajdzie sposób utrzymania się.

— Ach pani! kto jesteś aniele zesłany tu przez Boga na otarcie łez naszych? — rzecze starzec ze łzami w oczach, składając ręce swoje jak do pocierza.

— Jestem dawną przyjaciółką Jana Fragorio, moje imię on często wspominać musi w swoich marzeniach... — rzecze ta dama słodkim jak niebieska harmonija głosem.

— Sennora! byłabyś ową śliczną Izabellą o której bez ustanku mówi mój biédny Jan do siebie?

— Jestem nią mój ojciec, ale piękność moja zgasła tak jak zgasło światło w oczach twego syna. I mnie Pan Bóg dotknął ciężko, ospa mnie

oszpeciła nieubłaganie, i jedno oko zasłoniła mi łuszczką. Lecz duszy mojej nie oszpeciła ta klęska, owszem dusza moja i serce dla twego syna miłością pałające, pozostały nietknięte. Patrz ojcze Fragorio, już i śladów piękności nie znajdziesz na licach.

Dama odstłoniła twarz swoją i ukazała oblicze nie Donny Izabelli, lecz namiętnej brzydkiej Ildefonsy.

Aż zadrżał starzec.

— Prawda że brzydką jestem, lecz on nie powinien nigdy wiedzieć jaka zaszła zmiana w twarzy mojej. Ty starcze, jeżeli chcesz uszczęśliwić syna swojego, i jeszcze z niego doznać pociechy, powinieneś o mnie mówić jak o cudzie piękności, powinieneś pokryjomu i zręcznie nakłonić do tegoż samego żonę swoją; musisz poddalać sługi nie umiejące dochować tajemnicy, a przyjmując inne wtajemniczyć się dające w to niewinne, do waszego dobra dążące szalbierstwo. Ja chcę zaślubić syna twego, mieszkać tu z wami opodal od świata, być dobrodziejką waszą i niańką biédnego Jana.

— Jesteś szlachetną kobietą Donna Izabello, — rzeknie starzec, — przystaję na wszystko co tylko chcesz.

— Ani imienia mojego wymawiać nie powinienś przed Janem, powiesz tylko, że kobieta młoda, świetnej urody, dawna znajoma, sąsiadka Jana przyszła wam w pomoc; przyniosła ona skrzypce, i że za miesiąc jeden o téj samej porze będzie tu w winnicy, w téj altanie gdzie chce spotkać syna twojego sam na sam. Tymczasem skup bydło i pooddalaj niedyskretne sługi. Bądź zdrów ojcze!

— Bóg z tobą szlachetna Sennora, niech On cię wynagrodzi za twe dobrodziejstwo.

* * *

Zmieniła się postać rzeczy w biednym folwarku Alcoyo. Jan Fragorio już nie myśli o samobójstwie, którego grzeszne chęci już się gnieździć zaczęły w jego duchu. On pojmuje szczęście na tym świecie, ale je pojmuje tylko z Izabellą, ukochanym ideałem swoim, ze słońcem duszy swojej; on nie wie czy nie zyskał na zmia-

nie, na każdy sposób woli być mężem Izabelli i pozostać ślepy, niż odzyskać wzrok i żyć zdaleka od niéj; on przekłada tak okropne kalectwo, grób talentu swojego, nad cierpienia tęsknoty do swéj ulubionéj. I czuje się pokrzepionym w duszy, nawet szczęśliwym; niekiedy nawet napada go taka wesołość, że jéj powściągnąć nie może; że porywa z sobą starych rodziców, na których twarzy już od tak dawna nie błyszczał uśmiech.

Z zapalem także wziął się do oddawna zapomnianego smyczka, i dnie całe przepędza w altanie winnicy swojéj nad grą, odświeżając w pamięci dawne brzmiające w uszach jego pieńia Izabelli; i świetny jéj głos naśladowując ową pełną intonacją, do którój wznieść można struny cudownego instrumentu. I nowych się uczy melodyj, zbierając nóty nie oczyma, lecz palcami po wytłoczonych kartach. Czuje się szczęśliwym do tego stopnia, że codziennie w rzewnych modlitwach dziękuje Bogu za ten dowód świętój Jego łaski.

Dobry byt wrócił pod strzechę Fragoriów, dzięki wsparciu zostawionemu przez czarną damę. Kupiono bydło, zrestaurowano dom, nawet

przybudowano do niego dwa pokoje dla Jana i jego żony, bo że się żenić będzie to już przewidują wszyscy, nieograniczoną pokładają nadzieję w słowności dobroczynnej dziewicy.

Nadchodzi dzień obiecany.

— Czy już noc? czy już dzień?—pyta ślepy malarz, spać nie mogący od dni kilku z niecierpliwości i wzruszenia.

Ach jak ona wydostać się mogła z tego klasztoru, z którego nikt jeszcze nie wrócił gdy raz weń wstąpił? pyta sam siebie.

* * *

Jan Fragorio czeka w altanie, i teraz w chwili gdy się rozstrzygnąć mają jego losy, nie ufa szczęściu swojemu, drży na całym ciele i modli się.

Ona się zbliża, i zobaczywszy Jana w altanie, klęka, zalewa się łzami, drży także i szczęściu swojemu nie ufa.

Jéj łkania doszły do uszu ociemniałego.

— Kto tam?—pyta drżącym głosem: — kto tam?

— To ja! Ilde.... to ja Izabella, — odpowia-

da czarna dama zasłaniając twarz swoją, jak gdyby się obawiała poznania, i wykrycia tajemnicy.

— Sennora! Sennora! Ach wielki Boże! więc to jest prawdą? więc się ulitowałaś nad biednym człowiekiem, któremu Bóg odebrał co mu było najmilszém, widok wdzięków twoich, twój wspaniałej piękności. Oh zbliż się do mnie świetna Izabello i przemów miłym głosem, który do mnie nigdy nie był zwróconym.

— Don Janie! przebacz mi, — rzecze czarna postać, zbliżając się do altany:— ja nie wiedziałam jak ja ciebie Kocham, gdy zrażona dumą ojca mego, wstąpiłam do klasztoru, przekładając grób najmilszych nadziei moich, nad pożycie z dostojnym mężem, którego dla mnie wybrano. Przychodzę żebrać przebaczenia twego, korzę się przed tak wielkiém nieszczęściem, którego byś może był uniknął, gdybym nie była wstąpiła do klasztoru.

— Ach to twój głos czarujący, który nieraz dolatywał ucha mojego, gdy siedział niedaleko od ciebie w teatrach i na spacerach; który słodził sny moje harmonijnym dźwiękiem odgłosu.

Oh Izabello! takiego głosu nikt nie ma i nikt mieć nie może, kto tak wzniosłego piękna jak ty nie jest przedstawicielem. Miěj litość! przybliź się do mnie, podaj mi rączkę swoją, niech ją uścisnę po raz piérwszy w życiu, i pokryję gorącemi łzami tych ócz niewidomych, wydartych mi jak widzisz w kwiecie wieku, i w chwili gdym także płakał jak teraz dla ciebie.

— Moja ręka? oto ją masz Don Janie, na całe życie jeśli tego chcesz, ta ręka pielęgnować cię będzie, jak ręka matki, siostry, przyjaciela, kochanki a nawet i żony... Ach i ja jestem nieszczęśliwą, ukrywać się muszę, maskować przed ludźmi, żyć pożyczaném imieniem...

— Tyś nieszczęśliwa Donna Izabello? ty której życie niegdyś spływało jak ciągły potok szczęścia i uroków, ubóstwiana przez wszystkich, sławiona z piękności i talentu?

— Czyż zapominasz, żem wstąpiła do klasztoru? czyż nie pojmujesz żem z niego *uciekła*, kiedy mnie przed sobą widzisz; to jest, kiedy mnie przed sobą czujesz?

— Prawda, prawda, to rzecz nieodgadniona, jak mogłaś się wydostać z klasztoru z które-

go nikt od założenia go nie wy dostał się jeszcze; prawda, i ja tego nie pojmuję, i nadaremnie w głowie mojej szukałem środków wytłómaczenia tego?

— Nie pojmujesz Don Jaś? ja ci wszystko wytłómaczę. Po twoim wyjeździe do Brazylii, Donna Izabella, siostra moja, zapadła na suchoty, i wiedząc w jakim jest stanie, prawie już dogorywając, dowiedziawszy się przytém jakie cię spotkało nieszczęście w Rio-Janeiro, chciała się widzieć ze mną raz jeszcze, i po rozlicznych staraniach otrzymała na to pozwolenie od władzy duchownej. Przyszła zakwefiona naszym zwyczajem, opowiedziała mi wszystko, wysłuchała mnie w celi mojej, i widząc ile cię kocham, ośmieliła mnie do zuchwałego kroku, do zamienienia sukni i do ucieczki z klasztoru. Ja uciekłam, ona zaś wkrótce potém umarła; już leży od czterech miesięcy w grobie. Ja zaś wszedłszy w prawa jej szczupłego majątku i świadcząc się jej imieniem, ukrywać się musiałam jak najstaranniej, bo wiesz przecie mój dobry Janie, jak wielka różnica zachodzi pomiędzy osobistością nieboszczki Donny Ildefonsy a moją....

Od téj chwili spokojności dla mnie nie ma; wprawdzie nowy edykt znoszący klasztory i śluby zakonne daje mi niejakię zabezpieczenie, lecz wszystko to rozbija się o fanatyzm religijny panujący w kraju naszym, i ciągle widzę przed sobą księży gotowych mnie wtrącić do klasztoru, a nawet zamorzyć w jakiej kryjówce, jak to bywało dotychczas w zakonném życiu, gdy kto przestąpił przysięgę kościelną. Jestem w ciągłej obawie, i chyba tylko tutaj, w tym zakątku oddalonym od świata, znaleźć mogę spokojność.

* * *

Jan Fragorio jest szczęśliwym małżonkiem już od lat jedenastu, jest ojcem siedmiorga dzieci potrzebujących chleba, odzienia i wychowania. Żona jego, najprzykładniejsza małżonka i matka, nigdy się nie wydała z obrębu małego falwarczku, pracuje wespół z staremi rodzicami

rodza swojego, aby wyłożyć utrzymanie tylu dzieci w tak ciężkich czasach, w które z przyczyny ciągłych zmian politycznych, Portugalija była wciągniona. Już jej szczerze mająteczek po-

chlonięty na utrzymanie w jakim takim stanie gospodarstwa, i Don Jaô od kilku lat podróżuje po kraju z skrzypcami swojemi, i z pomocą pierworodnego syna zarabia corocznie w kilka miesięcy z tysiączek franków, wielką ulgę przynoszących w prowadzeniu gospodarstwa. Nareszcie dowiaduje się żona jego, że w Galicyi hiszpańskiej mieszka jój ciotka, podeszła, dość majątna i bezdzietna osoba. Jedzie do niej w tym samym czasie w którym ślepy skrzypek z synem swoim rozpoczyna swoją artystyczną wycieczkę.

W téj wycieczce spotyka doktora Hamilton i teraz znamy dalszy ciąg téj historyi.

* * *

Ale jeszcze nie znamy wszystkiego, lubo się przecież domyślamy, że Sennora Fragorio nie była Donna Izabellą de Saa Miranda; ale jeszcze nie znamy wszystkiego, bo nie wiemy kto biédnego Jana Fragorio umyślnie oślepił w Rio-Janeiro.

I ja tego dotychczas nie wiem, téj tajemnicy dociec nie chciałem, lubo z przyrody jestem cie-

kawym i z powołania nim być muszę; ależ ja wiem niestety do jakich fortelów, do jakich okrucieństw kobiéta brzydka uciec się gotowa dla osiągnięcia celu swój żądzy miłosnej; znam za nadto wiele z czarnych tajemnic ludzkości, lubo zawsze dążę do jasności, do światła i do piękna!!



Jan Fragorio był człowiekiem jak i my, nawet do sześcianu spotęgowanym człowiekiem, bo artystyczna dusza przez lat jedenaście zakłęta w ślepotcie, gdy się na raz przedarła do światła i do jaźni, olbrzymie zyskuje siły czucia, i wedle nich oddziaływa, tak jak ta galka z kości słoniowej rzucona na wypolerowany marmur.

On ją sobie malował piękną, zachwycająco śliczną dziewczicą, tak jak pozostała skryształizowana w jego pamięci ludzonej artystycznym urokiem wyobraźni; on mniemał zastać anioła wdzięków w domu swoim, i słodził sobie długie chwile najdokuczliwszego kalectwa tą słodką myślą, że jest mężem najpiękniejszej kobiety

w Luzytanii; a tu zastaje w domu swoim straszdyło pielęgnujące dzieci jego, i pyta się go:

— Upiorze! gdzie jest Izabella? gdzie jest żona moja?

Ona nie wie, że on przejrzał i rzuca mu się na szyję, całuje go, łzy wylewa.

On ją odpycha i ciągle pyta gdzie jest Izabella, i wreszcie poznawszy w téj kobiecie Ildefonse, bije, przeklina ją, odgaduje wszystko, wypędza matkę swych dzieci z domu, i złorzeczy chwilom w których zostały poczęte, owe niewinne a prześliczne owoce miłości innéj osobie poświęconéj.

Potém chce się zabić, ale padł omdlały, i gdy wrócił do przytomności woła:

— Precz z tym upiorem, z tym szatanem, ja nie jestem ojcem dzieci tego straszdyła, chcecie żebym ją zabił?

Ona na klęczkach, na ziemi pełzająca u nóg jego, wyjawia mu wszystko co wie o pięknej Izabelli, która zapomniawszy swéj godności wstydu i ambicyi, dała się wykraść śpiewakowi M. de Candia.

On wysłuchał, niczego nie zapomniał, i téj

samój nocy znikł z domu, nikt nie wie gdzie się udał.

W niej zemsta zawrzała, a nie wie na kim się zemścić; jak zapalczywe zwierzę oślepięone chucią nienawiści, rzuca się na ostatnią, najniewinniejszą przyczynę niedoli swojej: na szlachetnego okulistę, który wrócił wzrok jój mężowi.

* * *

Znów od tego czasu rok cały przeszedł.

Jan Fragorio był w Paryżu, odszukał Signora M. de Candia, obraził go, wyzwiał na pojedynek, został ciężko rannym, a potem wyzdrowiawszy, dowiedział się, że piękna Izabella, już od dawna przechodząc z błędu do błędu, schodząc w zawodzie zepsucia coraz niżej, stała się najnikczemniejszą istotą.

Bo w tamtych krajach nie tak jak gdzieindziej: tam płoche, honor swój poniewierające istoty, nie zyskują na wzięciu w miarę lat przeżytych w zepsuciu i hańbie; tam nie umierają milionerkami, tylko marnie giną, w rynsztoku gałganiarskiej dzielnicy, często w więzieniu, czasem nawet na rusztowaniu.

Widział ją jeszcze dosyć piękną, ale zupełnie spodloną, ze wstydu odartą, obrzydzenie wzbudzającą.

I nie śmiał jój się dać poznać w tém ohydнім miejscu, gdzie już nie ma nadziei poprawy.

A dowcip na to jój służy, żeby mogła drwić z wszystkiego, co na téj ziemi pozostało jeszcze świętém! Onaby urągała się z Jana Fragorio ubóstwiacza swojego, onaby go chciała pozbawić wszystkich szlachetnych uczuć, nawet téj miłości, którą on pielęgnuje dla niój.

Jeszcze nigdy w życiu estetyczny artysta nie widział piękna w tak obrzydliwym miejscu, i tutaj dopiero w tym przybytku grzechu i hańby, po raz piérwszy zatęsknił do swój brzydkiój żony, która przez lat tyle dzielila z nim wszystkie troski, i jedném go słowem nie zgorszyła, lecz owszem budowała swą szczerą religijnością.

Po całorocznym pobycie we Francyi, wraca do domu swojego pod Koimbrą, pewny że tam znajdzie żonę swoję przy dzieciach.

Dowiaduje się tutaj dopiero, że jego żona już od roku w więzieniu, skazana na lat dziesięć

za zamach zabójczy, dokonany na osobie doktora Hamiltona.

Sam Hamilton błagał na klęczkach u królowej liście, dla obłąkanej rodu królowej swojej, lecz otrzymać nie mógł łaski; królowa chciała ukarać przykładnie tak wielką abdyndę dla powściągnięcia zapalczowości kobiet portugalskich fanatycznie religijnych, i i zarządzała najdzikszą zemstą pałacnych.

Don Jaco Fragonio udał się z wszystkimi dziećmi swymi do Lizbony, rzucił się królowej do nóg, sam siebie powinnia o przetrzymanie zbrodni, opowiadał o całej rzeczy.

Królowa zmieszona dała się przobłagać.

Szczęście wróciło pod strzechę średnie udreżonej rodziny, a wkrótce potem Jaco Fragonio zajął powiem jeszcze doskonałymi dowodami naturalnego talentu.

ROZDZIAŁ IV.

Oblakany lekarz.

Quien no ha visto Sevilla, no ha visto moravilla! kto nie widział Sewilli, ten cudu nie widział, — utrzymuje każdy Sewilijańczyk dumny z okazałych pomników, które dwadzieścia kilka wieków nagromadziły w tém mieście tak szczęśliwie położoném w żyznej okolicy nad brzegami Gwadalkwiwiru.

Jestem od tygodni kilku w tém uroczém miejscu; codziennie podziwiałem katedrę, Alcazar, Giralde, ogrody, muzea, fabrykę cygar, w której cztery tysiące burzliwych córek Hesperyi kręci cygara i myśli o polityce, a nawet

zwiedziłem pałac inkwizycyi, w którym jeszcze przed niedawnemi czasy, za dobrego króla Ferdynanda wieszano, duszono i palono za wiarę najlepszych obywateli Hiszpanii.

* * *

Nareszcie zaszedłem do okazałego szpitala obłąkanych, do Bonifratrów sewilskich, w których mieszczą się w osobnych oddziałach kobiety i mężczyźni. Sam pan dyrektor, sławny, lubo jeszcze młody doktor Donadio, oprowadza mię po tym szpitalu, w którym wówczas przeszło sześćset obłąkanych roślinkowało.

Zaszedliśmy najprzód do kobiet. Jedne bawią się w ogródkach, w nich kopią i kwiatki pielęgnują; drugie uczą się śpiewu religijnego pod przewodnictwem poczciwych siostr miłosierdzia: inne chodzą z obłąkanemi oczyma z kąta w kąt mrużąc niewyraźne słowa i groźby; inne jeszcze na oddzielnych dziedzińcach tarzają się w piasku lub grzeją w słońcu. Są i takie co pozatykały we włosy rozmaite świecidelka, i wdzięczą się do każdego mężczyzny mniéj

więcej bezwstydnie, a nareszcie są i takie, które w zapalczywym gniewie wszystko z siebie zrywają, i gotowe są rzucić się do oczu infirmierkom, bonifratlerce i dyrektorowi.

Niestety! wszystkie klasy towarzystwa, wszystkie zawody i wieki dostawiły tu swój kontyngens, mianowicie w ostatnich czasach, w których Hiszpanija tyle burz doświadczyła.

I wszystko w tym domu jest porównanem przez sąd nieuznający żadnej różnicy pomiędzy ubóstwem i bogactwem, pomiędzy młodością a starością, pięknnością a brzydota, pomiędzy miłą oświatą a najsurowszém barbarzyństwem. Wychowana w przepychu żona i córka dumnego Hidalga, mieszka tu razem z dawną galganiarką, która rozum swój zapila. Zastarzała w wyuzdaniu kobieta, pędzi swe życie obok szesnastoletniej niewinnej Sennority, której kwiat dziewiczy nietknięty, pójdzie z nią do grobu.

Tu wszystko najokropniej równie i więcej daleko przestrasza jak śmierć sama.

Ale to dziwna, że razem z szlachetnością natury ludzkiej, nie zawsze z niej znika jej złoliwość; owszem, tu spostrzegłem w tych siedzi-

bach obłąkania, że po zwiędnięciu kwiatu chwasty jeszcze pozostają w duszy ludzkiej, i wybujać zdołają w sposób dziwnie srogi. Z jaką radością niektóre z tych nieszczęsnych spoglądają na kary wymierzone rówienniczkom! o jak się cieszą na odgłos ich jęków, jak dzikie wydają okrzyki!

I toż samo, tylko jeszcze w więcej rażących barwach, znajdziesz w oddziale męskim. Passyje polityczne, zapalczywie wygórowane w ognistych duszach Hiszpańskich, nagromadziły tutaj mnóstwo ludzi, którzyby mogli być ozdobą kraju swojego, gdyby umieli hamować gwałtowność namiętności i polot wyobraźni swoich.

W jednym z dziedzińców, otoczonym wysokim murem, rowem i sztyldwachami, stoi ze dwanaście budek drewnianych w dwóch szeregach odległych od siebie o jakie dwadzieścia kroków, a w każdej z tych budek zamknięty maniak albo maniaczka, których wściekłości żadnym innym sposobem pohamować nie można było.

Do hyjen raczej jak do ludzi podobne, wyją

te nieszczęsne stworzenia, którym Bóg odebrał rozum, a życia odebrać nie raczył.

Ten widok jest najokropniejszy, i nigdy z pamięci zniknąć nie chce.

* * *

— Chodźmy złożyć winny szacunek Sennorowi Barrameda, — rzecze do mnie doktor Donadio, zmierzając do jednej z tych budek, zamkniętej na dwa olbrzymie rygle i na zamek, do którego klucz miał dyrektor w kieszeni.

— A któż ten Sennor Barameda? — spytam.

— Później panu powiem, ale przypatrz mu się, abyś go nigdy nie zapomniał, bo warto w pamięci zachować takiego jegomości.

Do słupa przykuty, blady, wysoki człowiek z ogromną siwą brodą i z wejrzeniem jak sto tysięcy padalców. Jego włosy rozczochrane, poruszenia konwulsyjne łańcuchami hamowane, jego zgrzytające szczęki, w których jednego nie brakło zęba, jego ciało w łachmanach. Boże! nigdy nic okropniejszego w życiu swoim nie widział, zwłaszcza, że tego człowieka rysy były piękne, jego czoło wyniosłe i szlachetne.

— Do jakiego stopnia obłąkanie zmienia wyraz najpiękniejszej twarzy, postać i ustrój człowieka!—rzecze doktor Donadio jakby do siebie, stanąwszy o dwa kroki od tego ogromnego maniaaka, do którego ja nawet o sześć kroków przystąpić nie śmiałem.

— Wiesz kolego, — powie dalej dyrektor, — że ten człowiek był nadzwyczaj przystojnym, jeszcze przed kilkoma laty;—i doda do pacjenta zażywając tabaczkę:—nieprawda Sennor Barra-meda, byleś nadzwyczaj przystojnym, kobiety cię kochały namiętnie jeszcze przed dwoma laty.

Maniak zgrzytnął zębami, i tak silnie wstrząsnął się w więzach, że aż się marmurowy głęboko w ziemię wsadzony słup zachwiało.

— Wolno! wolno! nie gniewaj się kochań-ciu, — rzecze dalej do maniaaka Don Fadrique Donadio, — a więc mnie rozumiesz dzisiaj? poznajesz mnie dzisiaj? Dalej odpowiedz, dam ci tabaczki.

— Poznają cię doktorze Donadio, — odpowie maniak chrapliwym głosem, wyciągając skrepowaną rękę ku otwartej tabakierce, bo każdy waryjat przepada za tabaką.

— Wiesz, że nie jestem — rzecze zimno

grzesznikiem — i nie mam — dodał — i dążę do

niezależności.

Nawet nie mam — dodał — w kolacji gło-

śnej, nie mam — dodał — o smaku, o smaku

tego — dodał — w smaku — dodał —

— Czemu się nad nim pastwić? — powie

doktor Donadio, i doda okropnie sarkastycznym głosem:—widzisz, bo go lubię bardzo, ha! ha! ha!

— Nie pojmuję ciebie, zgorzony jestem twoją nieubłaganą ironiją, — rzeknę ze wstrętem.

— Tak, lubię go, i dla tego go drażnię, żeby przypadkiem do rozumu nie wrócił, bo już zaczyna mieć jakieś intervalla lucida, które bywają przepowiedniami uzdrowienia.

— Ale owszem, niechże wróci do zdrowia sobie na szczęście, nauce lekarskiej i tobie dyrektorze na zaszczyt, — rzeknę z zapalem.

— Oh nie! on nie powinien wracać do zdrowia, — powie dyrektor potrząsając głową, — dla niego zdrowie byłoby fatalnym podarunkiem, — nieprawda Don Augusto de Barrameda, że lepiej tutaj umrzeć waryjatem w więzach i łańcuchach, niż mieć głowę uciętą przez kata, wbita na pal i pożartą przez kruka!

Wymownym gestem powtórzył doktor okrutne pytanie swoje, a Don Augusto de Barrameda pojął jego znaczenie, i ryknął jak zraniony lew, aż wszystkie zaszczekały echa okolicznych murów.

— Wystawić sobie jak wygląda na pal wbita

taka głowa, co to nosiła i beret doktorski, i mitrę professorską i kapelusz galonowany z plumazem generalnego oficera zdrowia?—rzecz dalej nieubłagany doktor Donadio, a waryjat ją się śmiać szatańskim głosem, i zgrzytał zębami jak workiem orzechów.

— A jakiby to był wstyd dla nas wszystkich lekarzy, dla uniwersytetu, a mianowicie dla *mnie*, dla ucznia, krewnego i następcy twojego, nieprawdaż Don Augusto?

Waryjat w jednej chwili śmiał się, zgrzytał zębami, jęczał, szlochał i wył. Serce mi pękało na ten widok.

Więc lepiej tu będzie umierać w kajdanach i w lachmanach, więc lepiej będzie pójść do grobu tam niedaleko stąd, poddawszy się wprzód jak najgrzeczniej sekcyi, więc lepiej będzie nosić na swój mogile krzyż Zbawiciela z kamienia wykuty z napisem: — Boże zmiłuj się nad grzesznikiem?

— Litości! litości! trucizny! trucizny!— jęły usta nieszczęsnego.

— Ah! trucizny? — rzecz doktor szpitala obłąkanych w Sewilli, — ah! chcesz żebym ci

podał truciznę? łatwoby mi było zaprawdę, ale ja trucizny nie podam, ja nią nie szafuję tak łatwo, jak ty nią szafowałeś wujaszku; ja niechęć pójść do piekła, jak ty pójdiesz! nie! nie mam litości, nie dam trucizny, ja się boję piekła!

Na całym ciele drżać zaczął męczennik.

— Doktorze na miłość łaskawego Boga, nie trap tego nędzarza; kto on jest? kim on był, powiedz, — rzekłem zgrozą ogarnięty.

— Kto on jest? Numerem 113. Kto on był? Profesorem Barrameda, dyrektorem tego zakładu, poprzednikiem moim, — odpowie doktor Donadio.

— I żadnej litości? żadnej? żadnej?

— Żadnej dopóki żyje, i dopóki na hańbę wystawić może kolegów swoich i krewnych! żadnej! Posłuchaj historyi tego niegodnego syna Eskulapa, a sam przyznasz kolego, że tu żadna litość miejsca mieć nie może i nie powinna. Siądź tu na progu, a ja ci opowiem co to był za człowiek, za potwór.

Ciekawość wzięła górę nad wszystkie inne

względy: usiadłem i słuchałem następującego opowiadania:

* * *

— Przed laty sześciu zjawił się tutaj w Sewilli niezmiernie bogaty, stary i zżółkły Meksykańczyk Don Diego, z bardzo ładną, młodą żoną, która dzieckiem niegdyś wyjechała z Sewilli, z rodzinnego miasta swojego, i potem rozwiniawszy się jak najcudniej w Meksyku, straciwszy majątek i będąc bardzo ubogą, zaślubiła się z starym kolonistą. Donna Flora nie kochała nic a nic Don Diego, to można było przewidzieć, bo sześćdziesięciokilkoletni starzec, żeby był najbogatszym i najprzyjemniejszym, żeby się ubierał jak najstaranniej, mył i perfumował jak najsumienniej, żadnego nie może mieć powabu dla szesnastoletniej kobiety. Ale Don Diego nie po raz pierwszy żonaty, zazdrośny jak tygrys, podejrzliwy i nieufny, nie tyle dbał o miłość młodej swój żony, ile o pewność, że się nikt z nim nie dzieli używaniem jej wdzięków. Dla tego też otoczył ją Duennami czarnemi, czerwonemi,

osób należała piękna, okazała, wysoka, blada i pulchniutka Donna Flora de Tafilanta, jedyna córka generała tegoż nazwiska, spalonego tutaj w Sewilli przez świętą inkwizycją w ostatnich dniach panowania Ferdynanda VII, okrutnego ojca naszej niewinnéj Izabelli I.

A piękną była Donna Flora de Tafilanta jak rajski ptak, cnotliwą zaś jak anioł niebieski. Nic zachwiać nie mogło jéj cnoty i spokojności duszy, i dla swéj matki, która w ostatniéj biédzie żyła, zrobiła poświęcenie z swego losu, i poszła za starego brzydkiego tetryka. Nieprawdaż Don Augusto, że taką była Donna Flora, twoja nieszczęsna ofiara? nieprawda, że moja kuzynka Flora, była wzorem cnót i piękności nim się z tobą poznała?

Zgrzytał zębami, jęczał i wył w swych żelaznych pętach straszliwy maniak, i miotał siarczystemi przekleństwami.

* * *

A dalej prawił doktor Donadio, młody dyrektor szpitala obłąkanych w Sewilli:

— Ale po śmierci siostry ojca mojego a matki Donny Flory nastąpiłej w Meksyku, młoda mężatka zachorowała z tęsknoty do swoich, i Don Dięgo usłuchał rady lekarzy meksykańskich, i przewiózł ją do rodzinnego miejsca, do Sewilli, gdzie w gronie krewnych wkrótce odzyskała zdrowie, i nabrała wesołości do tychczas jej nieznanej.

Liczne było owe grono krewnych, a do niego należał nasz powinowaty, pewien znakomity lekarz, professor Uniwersytetu, dyrektor tego tu zakładu zdrowia, obecny tutaj w kajdanach do marmurowego słupa przybity Don Augusto de Barrameda, hidalgo hiszpański najlepszej krwi, prawnuk kommandora Kallatrawy, i to po mieczu, niech mnie piorun trzaśnie.

Bóg nie szczędził ani zdolności, ani piękności kochanemu wujaszкови, ale mu dał brzydką, zazdrosną żonę, i co najgorsza złe serce i pożądlivy temperament. Dużo cienia było w tym świetnym obrazie, cienia tajonego, ale grubego, podstępnie wymykającego się z po za chwastów zalegających grunt tego straszliwego charakteru.

Miał wówczas lat około czterdziestu pięciu, i od lat dziesięciu dyrygował tym szpitalem, w którym mieszczą się pośród obłąkanych z obcej winy, szaleńcy własnym zbrodniom zawdzięczający stan ów okropny, w jakim pozostają.

Jeszcze wówczas przepysznie wyglądał Don Augusto! oczy miał wielkie płomieniste, brodę połyskującą czarną, jednym siwym włoskiem nieskażoną, twarz szlachetną, wzrost wysoki wysmukły prawdziwego granda Hiszpanii, jakimi niegdyś byli, a dzisiaj już nie są, dzięki zepsuciu obyczajów, które się wkradło do kraju od głowy, od sfer wyższych towarzystwa.

Carramba! pysznie wyglądał Don Augusto de Barrameda, i spojrzawszy po raz pierwszy na Donnę Florę, którą znał małym dziecięciem, uczuł w sobie ogień pożądliwości do jej świeżych wdzięków i do jej kwadrupłów, których Don Diego przywiózł całe kufry.

Ha! nie wszyscy lekarze tak cnotliwi jak ich opisujesz Don Teodoro w swych pamiętnikach; są i tacy, którzy najmniejszej czci dla świętego powołania medyka nie uczuwają, i przez cały

ciąg sprawowania swych obowiązków przemysłiwają tylko nad sposobami mamienia biędnych ludzi, którzy im powierzają zdrowie, życie, a nawet honor, skarb najdroższy naszej istności. Nieprawdziważ, że do tego rzędu lekarzy, ogoloconych z sumienia, i ty należałeś wujaszku Don Augusto? No! dam ci tabaczki, tylko szczerze wyznaj winę.

Maniak wyciągnął rękę ku otworzonej tabakierce, odłamał jej wieko, porywając za niucha, i razem z tabaką włożył to wieko do ust, i w drobne kawałki pogryzł wraz z tabaką krztusząc się, kaszlając i wydając dzikie jęki.

* * *

— Za nadto mu zawierzyłem, — rzecze doktor Donadio, wsypując tabakę z popsutej tabakierki do świstka papieru, — moja tabakierka padła ofiarą méj ufności; nie tęgi ze mnie lekarz waryjatów. Ha! trzeba opłacić frycove w każdym zawodzie, będę mędrszym na przyszłość. Ale uśmierzmy zapal kochanego wujaszka, który mię niegdyś w tym samym domu i w tej

samój budzie uczył poskramiać niesfornych maniaków.

I mówiąc to doktor Donadio pociągnął za sznurek, odchylił kłapę od beczki z wodą, zawieszonój u wysokiego szczytu śpiczastego dachu, i krople duże jak laskowe orzechy spadać zaczęły w rozpaczliwie regularnych odstępach na wijącą się głowę maniaka.

Trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego, jak męczarnię owego do słupa przykutego maniaka; na wszystkie strony obracał głowę, ale wijąc się i targając, wyminąć nie zdołał nieubłaganój kropli, kulą spadającój na jego wylysiałą czaszkę.

Uniesiony litością, wyrwałem dyrektorowi sznurek z ręki i zapadła kłapa; razem z nim ustał mokry dęszcz, boleśniejszy od wszystkich ognistych dęszozów.

* * *

— Czekał, czekał kolego, jak wysłuchasz opowiadania mojego, to się nie będziesz litował nad tym godnym kolegą, tylko sam otworzysz

klapę, i prosić mnie będziesz, abym jój nigdy nie zamykał.

Ale dalej do naszej historyi. Więc pan professor zoczywszy Donnę Florę, zapalił się wiemy już do czego, do jednego i do drugiego. Ale się umiał maskować, i to prześlicznie; udzielił swe rady jako lekarz, przyjął honorarium, lubo był powinowatym, i dość skąpe i krótkie oddawał wizyty, wymawiając się zatrudnieniem, pracą naukową, zaręczając, że i bez jego rady pacjentka wróci do zdrowia. Słowem, umiał się podobać Don Diegowi ze strony swego światła i charakteru, zyskał jego zaufanie w wysokim stopniu, mianowicie za to, że z pacjentką i powinowatą swoją nie starał się wchodzić w owe poufale zażyłości, których sobie bardzo często pozwalają niektórzy lekarze w krajach, w których o prawdziwej estetyce pożycia ludzkiego jeszcze nie ma zdrowego wyobrażenia.

I dobre mu dawał mój wujaszek rady co do ulokowania kapitałów swoich, co do prowadzenia żony i urządzenia domu; nadto napominał go, żeby się strzegł nowych znajomości, zwłaszcza młodych ludzi. bo ci nie szanują ani spo-

kojności domu, ani sławy młodych kobiet, i często bardzo stają się powodem ciężkich zmartwień, zwłaszcza dla ludzi w pewnym wieku, posiadających już zdrowe wyobrażenie o wartości życia ziemskiego; nie tak nieznośnego, jak się zdaje, zwłaszcza dla majątnych, wytrawnych ludzi, którzy żyć umieją mądrze.

Jakże też szczerze uściskał Don Diego, przytomnego tu Don Augusto, i jakżeż go błagał, żeby przynajmniej co drugi dzień go odwiedzał, nawet mu wręcz zapowiedział, że mu podwoi honorarium, i że mu wyznacza na rok pięćdziesiąt uncyj złota honorarium, byleby tylko co drugi dzień bywał u niego, najregularniej od ósmej do dziewiątej godziny.

(Pięćdziesiąt uncyj złota, jest około sześciu tysięcy złotych polskich).

Przystaje Don Augusto, ale z pewnym warunkiem; wolę się temu poddać raczej z przyjaźni, jak dla jakiej tam zapłaty. Ale Don Diego nalega i doktor przystaje na wszystko.

Czy myślisz kolego, że Sennor Barrameda spuścił chociaż na chwilę z oka wdzięków Donny Flory, i z wężu pieniędzy Don Diega? oh!

nie mył się; wiedział on ile ich jest, gdzie umieszczone i gdzie najlepsze. To bardzo dobrze przenikł, że będąc już czterdziestokilkuletnim małżonkiem, ojcem kilkorga prawie dorosłych a nie ładnych i nie szczególnie ułożonych córek, nie potrafi zdobyć bezpośrednio serca młodej, rozsądnej i jeszcze nigdy nierozromansowanej kobiety. Więc pośrednio umyślił zdobyć wszystko, i ukartował sobie planik godny swój szatańskiej główki i wędrcząc się postanowił do kufrow, serca, i wszędzie drogą utorowaną przez innego.

Nota bene pieniędzy bardzo potrzebował Don Augusto, bo brzydka żona na wielkie wydatki wystawiała ognistego męża; nieprawdaż wujaszku?

* * *

— Więc jednego pięknego rana, następująca odbyła się rozmówka pomiędzy Don Diegiem, Donna Florą i Don Augustem.

— *Don Augusto.* Jakieś dziwne wzruszenie w twoim pulsie, kochany Don Diego; musiałeś

niespokojnie noc przepędzić; ależ i pani puls dość niespokojny Donna Floro, ho! ho! ho! Don Diego, medium tenuerunt beati! sancta moderatio, święte umiarkowanie.

— *Don Diego*. Patrz, jak się poznał od razu na wzruszeniu w naszych pulsach; oh! świętny to doktor Donna Floro, to skarb uczoności, on mi przedłuży życia może do stu lat, jak mi przepowiedziała owa cyganka. Ale co do powodów tego wzruszenia, to się mylisz doktorze! oh sancta moderatio! lubo quoad tentationem *to* niebraknie jak to wnosić możesz i powinienes z dobrego stanu sił moich, i z kwitnących wdzięków méj małżonki. Lecz czynię to właśnie dla niéj, dla méj ukochanéj Donny Flory, celem uszanowania jéj zdrowia; chcę ją widzieć długo zdrową i kwitnącą, a wiem, ile castitas wpływa na przechowanie wdzięków.

— *Donna Flora*, ruszywszy pogardliwie ramię, — rzekła: Ave Maria purissima!

— *Don Augusto*. A zatém coś innego musiało zaskoczyć, ale koniecznie musiało, bo puls to wyjawia.

— *Don Diego*. Istotnie zaskoczyło, opowiem ci

doktorze wszystko, bo potrzebujemy rady twojej. Wczoraj byliśmy na walce byków z Florą i z jedną z jej towarzyszek. Zabraliśmy miejsce w numerowanych krzesłach tuż pod łożą królewską. Rozpoczyna się widowisko. Już powalono dwóch byków, i ciury cyrkowi zatrudniają się wyprzątaniem zabitych koni i rannych taureadorów z areny, gdy nagle jakiś anglik, oczywiście pijany do mnie się zbliża, i ukazując mi na kartce drukowany numer mojego krzesła, żąda odemnie abym mu ustąpił miejsca. Ja przekładam, że to miejsce zakupiłem wraz z dwoma przybocznymi. On utrzymuje, że to się stało chyba przez pomyłkę, i że na tém szkodować wcale nie myśli. Przyszło od słowa do słowa, wreszcie ów gbur chwycił mię za kołnierz, i chciał mnie wyrzucić z krzesła. Myślałem że mnie djabli wemną ze złości i wstydu; Flora wydała bolesny okrzyk, i jakoby na jej odgłos jawi się pomoc; jakiś młodzian także cudzoziemskiej, ale sympatycznej miny przypada, porywa Anglika za piersi z takim impetem, że ten traci równowagę i pada; z tego korzysta mój wybawca, wlecze go aż pod bandę odgraniczającą wi-

dzów od areny, i przy pomocy kilku innych na jego skinienie przybyłych młodzianów, wrzucił go w arenę, do której właśnie byka wpuszczono. Mój Anglik zorientowawszy się, drała w nogi na najodleglejszy koniec areny, chować się za Pikadorów i Alguazilów; publiczność, która na wszystko patrzała, i z bystrością Sewiljańczyków znamionującą, wszystko pojęła, rzęsiłemi oklaskami wynagrodziła zwycięzcę. Mnie też wypadło podziękować wybawcy, który się tak szlachetnie za mną ujął, i dokonawszy dzieła wrócił na swe miejsce, na krzesło tuż za mną. Przyjął to podziękowanie z szlachetną miną człowieka nie poczuwającego się do żadnej zasługi, czém mnie jeszcze więcej ujął, a nawet oczarował.

Poprosiwszy go na czekoladę po przedstawieniu, dowiedziałem się, że jest Francuzem z dobrego rodu, wychowany w płochościach przez pieścićą go, bardzo dostojnego rodu matkę; że przehulawszy znaczny majątek, myśli go odzyskać pracą; że się rzucił do handlu i przebiega jako komiwojażer bławatny wszystkie bogatsze miasta Hiszpanii dla uzyskania

obstalnoków; następnie wykupił swój bilet wizytowy ofiarował później swoje usługi jako korbirudce.

W tym czasie, kiedy w Warszawie ple-

niły się waleczności, w Krakowie

zaczęły grać, a ja siedziałem

w domu, ty natomiast ucieka-

łeś do wsi, do rodziców, a nie

do węgier, jak się wyobra-

żało, że tam jest bezpiecznie...

W tym czasie, kiedy w Warszawie

plełły się waleczności, w Krakowie

zaczęły grać, a ja siedziałem

w domu, ty natomiast ucieka-

łeś do wsi, do rodziców, a nie

do węgier, jak się wyobra-

żało, że tam jest bezpiecznie...

— *Donna Flora*. Drobne i kształtne zdaje się.

— *Don Augusto z miną tajemniczą, troskami brzemienną, i do siebie mówiąc półgłosem*: Tak niestety nie myślę się. Szkoda walecznego młodzieńca. Ale pokaż mi Don Diego jego bilet wizytowy, — Emil de Beauregard! — Ha! ani słowa, *to on*, Emilem go nazwali sekundanci.

— *Don Diego*. Kto taki na miłość Boga? Kto taki? Jezus! Maryja! Józefie Święty! miałzeby to być jakiś człowiek podejrzanój religii? to może heretyk, albo nawet komunista.

— *Don Augusto*. To najlepszy człowiek w świecie, bardzo lekki, ale honorowy jak Hiszpan, i mężny jak lew. Tylko, że w téj chwili leży, przekłuty na wylot przez owego Anglika, od którego was wczoraj oswobodził.

— *Donna Flora*. Ave Maria purissima mi padrona!

— *Don Diego*. Sant Jago di Compostella mi padron!

— *Don Augusto*. Tak jest nie inaczej. Tego rana, zawołano mię niby do chorego do klasztoru Mariawitów, a tam się w ogrodzie zaraz po mojem przyjsciu bito na szpady: jakiś ogromny An-

glik z Francuzem średniego wzrostu zwinnym i nadzwyczaj zręcznym. Anglik został rannym tu i owdzie razy kilka ale nie głęboko, ale naraz pada Francuz, przeszyty z boku nad wątrobą zupełnie na wylot. Rysopis dany mi przez Donnę Florę w zupełności przypada na niego, i przypominam sobie, że go nazwano imieniem Emila. Teraz leży w samym klasztorze, z którym zdaje się, że Francuzi tutaj mieszkający w bliskich żyją stosunkach.

— *Don Diego*. I takim sposobem staliśmy się przyczyną śmierci naszego bliźniego?! O święty Filipie z Alkantary, i święty Jacku z Kallatrawy! moi podpatronowie.

— *Donna Flora*. Ave Maria purissima, concebida sim peccado! Don Diego zakupuj msze na jego intencyją: przynajmniej dwanaście cichych i sześć wotyw; czém prędzej na łeb na szyję leć do kościoła.

— *Don Diego*. Lecę Donna Floro o bogobojna małżonko moja! lecę właśnie do Mariawitów, gdzie leży ten biędny Francuz, już zapewne konający.

— *Don Augusto*. Jeszcze wszelkiej nie tra-

cę nadziei, lubo jest w bardzo niebezpiecznym stanie, to przyznać muszę. Może téż z łaski Najwyższego za waszém usilném wstawieniem się, i z moją pomocą, wybrnie ten młody, silny i zdrowy człowiek z tego okrutnego położenia. To jeszcze szczęście, że tak na wylot przedziurawiony, że krew odpływać może na zewnątrz i z wewnątrz płuc nie gniecie. Musiałem mu puścić krew, zaprowadzić skubankę w ranę z przodu i z tyłu; walczę jak mogę przeciw grożącej mu śmierci, znam wszystkie nowożytne sposoby chirurgiczne. Boże! jeśli się uda ocalić tego biednego, zacnego człowieka, to Tobie Jedynemu przypiszę całkowitą zasługę i chęłpić się nie będę z dzieła swojego. Zresztą wszystko to musi być pokryte nieprzejrzaną zasłoną tajemnicy, bo pojedynki u nas srogo zakazane, jak to państwo wiecie.

* * *

Don Diego dał na mszę na intencją ranego, piękna Donna Flora modliła się za niego, Don Augusto leczył go, i już od téj chwili co-

dziennie przychodził składać raporta o zdrowiu pana Emila de Beauregard, szlachcica francuskiego, który się tak bohatersko ujął za honorem starego Meksykańczyka.

Wzmagala się w czulém sercu Donny Flory, a nawet w skrzeplėj duszy Don Diega litość dla młodego Francuza, który tak okrutnemi mękami musiał przepłacić usługę bliźniemu oddaną; wzmagala się litość, zwłaszcza, że Don Augusto codziennie przybywał z serce wzruszającemi wieściami od młodego Francuza, który w srogich cierpieniach najlepszym się pokazał chrześcijaninem, i modlił się nie tylko za duszę swoją, lecz nawet za duszę zabójcy, a na domiar cnotliwych uczuć, nie zapomniał o tych, którzy się stali niewinnemi - powodami jego nieszczęścia, nie zapomniał o Don Diegu przezeń wybawionym ze szponów srogięgo Anglika.

— Ach Don Augusto, serce moje napelniasz najżywszą radością! — wołał z zapalem stary Meksykańczyk, egoista, jak drugiego nie było ani w Europie, ani nawet w Ameryce. — Ach Don Diego! ja wiem jak są skuteczne modły ko-

nających, idą prosto do nieba, byleby tylko konający nie uzdr....

Zaciął się stary samolub, a Donna Flora pojmując co miał w myśli, rzekła żegnając się:

— Ave Maria purissima, concebida sim peccado! coś panu zapokutowało złego w duszy Sennor Don Diego?!

* * *

A później powolusieńku, powoli wracać zaczął Emil de Beauregard do zdrowia, co dzień lepiej o nim wróżył Don Augusto, już się zaczął poddawać nadziei, już się śmiał ludzi pewnością; już się cieszy prawdopodobieństwem pewności, Viva Sant Jago de Compostella! już ma pewność, już dzierży w swoim ręku niezawodność. A wreszcie monsieur Emil de Beauregard, syn wice-hrabiego już się przechadza po ogrodzie klasztoru Mariawitów; w tych a w tych godzinach, można go widzieć wybladłym, znękanym, z twarzą natchnioną, zwróconą ku niebu modlącym się z rzewnością.

Don Diego i Donna Flora patrzą nań z za krat, i uznają go pół świętym, i niczego więcej

nie pragną jak widzieć go raz w swym domu wynurzyć mu swe żale, wdzięczność, polecić się modłom jego i nakłonić go aby został zakonnikiem, i rozpoczął żywot tak święty jak niegdyś dokonał po ranach i boleściach Ignacy de Loyola.

I to im dane było. Blady, lecz piękny Emil wstąpił w strzeżone progi starego Meksykańczyka otoczony urokiem cierpienia i świętości. Przyjmuje ze łzami w oczach czule oświadczenia wdzięczności i przyjaźni, błogosławi, wzrusza, buduje, podnosi, zachwyca, lubo bardzo łamanym językiem po hiszpańsku przemawia.

Owe schadzki odbywają się tajemnie, z wielką ostrożnością, w przytomności obecnego tu, do słupa przykutego potworu.

A wszystkimi krokami mniemanego Emila de Beauregard kieruje niegodny przyjaciel domu, z sumienia wyzuty kuzyn, bezczelny lekarz, fałszywy bigot, obecny tu Don Augusto de Barrameda i systematycznie psuje duszę kuzynki swojej przez trzecią osobę, aby mógł później osiągnąć jej rękę i pochłonąć majątek.

* * *

Bo kimże właściwie był ów mniemany Emil de Beauregard? -

— Awanturnikiem, o jakich we Francyi nie trudno, awanturnikiem gotowym cię bronić do upadłego, a w potrzebie zabić w pojedyku, gotowym ostatni grosz dla ciebie wydać aby cię ufetować, a w potrzebie gotowym cię odrzucić z życia i z honoru.

Emil de Beauregard nazywał się po prostu Jaques Fiffagnac, był rodem z Gaskonii, służył przez lat kilka w wojsku jako huzar i woltyżer a potem wyuczywszy się mustry, fechtowania, jazdy konnej, fanfaronady i tysiąca figlów, przeszedł na aktora, i przez parę lat zachwycał publiczność drugiego rzędu swą szaloną wesolnością i nieporównaną werwą.

A razu jednego wystąpił na scenę polityczną, jako zacięty nieprzyjaciel istniejącego porządku, i teoryje swoje wykladał na barrykadzie prochem i ołowiem.

Inny awanturnik, jakiś dawny kapitan artylerji szwajcarskiej, odniósł wówczas zwycięstwo; Jaques Fiffagnac musiał ustąpić z francuskiej sceny i uciekł do Hiszpanii, gdzie doświad-

czywszy nader rozmaitych kolei losu pod różnymi nazwiskami i w niejednym zawodzie, zawałęsał się nareszcie do Sewilli, i przypadkowo zaraz w pierwszym dniu pobytu zapoznał się z Don Augustem. Czujny, przytomny, chytry intrygant natychmiast poznał, jakie ogromne może wyciągnąć korzyści z talentów tak przystojnie wyglądającego awanturnika, i umyślił go użyć do przeprowadzenia swoich podstępnych celów.

Nie bardzo trudno było nakłonić Francuza, spragnionego pieniędzy i awantur miłosnych, do zbalamucenia jednej z najpiękniejszych kobiet Sewilli; wprawdzie nie będąc z gruntu złym człowiekiem, nie mógł pojąć dla czego Don Augusto pragnie dokonać tego dzieła popsucia, ale chytry lekarz wmówił w Gaskończyka, że to jego pięknej ale za nadto cnotliwej pacjentce niezbędnie potrzebne do odzyskania zdrowia, i do *uzyskania praw dziedzictwa* w razie bardzo łatwo nastąpić mogącej śmierci starego a skąpego Meksykańczyka.

Teraz pojął Gaskończyk i przypomniał sobie, że podobną usługę musiał niegdyś oddać Antenor jakiejś damie w Sparcie; nawet mu

przyszło na pamięć, że nie jednemu Francuzowi wydarzyło się coś podobnego w Niemczech za dawnego cesarstwa.

Nader był dumnym z wyboru Don Augusta, i spoglądając z wyrazem nietajonego zadowolenienia w zwierciadło, rzekł:

— Ma foi Don Augusto, nie mogłeś wybrać na odrodziciela Meksyku piękniejszego człowieka, tę sprawiedliwość oddać ci muszę.

I zaprzął się sprosny Francuz do haniebnego dzieła korrupcyi z wielką ochoczością. Do uzyskania wstępu do niegościnnego domu Diega, potrzeba było wyświadczyć mu jakąś ważną usługę; więc odegrano na cyrku ową bohaterką komedyją z mniemanym Anglikiem, który w istocie był Niemcem, i za pieniądze dał się przed publicznością wyszturchać i wrzucić do areny. Pojedynku, jak się łatwo domyśleć można, wcale nie było, a podczas mniemanej kuracyi na ranę odniesioną w pojedynku, Monsieur Jacques Fiffagnac brał dla wiadomych mu przyczyn Roob Laffecteur, i poddał się głodnej kuracyi, z wielu powodów potrzebnej do dokonania dobrego dzieła.

Teraz wiész kolego kim był ów uroczy Emil de Beauregard, którego ten oto zbrodzień wprowadził do domu cnotliwój, spokojnej Donny Flory, aby jój wydrzcć cnotę i spokojność.

* * *

— To jest smutną, aż zanadto niezaprzeczoną prawdą, że litość chrześcijańska w sercu młodej kobiety, powzięta dla młodego człowieka, łatwo się przemienia w jakieś tkliwsze uczucie prowadzące do namiętnych pragnień; a to jest jeszcze smutniejszą i na nieszczęście pewną prawdą, że serce najlepiej strzeżone przez religiją, wstydlivość, uczucie swych obowiązków i przyzwoitość, bardzo często ulegnie wpływowi drażniacój namiętności, spotęgowanej przez intrygę logicznie przeprowadzoną, i przez okoliczności umyślnie sposobność ułatwiające.

Samemu wpływowi zręcznie z szatańską logiką wznieconej miłości, byłaby Donna Flora nie uległa, lecz oprzcć się nie zdołała podstępnej taktyce, jaką przeciw jój honorowi wymierzył niegodziwy lekarz, przyjaciel domu i krewny.

Tak niestety! walczyła z sobą, jak lwica z owym wężem co go nazywają *Boa constrictor*, a nareszcie wyszedłszy zwycięzko z kilku potyczek, upadła w czwartéj czy piątéj, tak zupełnie jak tylko upaść można. Sennor Barrameda czuwał nad tém dziełem popsucia, nasuwał okoliczności bawiąc starego Meksykańczyka, którego nieufność najzupełniej uspić zdołał, cieszył się upadkiem owéj kobiety, *którą postanowił zaślubić*, potem umiejętnie hamował zapaly uwodziciela, *aby czyny jego bezowocowo nie przeszły*; później postarał się o dowody piśmienne, aby w następstwie czasu mógł wystąpić z niemi, nareszcie upewniwszy się, że już dzieło dokonane i skutek niezawodny....

* * *

— I cóż myślisz kolego, co się później stało? — spyta doktor Donadio przerywając sobie mowę.

— Nie zgaduję, tylko to wiem, że jakoś mi się w głowie mać, przewiduję nową jakąś szkaradną zbrodnię.

— I nie mylisz się bynajmniej, bo istotnie jednego poranku, jeszcze bardzo rano Don Augusto przybył do domu Meksykańczyka, z wyrazem głębokiego zmartwienia na twarzy, a wypytany o przyczynę tego, oznajmił z wielką ostrożnością, że téj nocy biédny Emil musiał uciekać do Portugalii przed policyją więzić go chcącą i przykładowie ukarać za zbrodnię pojedynkowania się w obrębie murów klasztornych.

Don Diego żałował rycerskiego Francuza, który w cierpieniach tak się szczerze nawrócił do Boga. Donna Flora nic nie mówiła, bo okropnym bólem przeszyla, oniemiata.

— Ale przecież będziecie się listownie znośić z sobą mój zacny doktorze? — zapyta Don Diego Don Augusta.

— A rozumie się, pomiędzy nim a mną przyjaźń zawarta na całe życie; nie znałem nigdy zacniejszego człowieka,— odpowie Sennor Barameda.

— Więc racz mu przesłać przy piérwszój sposobności zapewnienie, że go nie zapomniemy w naszych modłach, ani rannych, ani południo-

wych, ani wieczornych, ani nawet nocnych. — rzecze dalej Don Diego.

— Bardzo ci dziękuję o religijny i dobroczynny Sennor Don Diego za tę szczodrobliwosć twoję, ale możeby warto było przesłać dobremu Emilowi cokolwiek pieniążków, bo on bardzo biędny w téj chwili, podupadł zupełnie w skutek długiej choroby, która mu nie pozwalała oddawać się żadnemu zatrudnieniu; a przecież cierpienia swoje poniósł w obronie honoru twojego Sennor Don Diego.

— A to inna kwestyja Sennor doctore! lecz ja znam kodeks honorowy bardzo dobrze, i wiedząc że Emil jest zaszczytnym, dobrze wychowanym i szlachetnym młodzieńcem, boję się obrażać go jakim datkiem pieniężnym, bo podobne honorowe usługi i zasługi tylko się, że tak powiem, kalają, niszczą, wymazują z serca nadgroda pieniężną. Ale jeżeli jednakże parę uncyj??...

Don Augusto spojrział nadzwyczaj zimno i szlachetnie na Don Diega, i natychmiast na miejscu zmienił przedmiot rozmowy.

Dobrze to zauważyła Donna Flora, w jaki sposób i dla czego Don Augusto zmienił tok ro-

zmowy, i wstydząc się nieszlachetności małżonka swojego, zalała się żywym rumieńcem, który nie uszedł bystrego oka Don Augusta. W długą wdał się rozmowę z Don Diegiem i znalazł, że jego puls od pewnego czasu bardzo mocny, oczy nadzwyczaj żywe i cera zdrowa.

— Zakwitłeś nam jeszcze raz jeden, tak jak niektóre drzewa kwitną w jesieni, — rzekł zręczny doktor do starego zeschłego pacjenta, i temi słowy wmawia węć nieposiadane siły i zdrowie, wzbudza w nim niesłychanie dobry humor.

— Ale od pewnego czasu małżonka twoja jakoś blada i smutna, — rzecze dalej doktor do pacjenta półgłosem, odprowadzając go na bok.

— I ja to zauważyłem, i nie wiem czemu to przypisać; wybadaj ją, bardzo cię proszę, ja tymczasem pójdę wyszukać kilka kwadrupłów dla biédnego Emila de Beauregard; ale właściwie to nie moja wina, że się pojedykował z tym gburem angielskim, mogło się bardzo dobrze obejść bez wszelkiego pojedynku, bez tego przelewu krwi. No idź pogadaj z donną Florą.

* * *

— Pani! trzeba przyjść w pomoc temu biédakowi Emilowi, — rzecze wręcz doktor do Donny Flory; — ach! gdybyś wiedziała jak on płakał, jak rzewne łzy wylewał udając się do téj ubogiej Portugalii; widać że się lękał biédy; a wszystkie fundusze wyczerpane; podczas téj długiej choroby nie mógł się zajmować swemi interesami, musiałem mu pożyczyć pieniędzy na drogę, a pani wiesz, że ja wiele nie jestem w stanie zrobić, i moje fundusze ograniczone, żona ciągle słaba, córek wychowanie bardzo wiele kosztuje. Ah! biédny to chłopak ten Don Emilio; we Francyi prześladowają go za jego wierność dla Burbonów, tutaj w Hiszpanii zagroził sobie drogę tym nieszczęsnym pojedynkiem. Trzeba coś zrobić dla niego koniecznie, to jest świętą powinnością waszą; Bóg wam nie skąpił darów bogactwa, użyjcie ich po chrześcijańsku na dobro tych, którym winniście wdzięczność. Donna Floro, mizerynych kilka uncyj złota, to nie dosyć dla człowieka, co przelał dla was tyle krwi i tyle zniósł boleści. Błagam cię Donna Floro, ty masz szlachetne serce, ulituj się nad szlachetnym cudzoziemcem.

Donna Flora wyglądała jak osoba przerażona, płakała z żalu, rumieniła się ze wstydu, i nareszcie uspokoiwszy się, rzekła:

— On płakał opuszczając Sewillę, płakał z bojaźni biedy, jak mówisz Don Augusto? Boże! jak mi to rozrywa serce, że tak świetny człowiek do takiej nędzy przyprowadzony. Skąpstwo Don Diega oburza mnie; jabym poświęciła ostatni marawedis dla tak dobrego przyjaciela; ależ na miłość Boga, ty znasz moje położenie doktorze; wiesz, że mi Don Diego żadnych nie powierza funduszów, że mi wydziela uncyją po uncyi na ubiór, i nawet z bojaźni żebym zanadto nie wydawała, nie pozwala mi się zajmować gospodarstwem w domu, tylko sam się niém trudni. Ja nie mam pieniędzy!

— Ale masz drogocenne brylanty; zastaw ich część i prześlij biédnemu Emilowi dobrą kwotę, którą będzie mógł rozpocząć zyskowną jaką spekulacją w Portugalii.

— Brylanty? to prawda, mam drogocenne brylanty, lecz wszystko to są dary małżonka mojego, i wiesz jak on lubi, żebym się w nie ubierała przy każdej sposobności na bale, w te-

atrze, na gonitwach i w cyrku; — rzekła Donna Flora, staczając walkę z własną obawą i z litością, którą w niej wzbudzał smutny los *ukochanego* cudzoziemca.

— Donna Floro, — powie Don Augusto, wtopiwszy bystre oczy swoje w twarz młodej mężatki, — Donna Floro, zdaje mi się, że chyba dopiero za jedenaście miesięcy lub za rok będziesz miała sposobność występować w brylantach.

— Skąd to mniemanie? — rzeknie z przerażeniem żona starego Meksykańczyka.

— Donna Floro! czemuż to przerażenie, właśnie w chwili, gdy najżywsza radość powinna cię przejmować? Ale może nie umiesz sobie zdać sprawy z stanu twojego, w którym jesteś po raz pierwszy?

Flora milczała i drżała na całym ciele.

— Czemuż ten przestrah Donna Floro? czy nie wiesz, że ziszczasz najgorętsze życzenia twego szanownego małżonka? On niczego nie pragnął więcej, jak widzieć się odrodzonym w potomku, *w krwi swojej*.

Flora zbladła jak trup, kolana załamały się

pod nią, usiąść musiała. Zimny pot występuje na jój twarzy.

— Na Boga, takie wzruszenia mogą się stać fatalne dla płodu, który nosisz pod twém sercem, a dopiéro ten płód zabezpiecza ci pewność lepszej przyszłości,— może o'tém nie wiesz Donna Floro? Winszuję ci z serca, oddawna tego pragnąłem. Ale teraz wróćmy znów do Emila de Beauregard. Donna Floro, idź za przykładem naszych bogobojnych matek, na czas ciąży przywdziej suknie zakonne i zamknij się z mężem w jakimś ustroniu; przecież macie willę z przepysznym ogrodem na przedmieściu. Nie będziesz potrzebowała brylantów na cały ten czas, możesz mi je tedy powierzyć, a ja niemi wydobędę przyjaciela z toni.

* * *

I uniósł brylanty wartujące przynajmniej z dziesięć tysięcy dollarów, aby ich ceną wyposażyć biédnego Francuza leżącego.... ah! dowiedziałem się później gdzie leżał; Don Augusto wie gdzie leżał, patrz! jak mu się iskrzą szkaradne, krwią zaszle ślępie.

A potem, gdy uniósł brylanty, znów wrócił do Don Diega, i z wyrazem najwyższej radości, obejmując go ramionami, rzekł doń:

— Don Diego! spiesz do żony swojej i padnij przed nią na kolana; wystaw sobie, ona jest w błogosławionym stanie, i sama o tém nie wiedziała; ah cóż za niewinność! Don Diego raduj się! będziesz ojcem!

O szczęściu starego skąpca nikt sobie nie zdoła zrobić wyobrażenia; dobrze że nie oszalał, a z wielkiej radości dał Don Augustowi dla Emila nie cztery uncye złota jak zamierzał, lecz dziesięć.

* * *

I wszystko poszło prawidłowo, najpiękniej, najregularniej, jak sobie tylko życzyć mógł genialny doktor Barrameda.

Donna Flora powiła przepysznego synka. Don Diego z ciągłego zachwycenia i żywej radości w miesiąc potem nagle umiera, a potem także w miesiąc i jakoś także bardzo nagle żona Don Augusta umiera, a nareszcie po stoso-

wnym odstępie potrzebnym na oficjalne odbycie żaloby, Don Augusto żeni się z przedziwnie piękną, młodą, milionową Donna Florą, wyjeżdża w podróż do Włoch, do wysp Kanaaryjskich, bawi się, ale wraca, i co wszystkich zastanawia, znów obejmuje swe obowiązki w szpitalu obłąkanych; nawet z swą piękną żoną mieszka w tym szpitalu, w tym budynku, w obrębie którego dyszy do dziewięciuset chorych, niechlujnych ludzi.

Nikt pojąć nie może dla czego doktor Barrameda, który za żoną swoją wziął z milion posagu, który żyć może wygodnie nie pracując, dla czego doktor Barrameda poddaje się tak uciążliwym obowiązkom dyrektora szpitala obłąkanych.

Ale, mieszkanie bardzo piękne, wygodne i bezpieczne w tym szpitalu do więzienia podobnym, a Don Augusto od czasu jak ma bardzo piękną żonę, stał się zazdrosnym; od chwili zaś, gdy jest majątnym, staje się chciwym.

Piękne wygodne mieszkanie, w którym łatwo można upilnować żonę, przytém tysiąc piastrow rocznego dochodu, i to nie jest fraszka

nawet dla milionowego pana, a milionowi panowie już zasmakowali w groszu, już pojąć nie zdołają, jak można żyć bez posiadania, duszenia i powiększania majątku.

I tak przez majątek jeden staje się zwierzęciem, a drugi drapieżnym zwierzęciem. A tak przez łatwo zdobyty majątek, jeden odstąpi od litości, a drugi nawet najmędrszy od wszystkich zasad rozumu, któremi się dotychczas rządził. Otóż chciwość, chciwość haniebnie drobnostkowa stała się przyczyną zguby dla tego potwora, który dotychczas przeprowadzał swoje zbrodnie na tak wielką, okazałą skalę, iż się nikt nie mógł domyśleć, że je popełniał. Otóż to prawdziwe przekleństwo, które na człowieka sprowadza straszliwa chęć posiadania więcej, niż mu potrzeba do spełnienia na ziemi godnie tego krótkiego żywota; otóż to przyczyna zguby nie jednej istoty prowadzącej aż do dojrzałego wieku cnotliwe życie.

Ja byłem w ówczas adjunktem tego szpitala, skąpo płatnym, mężem i ojcem kilkorga dzieci. Z jego siostrzenicą się ożeniłem, on mię wspomagał dopóki sam żył z zarobionego grosza,

i miał serce dla tych, co się ucierali z losem. Lecz skoro raz szatany pożądliwości i chciwości zakolatały w serce jego, głuchym się stał na cierpienia bliźnich, a gdy raz dopiął celu pragnień swoich, wówczas pogardzać zaczął tymi, którzy w walce z losem nie pokazali się zwycięzcami.

Czyhałem na to miejsce dyrektora szpitala obłąkanych, przyznać to muszę; usposobienie moje naukowe, zasługi, pokrewieństwo z bogatym wujaszkiem dawały mi do tego prawo; on nie miał już względu dla swego siostrzeńca, spoglądał na mnie, jak orzeł na niegodnego gada, od chwili gdy się źle zdobyтым groszem wznosił po nad sferę poczciwie pracujących ludzi. Nawet mnie powolusieńko wydalil z domu swojego, bo już go raził widok potrzebujących, już wolał żyć i bratać się z szczęśliwymi synami ziemi, do których nie przejdzie żaden jęk

Wojna Za
pły-
yłał
ra-

dzieć ośmiuset obłąkanym, których stan codziennie się zmieniał.

* * *

Wówczas to wtargnął do szpitala obłąkanym straszliwy tyfus, panujący epidemicznie w całym mieście. Ofiary padały za ofiarami, codziennie po kilkadziesiąt trupów wynoszono z tego domu, i zakopywano ich bez trumien i błogosławieństwa na okolicznych polach. Śmiertelność do tego stopnia ogarnęła mieszkańców tego zakładu, że nawet biędni waryjaci spostrzegli się na ubytku swych współtowarzyszów, i z smutkiem serce rozrywającym odzyskując w chwili ogólnego niebezpieczeństwa część instynktu własnego zachowania, spoglądali na siebie jak skazani na śmierć, żegnali się z sobą, modlili się z szczerą rzewnością, jaka zwyczajnie nie dana obłąkanym.

Nigdy w życiu swoim więcej nie cierpiałem; widziałem w tém nieszczęściu jakiś wyraźny palec Boski, jakieś ożywcze siły, które pozabiając życia, przyprowadzały nie jednego, za

zupełnego idjotę uważanego, chociaż na chwil kilka, do uznania duszy swojej, do przytomności, do zdania sobie sprawy z swych uczuć, myśli, a nawet ostatnich powinności względem Boga.

Nieublagana śmierć szerzyła się w tym domu z coraz większą zajadłością; w dni piętnaście umarło dwieście obłąkanych, drugie tyle leżało w infirmeryi, i roznosiło zarazę na resztę ludności.

Pan dyrektor zagnalony nieodzowną potrzebą, musiał wyjść z swjej werandy i poświęcić się usłudze publicznej; musiał nawet przybrać dwóch doktorów z miasta do radzenia chorym, których liczba ciągle się powiększała do tego stopnia, że rada lekarska miejska zwróciła uwagę na tę zastraszającą śmiertelność ogarniającą cały zakład, i grożącą mu zupełną zagładę.

* * *

— Pomiedzy naszymi idjotami, którymi się posługiwaliśmy przy pracach w ogrodzie, był jeden atletycznie silny człowiek, który w skutek

uderzenia w głowę, stracił mowę i rozum, ale nie stracił słuchu, ani sił, ani pewnej, raczej zwierzęcej, jak ludzkiej pojętności.

Ten człowiek jadł za czterech, ale pracować umiał za sześciu ludzi, gdy szło o jaką pracę, wymagającą wielkiej siły muskularnej, i jedynym był do przesadzania drzew, do kopania sadzawek, do przenoszenia wielkich ciężarów.

Ale nareszcie i Mudo (tak się nazywał ów idjota) zapadł na panującą chorobę, i zanieśionym został z ogrodu do infirmary, gdzie stan jego pomimo zaradczych środków szybko się pogorszył do tego stopnia, że zapalenie ogarnęło jego głowę.

— Trzebaby mu przystawić ze trzydzieści pijawek na kark, a możebyśmy go ocalili Don Augusto, — rzekłem do dyrektora.

— Trzydzieści pijawek?! to w obecnym czasie kosztuje dziesięć piastrow (a); szkoda tyle pieniędzy dla takiego idjoty, który oddawna nie wie, co się z nim dzieje, i przejdzie z tego świata na tamten mimochodem, — odpowie pan dyrektor, odznaczający się od pewnego czasu

(a) Piastr hiszpański wart dziewięć złotych polskich.

skapstwem i nieubłaganą szorstkością, a ledwie skończył swą mowę, gdy *niemowa* zerwał się na siedzeniu i okropnym krzyknął głosem:

— Kłamiesz Sennor Barrameda; wiem, co się zemną dzieje, nie jestem niemową, nie jestem idjotą, udawałem tylko, by uniknąć więzienia w Afryce; ale chcę żyć koniecznie, i chcę, żebyście mię dobrze leczyli, nie żalowali mi niczego, a gdy mię postawicie na nogi powiem wam, gdzie mi Sennor Barrameda kazał pochować przed rokiem worek, w którym był *trup*, — jeszcze ciepły trup. Ha! ja chcę żyć koniecznie choćby nawet w Afrykańskim presidium.

Na tę nagłą i niespodziewaną odezwę wszyscy byliśmy jak porażeni, Dyrektor zaś, aż się zatoczył.

W tém zbliża się do chorego officer służbowy, który wszystko słyszał i pyta go:

— A gdzie ten trup, którego ci Dyrektor kazał zakopać?

— Nie powiem, aż mię wyprowadzą z choroby; ja chcę żyć koniecznie; słuchajcie panowie, trup jeszcze był ciepłym w worku — ho, ho! on myślał, że nie wiem co dźwigam —

myślał, że ja tak głupi, jak wyglądać usiłowałem. Dalej stawiajcie mi pijawki, nie żałujcie pieniędzy dla takiego, co wam wykryje kapitalną zbrodnię popełnioną przez pana Doktora. Bo zdaje się, że to on musiał zabić tego człowieka, którego ja zakopałem, nie powiem gdzie.

Nic już nie chciał powiedzieć więcej na wszystkie nalegania officera, tylko prosił, żeby go przeniesiono do innego szpitala i oddano pod opiekę ludzi, od Dyrektora szpitala obłąkanych niezależących.

* * *

— To jakoś djabło pachnie prawdą—rzecze officer służbowy do jeszcze w osłupieniu stojącego Dyrektora szpitala.

Trzeba wiedzieć, że nikt w mieście nie lubiał doktora Barramedy od chwili gdy się zbagacił i zerwał stosunki z dawnymi przyjaciółmi.

— To prawdą pachnie, kapitanie? to prawdą pachnie, co ten szalbierz w gorączce plecie? cóż pan śmiesz mówić?

— To co myślę panie Dyrektorze — odpo-

wiedział officer milicyi municypalnej, umiejący doskonale pełnić powinności swoje policyjant-skie.

Gorzkie chwile zmartwień zaczęły się dla szanownego Don Augusta, po krótkim używaniu owoców intrygi i zbrodni; cha! cha! i te gorzkie chwile zmartwień, upokorzeń, boleści nie miały się skończyć aż ze śmiercią; nieprawdaż don Augusto de Barrameda Hidalgo starój Kastylii, że się dopiero skończą z twoją śmiercią?

Ofiara do marmurowego słupa przykuta, ryknęła jak lew, aż zadrżały szyby na wysmukłej wieży dawnego minaretu Abderrhamanów, teraz za warownią dla pożarnój straży służącój.

* * *

Kapitan przywołał dwóch podoficerów, i kazał jednemu z nich nie odstępować ani na chwilę pana Dyrektora, drugiemu zaś polecił pilnować Muda, i z obawy by mu nie podano trucizny, zakazał mu dawać wszelkich lekarstw aż do dalszego rozkazu,

A sam poszedł do municypalności złożyć rapport o tém, co widział i słyszał w szpitalu.

Ayuntamiento nakazał śledztwo i przeprowadzenie Muda do osobnego szpitala.

Jeszcze tego samego dnia don Augusto usiłował uciec ze znaczną kwotą gotówki i z brylantami swój żony, ale dognano go i osadzono w więzieniu oskarżonych pod tak surową strażą, że nawet żony do niego nie przypuszczono.

Donna Flora była wówczas w piątym miesiącu ciąży, i kochała męża swojego nie tkliwą bezpośrednią miłością, lecz jako ojca swego dziecięcia, które ma przyjść na świat. Niczego pojąć nie mogła z tego obwinienia, lecz jakieś złowrogie przeczucia nękały ją, bo jój mąż we śnie tak dziwne wygadywał rzeczy, odganiał upiora swój pierwszej żony, cień don Diega, i marę owego młodego Francuza użytego przezeń na uwiedzenie Donny Flory i na wydarcie jój piśmiennych dowodów swój niesławy, któremi później zmusił ją do oddania mu ręki i majątku.

Straszliwe to były chwile bolesnych przeczuć dla młodej kobiety, która sama nie będąc szczęśliwą, lękała się jednakże o los tego co jój

nieszczęścia stał się sprawcą; a jeszcze tak rze-
wnie kochała pamięć uwodziciela swojego.

Ach dziwnym, nieodgadnionym Slinksem jest
serce kobiety! ona żyć chce kochaniem i kochać
gotowa własnego kata swojego, byleby udawał
że ją kocha i że ją z zazdrości ścina...!

Ale niepewność niedługo trwa.

Mudo dobrze pielęgnowany w szpitalu Aka-
demii przyszedł do zdrowia i okropne odłonił
tajemnice, wyznał, że przed dziesięcioma miesię-
cami i trzema tygodniami jednej nocy z niedzieli
na poniedziałek Dyrektor Szpitala obłąkanych
don Augusto de Barrameda przyszedł do niego
spiącego sam jeden w szałasie ogrodowym, i ka-
zał mu ponieść za sobą rydel i ciężki worek jak
się zdaje sieczką napelniony, a długi na blisko
sześć stóp. Mudo ciągle udawał niemego i idjo-
tę, a podczas pochodu macając worek przechy-
lający się na karku swoim dostrzegł z niemalém
zadziwieniem, że on zawiera w sobie trupa lu-
dzkiego jeszcze ciepłego.

Barrameda poszedł aż do nowo wyszlamo-
wanéj sadzawki komunikującej z inną wyżéj
położoną, kazał wykopać dół w środku téj sa-

dzawki, tam wrzucić worek i pokryć go ziemią i kamieniami. Potém zaś otworzywszy za pomocą silnych ramion Muda wyższą śluzę, puścił wodę w sadzawkę, która téż aż do rana zupełnie ją zapełniła.

Mudo zaś, trzymany zawsze w odosobnieniu od innych, mieszkający sam jeden w szałasie, jak wprzódy tak i potém nic nie mówił.

A tak nasz Pan Dyrektor, myślał, że wody zapomnienia przeszły nad grobem przyjaciela swojego, że go pochował pod wodami sadzawki, tak jak niegdyś Madziarowie pochowali króla swojego Attyłę pod wodami rzeki w korycie Cissy.

Tylko że Attila pochowanym był w złotój trumnie a przyjaciel don Augusta po prostu w sienniku.

A kto był ów przyjaciel?

Wkrótce się wyjaśni, bo już upuszczają wodę z zasadzki, już kopią w środku sadzawki, już natrafiają na kamienie, już natrafiają na warstwę bieluteńkiego piasku, już z niego wydobywają jakiś duży worek.

Wielka ciekawość!

Urzednicy sądowi, policyjni lekarze i biegli wszelkiego rodzaju skupiają się.

W worku najprzód sieczka a potem trup mężczyzny dobrze zachowany, lubo leżał w wilgotnym piasku — twarz nie straciła ani rysów, ani nawet wyrazu.

Ale kto ten mężczyzna? — nikt go tu nie zna.

Młody, ubrany w porządne suknie.

Zanoszą go do altany ogrodowej.

Jakimsiś dziwnym przecuciem tknięta Donna Flora spieszy do altany, i na pierwsze wejście poznaje w trupie Emila de Beauregard, o którym mniema, że żyje obecnie w Meksyku, bo jeszcze przed kilkoma miesiącami doszedł list od niego.

— Don Emilio! — don Emilio! — krzyczy Sennora de Barrameda, omdlewa i pada.

Nie można się dotrzeźwić; — omdlała jeszcze zanoszą do mieszkania.

A świadkowie powiedzieli: — więc go znała, kiedy go poznaje; kto on jest?

Donna Flora nic więcej wyrzec nie chce pomimo najusilniejszych nalegań milczy i płacze. Straż otacza jej mieszkanie. Tęże samej nocy

młoda nieszczęsna mężatka, przewidując jakie ją czekają wstydy i bełości, zaczadza siebie i syna swojego.

Któż mógł przewidzieć, że tak młoda, łagodna i powolna kobieta zginie samobójstwem i popełniając morderstwo? ona, co nigdy muszce pokoju nie zamąciła, swoje i swych dzieci życie przerywa tak grzesznym czynem! Całą noc się modliła, modląc się zginęła,—modląc się, sobie, synowi zamordowanego i nieurodzonemu jeszcze dziecku mordercy śmierć zadawała;—czyż Bóg raczy wysłuchać modłów poprzedzających czyn tak okrutny?

Biedna Donna Flora, najpiękniejsza kobieta całego Meksyku, jedna z najpiękniejszych w Sewilli umarła grzeszną śmiercią i zapewne w téj chwili jest w piekle—O Santa Maria de los Dolores!

* * *

— Ale co się stało później?

— Don Augusto wie, co się stało — nieprawda wujaszku?

Otóż nie mu nie mówiąc, ani o znalezionym trupie, ani o śmierci jego żony i jej synku, przywieziono go ładnie i grzecznie w karecie, tu do téj altany, gdzie od razu zoczył na trzech tarczach, trzy trupy — ofiary swoje.

Mocnego był temperamentu don Augusto i silnej duszy hidalgo, ale tego widoku znieść nie mógł; padł na kolana jak zwyczajny grzesznik i krzyknął:

— Litości! litości! oh Boże dla mnie grzesznego człowieka; litości Floro, Jakóbie, Filipciu i ty Don Diego, któregoś struł nikotyną, i ty żono moja Balbino, którą udusiłem zabójczym gazem pruskim.

Od razu uległ ten człowiek zdumiewającej siły przed widokiem skutków swych zbrodni; i ten świetny rozum, który tyle razy w życiu wrócił zdrowie obłąkanym umysłem, ta silna, odważna, w tyłu niebezpieczeństwach zahartowana dusza, legła przecież, jak słabego dziecięcia serce, od razu, płasko, nikczemnie na widok kilku trupów wskrzeszających w pamięci jednego roku zbrodnicze uczucia i myśli.

Świadkowie ukryci wszystko widzieli i sły-

szeli, i wystąpili w chwili, gdy Dyrektor tego zakładu, przewodniczący od lat ośmiu dobroczynnym działaniom uzdrowienia obłąkanych, sam w szale rozpaczliwym oskarżał się o popełnienie tylu niewykrytych, nieznanych, zupełnie niespodziewanych zbrodni.

Biada takim, co w usłudze niesionej cierpiącym, własnych nie umieją zapomnieć cierpień, i chcą żyć, jak owi szczęśni synowie ziemi, którzy tylko dla biednego życia stworzeni, w używaniu pojmują zacność takiego zadania, jakiem jest życie. Płochu nie jeden wstępuje w ów cierniowy zawód lekarza, rokujący tryumfy, wziętość i to prawdziwe znaczenie jakie człowiekowi użytecznemu nie odmawia społeczność; ale jeśli nauka wyższa, obznajmienie się z cierpieniami ludzkości, jeśli przekonanie, że w naszym zawodzie zdobywać sobie trzeba krótkie tryumfy długimi staraniami, nie wzniesie człowieka po nad ogół bezmyślną ludzkości, wówczas najszlachetniejszy zawód lekarski staje się nikczemnym rzemiosłem, a nawet łatwym środkiem do popełnienia niesłychanych zbrodni. Któż prędkiej, jak lekarz, wtajemnicza się w życie domowe ro-

dzin nieznanym mu przed chwilą? któż łatwiej objąć może prawo rządzenia ich czynami, ich uczuciami? A jeśli lekarz przypuszczony, *za wynagrodzenie pieniężne* do tego przywileju, szafuje nim dla dogodzenia własnym brudnym namiętnościom, wówczas na nieubłagane zasługuje potępienie ze strony publiczności, a zwłaszcza ze strony swych współzawodników; i w tém się potwierdza dziś jeszcze mądrość ojca medycyny Hipopokratesa, że w przysiędze przezeń naznaczonej, przyjętym do grona lekarzy młodzieńcom, wyraźną obarcza wzdumą ze strony kolegów wszystkich występnych, co nie umieli utrzymać się nauką i uczuciem na wysokości szczytnego powołania swojego. Otóż ten człowiek, szlachcic Kastylijski, doktor medycyny kilku fakultetów, jeneralny officer zdrowia zwyciężkiej armii naszej, professor medycyny, kawaler kilku orderów, dyrektor tego ważnego zakładu, w wieku zbliżającym się do starości, stratował całą swą chlubną przeszłość najohydniej nogami dla zabezpieczenia sobie wygodnej przyszłości! i poświęcając honor i sumienie żądy ledwie w wieku młodzieńczym dozwolonych uciech zmysło-

wych, zagmatwał się w labirynt intryg i zbrodni godnych najzjadlejszego nieprzyjaciela ludzkości.

* * *

„Więc“ mówił dalej Doktor Donnadio—więc ani nie umilkł, ani sobie nie zadał śmierci, jak owa nieszczęsna młoda kobieta, której spowodował samobójstwo; nie! tego nie zrobił Sennor Augusto de Barrameda, jak to widzisz kolego, bo otóż stoi przed nami przykuty do kamiennego słupa;—tylko po prostu ogarnięty niesłychanym żalem na widok swój umarłej żony, wyznał wszystko jak najpięknie, zupełnie jak zwyczajny pokorny grzesznik.

Piorunem rozgłosiła się po całym mieście wieść o tych niesłychanych morderstwach, popełnionych przez lekarza. Nasz ciemny, fanatyczny, do nienawiści i wściekłych czynów zawsze skłonny lud, dowiedziawszy się o co idzie, krzyknął że wszyscy lekarze są albo szarlatanami, albo trucicielami, i że nareszcie wypada dać

im dobrą lekcją, to jest wytępić ich połowę ogniem i mieczem.

Wzięto się téż niebawem do wykonania tego miłego zamysłu, i zaraz w pierwszej godzinie zamordowano pięciu lekarzy na ulicach Sewilli, kilku zaś raniono wystrzałami, a pomiędzy temi znajdowałem się i ja tu obecny don Fadrique Donnadio, pokorny sługa szanownego kolegi. Strzelili do mnie, gdym z okna patrzył na ulicę, i ranili mnie w ramię nawet dość mocno, bo do dziś dnia ból w nim czuję.

Siła zbrojna wdała się natychmiast w sprawę, i parą wystrzałami z armat, od których zginęło ze czterdziestu ludzi, rozpędziło motłoch naszej doktorskiej krwi spragniony.

Otóż co zawdzięczamy wujaszкови, którego ja muszę teraz trzymać w zamknięciu, aby nie przyszedł szwagier Sparafulo pierwszy kat szlachetnego miasta Sewilli, i nie uciał mu umyślnie na to wymyślonym nożem głowy.

U nas bowiem nie ścinają głowy gilotyną, toporem lub mieczem, tylko skazanych na haniębną śmierć, duszą w garrocie, i potem dla przy-

kładu skracają odrzezaniem głowy długim nożem.

Tak haniebna kara jeszcze w Hiszpanii nigdy nie spotkała doktora medycyny, chociaż ich za świętej inkwizycyi tuzinami żywcem palono, nawet tu w Sewilli, jak to dowodzą napisy na kolumnie przebłagalnej postawionej w dziedzińcu uniwersyteckim.

* * *

Aleśmy się za nadto oddalili od kwestyi: nie powiedzieliśmy jeszcze jakim się sposobem tutaj dostał na najostatniejszego mieszkańca Sennor Barrameda, ten sam który niegdyś pierwszą tu był figurą, i rozrządzał losem dziewięciuset ludzi.

Otóż w samotném więzieniu, w którym go trzymano aż do zebrania się kwartalnej junty przysięgłych, otóż mówię w samotném więzieniu, gdy się pomiarkował z sobą i przypomniał sobie jakie go czekają przyjemności na tym świecie jeszcze, nim stanie przed Świętém obli-

czem Boskiej Sprawiedliwości, więc stracił głowę, zwaryjował.

Myślisz, że istotnie stracił głowę i zwaryjował kolego don Teodoro?

Ale gdzie tam!—udał obłąkanego; znajome mu były doskonale wszystkie fortele, któremi można oszukać najbystrzejszych sędziów i biegłych; —doskonale udawał waryjata, poddał się wszelkim próbom, niezliczonym męczarniom wyrównywającym inkwizycyjnej torturze, by się tylko wymknąć szwagrowi Sparafulo z owych zadusznych objęć, od których pęka grdyka i trzeszcza kręgi.

Brrr! dreszcze mnie ogarniają na samo wspomnienie, chociażem Hiszpan do widoku katuszy i krwi rozlewu od maleńkiego dziecka przywykły.

Brrr! Santa Virgen de los Dolores y de las Misericordias! Santa Maria Purissima! Santo Fadrigue de Echeverria mi Primero Padrone! Sant Jago de Compostella mi segundo Padrone! Sant Isidoro mi terceiro Padrone!

„Nie prawda don Augusto, że takie uściskanie diabła warto?”

* * *

„Cha! cha! cha! to się téż okrutnie lękał takich uścisków don Augusto de Barrameda! on taki amator wcale innego rodzaju uścisków! on tak łechczywy w szyi.

To też wolał udać waryjata, i pierwszy raz w życiu wystąpiwszy na scenę życia jako aktor, doskonale odgrywał rolę swoją nawet tak dobrze, że wszystkich zdurzył wyjąwszy mnie jeszcze lepiej znającego jego charakter i charaktery prawdziwych waryjatów.

Sądy kryminalne sumienniejsze są u nas, niżby można mniemać patrząc na nasz kraj, targany od tak dawna nienawistnymi namiętnościami. W tak ważnej sprawie jak sprawa don Augusta, generalnej rangi urzędnika, junta przysięgłych pragnęła mieć wszelkie dowody i rękojmię prawdy i winy, aby mogła jak najsprawiedliwiej wymierzyć karę.

Postępując tedy w duchu prawodawstwa

konstytucyjnego, Junta odroczyła wydanie wyroku na sześć miesięcy, i ogłosiła w całym kraju, mianowicie w wszystkich uniwersyteckich miastach, konkurs i sowitą nagrodę *dla tego*, który przed Juntą lekarską Sewilli dowiedzie, że don Augusto de Barrameda jest istotnie obłąkanym, lub że udaje obłąkanego.

Stawiło się kilku bardzo uczonych lekarzy na dowiedzenie, że dawny dyrektor szpitala obłąkanych udaje obłąkanego dla uniknięcia kary; a *ja* jeden tylko najmocniej przekonany o całkowitości rozumu wujaszka mojego, dowodziłem że istotnie jest waryjatem, ucierałem się przez sześć miesięcy z czterema lekarzami usiłującymi dowieść mi że się mylę, a nawet że chcę sądy w błąd wprowadzić, że popełniam *crimen lesae conscientiae*, na surową karę zasługującą zbrodnią.

Gorąco było wówczas wujaszкови, bo go przepuszczono przez różne bolące doświadczenia, jak naprzykład głód, pragnienie, zimno, gorąco, plagi i kropliste kąpiele, huki, sztuki, klucia i krajanja dla dowiedzenia że udaje wa-

ryfata; ale i mnie też
 będzie, bo w razie gdyby
 bym wzięcie u publiczności
 współobywateli, posadę,
 a nawet i wolność.

Na cóż się to nie wy-
 wujaszka, który w ostatnich czasach, z bogaci-
 wszy się zbrodniami, tak się niemiłosiernie a na-
 wet pogardliwie ze mną obchodził? Ale patrzeć
 jak będą dusili tak szlachetną szyję, na której wi-
 sialy ordery?! patrzeć jak będą ścinali tak mądrą
 głowę?! ale patrzeć na krew z moją krwią spo-
 krewnioną, która będzie spływała po nożu, rusz-
 towaniu, bruku aż do rynsztoka?! bah! wytaczy-
 łem mu wszystko, i wbrew mojemu sumieniu
 dowodziłem, że jest istotnym waryjatem, i że
 śmiercią karany być nie może za swoje zbrodnie.

* * *

— Bóg, Najświętsza Maryja Panna, mój pier-
 wszy patron ś-ty Fryderyk z Ecieveryja, mój
 drugi patron ś-ty Jakób z Kompostelli, mój trzeci
 patron ś-ty Izydor z Korduby raczyli pobłogo-

sławić pracy mojej, usiłowaniami miłosiernym dążącym do oszczędzenia wstydu poważanemu ciału medyków sewilliańskich i całemu rodzeństwu naszemu aż do piątego i szóstego stopnia.

Don Augusto de Barrameda uznany za najniewątплиwszego waryjata, i zamknięty jako maniak społeczeństwu ludzkiemu nader szkodliwy tu w czubkach; gdyby zaś przypadkiem przyszedł do zdrowia, wówczas w sposób nam wiadomy da gardło, wypowiedawszy się wprzód i przebywszy godzin dwadzieścia i cztery w kaplicy grobowej, obwieszonj z wielką okazałością kirem i oświeconej tysiącem świec.

Otóż takim sposobem dostał się wujaszek w moje ręce, i takim sposobem w nagrodę zasług i skutkiem uznania zdolności moich, ja zostałem mianowany dyrektorem tego zakładu obłąkanych.

Cenę zaś tysiąca piastrów wyznaczoną za przekonanie Junty przysięgłych poświęciłem na zakupienie wieczystych mszy za duszę ś. p. donny Flory i jej dziecka. Z kolosalnego majątku don Diega nie wiele zostanie po opłaceniu kosztów konkursu i procesu, zwłaszcza po ufundowaniu

kaplicy przebłagalnej w obrębie tych murów; resztę oddano spadkobiercom, to jest synowcom i synowicom nieboszczyka don Diego, którzy się zgłosili niedawno.

* * *

Otóż i koniec téj nader smutnej historyi rozgłoszonej we wszystkich dziennikach Hiszpanii, Portugalii, Meksyku i Brazylii, wszędzie gdzie tylko zaszedł nasz lub pobratymców naszych luzytańskich język.

A w ciężkich muszę więzach trzymać wujaszka mojego, bo już raz w przestanku jaśniejszym, w którym przedzierać się zaczęły promienie rozumu do obłąkanéj duszy, don Augusto namawiał infirmerów do ułatwienia mu ucieczki, i o mało co nie nakłonił jednego z nich do wyświadczenia mu téj usługi. Byłby mię pięknie wykierował mój poprzednik za uratowanie go z pod katowskiego noża! Od tego czasu trzymać muszę wujaszka w ciężkich więzach pod zamkami i zasuwkami ogromnej wielkości; a najwięcej jestem niespokojnym, gdy on się zaczyna

uspokajać, gdy nie ryczy, wyje i nie targa się w więzach. Wówczas to następują owe interwalle lucida, w których wujaszek ma przytomność i strasznie pragnie wydostać się na wolność wszystkimi możliwymi sposobami. Gdyby go w téj chwili widział gubernator, szef polityczny lub arcybiskup odwiedzający od czasu do czasu ten zakład, toby don Augusta uznano za zdrowego i poproszono by go na rusztowanie, aby dał na sobie wykonać wyrok śmierci przez uduszenie żelaznym halsztukiem, od którego straszliwie kręki trzeszczą, a język wypada z ust na ćwierć łokcia. Nie! żal mi wujaszka, i jak go napadają chwile rozumne i tęsknoty do wolności, wtenczas tu schodzę, drażnię się z nim, wystawiam mu wszystkie męczarnie egzekucyi śmiertelnej, wzruszam go aż do głębi serca, przestraszam i na ówczas wpada nazad w owe szalły, w których się targa, wije, w których zgrzyta zębami, klnie i kopie. Wolę go widzieć takim wściekłym, wtenczas jestem spokojniejszym i cięszę się myślą, że przecież raz starga się owe ciało, w tych twardych więzach.

*

*

*

Doktor Donadio umilkł, i pytające we mnie wlepił oczy, jak gdyby żądał mojego zdania o tój straszliwój tragedyi.

— Kolego! — rzekłem — okrutne jest twoje posłannictwo, za nic w świecie niechciałbym go pełnić.

— Czynię to dla honoru medycyny i krwi mojej — odpowie Donadio.

— Ależ drażnić człowieka, bliźniego swojego, umyślnie, aby się wściekał?! Dalibóg wolałbym po prostu zadać mu truciznę: kilka granów nikotyny położy koniec i jego cierpieniom i twoim obawom. Nieprawdaż don Augusto, że wolisz być otrutym od razu? Nikotyna to trucizna szybka jak piorun, musisz o tём wiedzieć.

Sennor Barrameda odpowiedział mi długim, wściekłym, wilkołaczem zawyciem, i chciał mię kopnąć nogą, ale mnie dosiadać nie mógł.

— Widzisz — on wcale śmierci nie pragnie, on woli żyć nawet w tём miejscu, w tych ła-
chmanach, w tych więzach. A potём za nic w świecie nie chcialbym sobie obciążać sumienia żadnym zabójstwem — rzecze dreszczami przejęty doktor Donadio.

— I wolisz sobie obciążać sumienie zabójstwem duszy? zabójstwem tego, co ma być wiecznym w człowieku? Czy nie więcej grzeszysz?

— Jakto? nie pojmuję, — ja zabiję w nim duszę? czy taki potwór jak on ma duszę?

— Tak dobrze ją ma jak ja i ty i jak ją ma najlepszy człowiek w świecie. Sennor Donadio, wiesz co ty robisz temi ciągłymi trapieniami tego grzesznika? Nie dajesz mu przyjść do siebie, nie pozwalasz mu się zastanowić nad swą przyszłością, nad swemi grzechami, i nad t^ęm co on Bogu winien, którego tak ciężko obraził. Oh źle się bawisz Sennor Donadio, bawisz się nie po chrześcijańsku lecz po pogańsku. Nie! wy tu jeszcze w Hiszpanii nie zrozumieliście Chrystyjanizmu: pomimo tych wspaniałych kościołów, jeszcze tu wszystko pachnie krwawym druidem i stosem inkwizycyi. Maurowie Korduby i Grenady godniej od was pojmowali wartość duszy, o mściwe Audaluzyi dzieci. Tak! wzywam cię kolego na miłość ukrzyżowanego Boga, — przestań trapić tego człowieka, i gdy okazywać będzie przytomność umysłu nie rozdrażniaj go, nie obrażaj, nie przestraszaj, lecz owszem

przedstawiaj mu, że Bóg nieskończenie miłosier-
ny największemu, szczerze żałującemu grzeszni-
kowi przebaczyć może najczarniejsze zbrodnie.
I dobrego sprowadź mu spowiednika, kapłana
w religiją szczerze wierzącego, niech go nakła-
nia, aby poniesieniem.....

Przerwałem sobie sam mowę mierząc oczy-
ma ofiarę przykutą do kamiennego słupa, która
na mnie zdziwionemi, łaknącemi patrzyła źre-
micami.

— Jakiem poniesieniem? — poniesieniem cze-
go? — zapyta doktor Donadio z gorączkową nie-
cierpliwością.

— Aby pokorném poniesieniem zasłużonój
kary, przebłagać zasłużony gniew Boga.

— Santa Maria purissima concebida sim
peccado! ty chcesz, żeby się dał zimną krwią
udusić i zarznąć przez pana Sparafulo na ru-
sztowaniu w obliczu całej Sewilli i połowy An-
daluzyi zebranój na to widowiskó?

— Tak jest, — takby wypadalo; ja przynaj-
mniej, na jego miejscu, popelniwszy tak okropne
zbrodnie i widząc się w kajdanach skazanego na
wolną ale niechybną śmierć, ja przynajmniej

tak zrobylbym, i jeszczebym cenil się szczęśliwym, że mi jeden pozostaje środek do zniewolenia sobie Nieba przezemnie tak ciężko obrażonego. Ja wolałbym umrzeć, niż żyć w tych ohydnych kajdanach. Och! u nas tam na północy inne pielęgnujemy wyobrażenia o godności chrystyjanizmu i życia; któżby u nas takim cierpieniem i kosztem przyszłości na drugim świecie chciałby sobie okupywać przedłużenie takiego życia, jakie twoja okrutna litość mu sporządza? Nie, Sennor Donadio, źle się bawisz, bezbożnie się bawisz z duszą twego grzesznego wujaszka.

Opuściłem szpital obłąkanych w Sevilli, zgromadzą przejęty.

* * *

W kilka miesięcy potem wyczytałem z gazet, że Don Augusto de Barrameda poniósł śmierć na rusztowaniu z unoszącym męstwem i budującą skruchą.

Może do téj śmierci przyczyniły się rady syna północy, zabląkanego aż do Hiszpanii?....

ROZDZIAŁ V.

Bohaterka.

Z szpitala obłąkanych Sewilli prowadzę czytelnika do szpitala wojskowego Saragossy, umyślnie, by w widoku rzeczy miłe wrażenie wywierających ochłonął z niemiłych uczuć, wzbudzonych przez opowiedzenie historyi o obłąkanym lekarzu.

Żal nam, że nie zawsze możemy kołysać dusze czytających przyjemnemi obrazami, — ale gdzie jest światło, tam muszą być i cienie; gdzie są róże, tam się znajdą kolce.

Tu w Saragossie, okazały szpital wojskowy nie przedstawia nic do domu obłąkanych Sewilli

podobnego: nie ma tu wysokich murów, głębokich rowów, zwodzonych mostów, ryglów, zamków, kajdan i pętów; tu są wielkie, dobrze oświetlone i przewiewane sale, ozdobne kaplice, obszernie widne kurytarze, także dziedzińce; trawniki, ogrody i ogródki dla mężczyzn, kobiet i dla dzieci: trzeba bowiem wiedzieć, że w tym szpitalu leczą się nie tylko oficerowie i żołnierze, lecz także żony i dzieci całego generał-kapitaństwa Arragonii.

Główną jednakże ozdobą tego zakładu nie były ręką ludzką tworzone dzieła, lecz utwór Pana Boga, anioł napelniający urokiem wdzięków i dobroci cały ten dom, w którym codziennie tyle się goiło cierpień, tyle koilo żalów.

Otóż główną ozdobą tego domu była *la hermana mayor*, starsza siostra miłosierdzia, przewodnicząca trzydziestu młodszym siostrom, reguły Ś-go Wincentego a Paulo w niesieniu pomocy, którą tylko czuły instynkt kobiecy pojąć i pełnić może.

Tak miléj, pięknej i młodéj *starszój* siostry miłosierdzia jak *hermana mayor* Catalina w życiu swojém nie widziałem nigdy i nigdzie, i przy-

znać muszę, żem stanął jak wryty, gdym tego anioła ujrzał stojącego obok łózka; a w łóżku tém leżał i kłął jakiś stary wąsaty wiarus, któremu przed godziną ucięto obie nogi pogruchotane jedną armatnią kulą.

Wojna wówczas wrzała w Hiszpanii, i jeszcze nie można było przewidzieć kto zwycięży, jeszcze codziennie tysiące ludzi ginęło w obronie jednych i drugich zasad.

Siostra Catalina, arragonka czystej krwi, była zwolenniczką postępowych zasad, ale w pełnieniu swych obowiązków tylko ludzkość miała na oku, i w tej chwili niosła pomoc karłiście w niewolę zabranemu na polu bitwy i oplakującemu tak boleśnie swych uciętych nóg i swęj straconej wolności.—Niosła mu pomoc i lzy nad nim wylewała.

A jednakże karłiści zabili jęj wszystko co miała najdroższego....

W dni świąteczne znajdziesz na piersiach siostry Cataliny order, który się w Hiszpanii daje tylko walecznym, co się na polu bitwy tylko bohaterstwem odznaczyli.

Co znaczy ten order na dziewiczych pier-

siach tak młodej, miłej i tak delikatnej, bladej istoty.

Ta istota jest bohaterką, która własną ręką ze dwunastu karlistów zgładziła; ta istota jest jedną z tych Saragossanek, które lord Byron swém wieszczém piórem unieśmiertelnił i przepowiedział.

Tak! nie ma podobniejszego do anioła jak prawdziwi bohaterowie, to przyznać musimy patrząc w téj chwili na łzę zroszone niebieskie oczy siostry Cataliny.

Cała Hiszpanija ją zna i z niej jest dumną, jak z swego Cyda lub Palafoksa.—Więcie, że ona mogła była zostać księżną i używać wszystkich darów fortuny, ale wolała poświęcić się uldze bliźnich swoich i łzami które ociera obmywać krew wrogów, przez nią przelaną.

Wstąpiła do klasztoru, i po rocznym nowicyjacie, po dwuletniej służbie w szpitalu wojskowym, została siostrą starszą, mając zaledwie lat dwadzieścia jeden. A wszyscy na to się zgadzają, że nigdy nie było w szpitalu takiego porządku jak dzisiaj. Prawda, że jej pomaga własny brat, intendent tego szpitala, ów przystojny

młody oficer, którego widzimy chodzącego na drewnianej nodze i na szczudle po salach i kurytarzach ogromnego zakładu.

To jest jedyny krewny, który jój pozostał po licznych klęskach na jój rodzinę spadłych.

Historyja życia téj chrześcijańskiej bohaterki jest tak ciekawą i budującą, że jój nie można dość często opowiadać; i dla tego téż jeszcze raz i to szczegółowo pomówimy o świetnej córce bohaterskiej Saragossy.

* * *

Wiatry wyły rozkielznane od północy ze strony Pirenejów i wzburzały falami rzeki Ebro, nad któremi w nocnym uśpieniu rozpościerała się Saragossa.

Był to początek Marca, pora roku wszędzie, nawet w Hiszpanii nie bardzo przyjemna.

Oparty o wielki pałac, stał niedaleko wałów domek murowany na piętro, raczej rodzaj przydomku, składającego się z dolnego pokoju z kuchnią i z wierzchniego pokoju z balkonem, wystającym z pierwszego piętra po nad drzwi i opatrzonego tak nazwanym miradorem, to jest wieżyczką służącą za belweder, a w razie potrzeby

za strzelnicę. Cały ten domek z mocnych kamieni stawiany, opatrzony na dole żelaznymi drzwiami i okiennicami, wyglądał jakoś dziwnie zbrojnie. W dawnych czasach służył widać tylko za wejście i kordygardę przyległemu pałacowi, dawniej także więcej do zamku podobnemu, teraz jednakże na sposób spokojny i paradny mody dzisiejszój przystrojonemu.

Zamurowano także przejście z domku do zamku, tylko ślady jego pozostały na murze.

W tym dziwnym domku na piętro, a tylko z dwóch pokojów złożonym, są żelazne drzwi i także okiennice; na dole zawsze bardzo mocno zatarasowane ryglami, zamkami i szynami żelaza, a żywój duszy na dole nie było.

Ściany izby na piérwszém piętrze zawieszzone były jakimi dwudziestoma sztukami różnej broni palnój, od tromblona aż do krucicy, a wszystkie wisiały nad łóżkiem, na którém jęczał jakiś bardzo przystojny, ale obolały, wychudły mężczyzna.

Tuż obok jego łóżka na staroświeckim fotelu siedziała niewiasta średniego wieku, chuda, blada, wynędzniała: z podobieństwa rodowego

domyślc się było można, że to matka owego chorego, jęki swe tłumiącego młodzieńca.

Na drugim fotelu, tuż pod oszklonemi drzwiami wychodzącemi na ganek, siedziała młoda dziewczica znakomitej piękności, ale także znękanego, zupełnie bladego* lica i oczu zgasłych, w których się malowała nie tylko rezygnacyja, lecz nawet jakiś rodzaj chorobliwego osłupienia, przykro kontrastującego z rysami szlachetnemi i z młodością téj dziewczicy.

I tu można się było z podobieństwa łatwo domyślc, że to córka téj starszej niewiasty, a siostra tego chorego mężczyzny.

Muziała to być niegdyś zamożna podupadła rodzina, przynajmniej tak wnioskowaleś z ozdób herbowych, dawniej złoconych, obecnie otartych mebli; a że te herby rodzinném były znamieniem, o tém cię przekonywały tezsame heraldyczne ozdoby, na kilku staroświeckich portretach mężczyzn i kobiet zawieszonych na ścianach.

I tu także rodowe podobieństwo pomiędzy temi żyjącemi i nieżyjącemi mieszkańcami téj izby, przekonywało, że to jedna familija.

Tak było istotnie. Rodzina Palacios, której tu widzimy ostatnich potomków, wysokie niegdyś zajmowała stanowisko w królestwie Arragonii, piastowała najważniejsze urzędy w senacie i w wojsku, posiadała wielkie bogactwa, przewodniczyła szlachcie w ukształceniu i dążnościach postępu, ale doszedłszy do najwyższego szczebla znakomitości, zwróciła na się uwagę swych zazdrośnych monarchów i skazaną została przez nich na prędkie schodzenie z godności i majątku—na upadek. W dokonaniu tego, najwięcej pomagał zausznik króla i kochanek królowej, chciwy i zdradziecki Godoy, którego przezwano księciem pokoju.

Generał de Palacios wraz z dwoma synami swojemi został skazany przez inkwizycją na spalenie, *za to*, że podczas podróży w Szwajcaryi odwiedził nienawistnego Jezuitom Woltera. Majątek ich skonfiskowano na rzecz skarbu, po wykonaniu śmiertelnego wyroku na głównym rynku Saragossy, w Sierpniu 1801 roku.

Dwie córki tegoż generała de Palacios zamknięto w jakimś więziennym klasztorze dla tego, że zostały wychowane przez przywiezioną

z Szwajcaryi ochmistrzynię, i *zapewnie* się przejęły zgubnemi wyobrażeniami religijnemi i politycznemi rzeczypospolitój Helweckiej.

Tylko jeden Palacios, najmłodszy, pozostał przy życiu i zaczął być wychowywanym na księdza przez urząd opiekujący się po ojcowsku ostatnim potomkiem dawniejlicznój, możnój, w kilkanaście lat do ubóstwa przywiedzionój rodziny.

Z wszystkich dóbr posiadanych wprzód przez rodzinę Palacios, pozostał temu ostatniemu potomkowi tylko pyszny pałac w Saragossie i kilka folwarków w bliskości tego miasta.

Potém, gdy młody Alfonso de Palacios jeszcze był w seminaryjum, Francuzi wdali się w losy Hiszpanii, najechali ją, Burbonów z tronu stracili i osadzili na nim Józefa Bonaparte, który już wprzód jako król Neapolitański dał dowody niewątpliwój niedołężności.

Wybuchują w upokorzonój, krzywdzonój Hiszpanii spiski, bunty i owe krwawe wojny, które cały obszar najpiękniejszego kraju Europy przez lat tyle szlachetną krwią zalewały.

Hiszpanie walczą jak lwy.

Wszyscy synowie zagrożonej Iberyi stanęli pod orężem, a z nimi Alfons Palacios wychowaniec seminaryjum w Burgos.

Dawni słudzy i poddani skupili się około panicza w liczny hufiec gerylasów i wkrótce rozpoczęli działania zaczepne pod wodzą dziewiętnastoletniego seminarzysty, którego nazwisko w rok jeden zasłynęło w całym kraju odgłosem bohaterstwa; a podczas oblężenia rodzinnego miasta, młody Palacios zamienił swój pałac w fortecę, wtoczył działa do sal i komnat, a zamknąwszy się w nim z swym hufcem, raził oblegających wrogów dobrze wymierzonymi strzałami.

Część tego pałacu została pogrążoną w gruzach wraz z większą częścią hufcu Alfonsa Palacios. Nareszcie po pamiętném dziewięciomiesięcznym oblężeniu, legło bohaterskie miasto.

Ożenił się Alfons Palacios wkrótce potem, dostąpiwszy 24 roku, z jedną z sławionych bohatererek Saragossy Maryją Carrol, i jeszcze przez całe lat sześć walcząc w szeregu, dosłużył się stopnia podpułkownika, a po powrocie Ferdynanda VII został z rozkazu króla wtrąconym do

więzienia, i byłby może swą wierność dla Burbonów życiem przypłacił, gdyby mu nie ułatwiono ucieczki.

Ale go skazano zaocznie na śmierć, skonfiskowano resztę majątku, pałac sprzedano, a herby jego spalono ręką kata na szubienicach Saragossy.

Alfons Palacios zdołał uciec z żoną i dziećmi do Londynu, znalazł u rządu angielskiego opiekę i pomoc, a pracując nad wykształceniem się w sztuce wojennej, jadł przez lat kilkanaście gorzki chleb wygnania.

Dopiero po śmierci przewrotnego, niewdzięcznego Ferdynanda VII, wróciła emigracja hiszpańska do kraju, i wkrótce potem rozpoczęła się zacięta walka pomiędzy wdową Ferdynanda i jego bratem, roszczącym sobie prawa do korony.

Palacios prowadził do boju liczny hufiec gerylasów Arragonii, i w niejednej potyczce dał się Karlistom srogo we znaki, zwłaszcza pod Terruel, gdzie zniszczył cały korpus gerylasów karlistowskich i powiesić kazał jego w niewolę zabranego dowódcę nazwiskiem Cabannero,

okrutnego Cabecillę, który wprzód był hersztem bandy rozbójników.

Ale pozostał przy życiu syn tego Cabannero, i ten zaprzysiął całemu plemieniu Palaciów nieubłaganą zemstę.

Już skutków téj zemsty doświadczył pułkownik Palacios, syn jego starszy kapitan Palacios i porucznik Floriante, narzeczony Donny Kataliny Palacios. Życiem na polu bitwy przyplacili śmierć zadaną przez kata hersztowi karlistowskiemu. W ostatniej bitwie pod Morellą, kula armatnia nogę urwała drugiemu synowi nieboszczyka pułkownika Alfonsa de Palacios, Henrykowi, który tu po amputacyi leży na łożu boleści, w téj maléj komnacie dawniej łoży odźwiernego służącój teraz całej familii, niegdyś bogatych i wysokich hidalgów za mieszkanie.

Ale te wszystkie klęski spadły na ród Kataliny, jeszcze nie uśmierzyły żądzy zemsty zaciętego Cabannera, stojącego teraz na czele sześciotysięcznego hufcu buntowników karlistowskich, bo jeszcze żyje amputowany porucznik Henryk Pallacios; jeszcze żyje jego brat młodszy dwunastoletni Jago, jeszcze żyje bohaterka Maryja Car-

rol wdowa po pułkowniku; jeszcze nakoniec żyje piękna Katalina Palacios, lubo nieutulona w żalu po śmierci walecznego narzeczonego.

Cabannerowi nie wystarcza zgładzenie téj rodziny.... on pragnie jój hańby i nie spuszcza z oka Saragossy; w której wie, że żyją szczątki nienawistnych mu Palaciów rodziny.

* * *

Teraz wiemy, kto ta podeszła, blada osoba, siedząca obok łoża, w którym leży biedny, z bólu jęczący młodzieniec. To sławna Maryja Carol, bohaterka opiewana przez lorda Byrona, to wdowa po walecznym pułkowniku Alfonsie de Pallacios, hrabi de Terruel. A ta młoda, piękna osoba, to jój córka, która od chwili śmierci swego ojca, brata i narzeczonego siedzi tu jak zdrewniała, słowa nie przemawiając, nic nie przyjmując prócz odrobiny mléka i całemi tygodniami nie ruszając się z miejsca. Już ten stan trwa blisko czterech miesięcy, już zasięgnięto rady wszystkich lekarzy Saragossy dla biednej Kataliny, już się do wszystkich wstrząsających fizycznych i moralnych uciekano środków: dawano jój wronie oko, wcierano w nią fosfór, stawiano jój

moksy, galwanizowano ją elektrycznością, ale wszystko napróżno, wszystkie te środki najmniejszego nie wzbudziły oddziaływania: Katalina siedzi jak martwa z otwartymi osłupiałemi oczyma, codzień więcej chudnie, codzień zdaje się bliższa śmierci, bo i ciało jój stygnie i puls już ledwo uderza.

W całym mieście wypytują się o zdrowie pięknej Kataliny, i w całym mieście ją żałują, bo wszyscy powiadają, że wkrótce poprowadzą do grobu najpiękniejszą dziewczę Saragossy, córkę bohatera i bohaterki w dziejach kraju świetniejących.

Nawet religija nie wywiera żadnego wpływu na zakłęta w odrętwieniu duszę, niegdyś tak szczerze pobożnej, tak entuzjastycznej, religijnej Kataliny. Arcybiskup Saragossy zaszedł do niej w świątecznym ornacie, w infule, z pastorałem i z relikwiami, otoczony licznym orszakiem kanoników, dyjakonów i subdyjakonów, i nie wywołał w duszy młodej dziewczicy wielkiego wzruszenia: tylko skąpą łzą zwilżyły się jój oczy i blada twarz zadrgała, a potem znów nastąpiło osłupienie, większe jak kiedykolwiek. Tylko cza-

sem na małą srogię, którą namiernie kochała. Jakże spojrzy biedna Katalaa! ale i te spojrze-
nia, wyjawiające obecność duszy, są ją cią co-
raz rzadzeni; brakuje temu pięknemu ciału ży-
wiotów bytu i wrócić legnie pod swym wła-
sny mierzem.

*

*

*

— Ach! ty cierpisz okropnie i tłumisz swe
cierpienia, abym się nie martwiła, mój synu; ra-
czej się poddaj i jęcz jeśli cię boli! — rzekła ma-
tka do rannego oficera.

— Ja cierpię, — odpowie oficer — to pra-
wda, ten abces mi dokucza okropnie: radbym
żeby doktor przyszedł jak najprędzej i otworzył
go. Ale to mnie niepokoi że go nie widać, ani
tę małego Jago; przecież złął do doktora nie-
daleko: przypuśćmy że go Jago nie zastał, więc
zostawiwszy zawiadomienie, mógł być dawno
wrócić. Nie wiem czemu mnie tak bardzo nie-
pokoi to spóźnienie, mięsza się do niego jakieś
smutne przecucie, — ach! wolalabym więcej cier-
pieć, aby tylko wrócił nasz mały Jago, jedyn-
na nadzieja domu Palaciów.

— Ależ mój Ferdynandzie, on zapewnie przyjdzie z doktorem nie bardzo już rączy w ruchu: gdzieżby się podział? Przecież jesteśmy za dobremi murami, a w środku naszego poczciwego miasta nieprzyjaciół nie ma. Jedna dusza, jedno serce, jedna wiara w walecznej i bogobojnej Saragossie.

— To prawda, daj Boże mieszkańcom każdego chrześcijańskiego miasta tak dobre, dzielne i kochające się serca. Ale mnie się to nie podoba, że Saragossę, punkt tak ważny, zupełnie ogołocoło z wojska regularnego; a to jeszcze mniej mi się podoba, że wczoraj wysłano na odsiecz obleganey Gandery całą kawaleryją i dwa batalijony naszej gwardyi narodowej. Cóż nam pozostało? cztery batalijony po tysiąc ludzi, hufce złożone z starców, kalek, niedołęgów i dzieci. Łatwoby mógł nieprzyjaciół korzystać z tego ogołocenia.

— Gdyby o tém wiedział, mój synu, że część naszej gwardyi wyszła; ale któż mu to powie, jesteśmy pewni naszych wiernych współobywateli: jeszcze w Saragossie zdrajcy nie było, — uspokój się, o mój biedny synu.

— Jeszcze tu zdrajcy przekonanego o zdradę nie było, to prawda! Mają jednakże nieprzyjaciele stosunki z Saragossą, a nadewszystko ma je Sennor Cabannero, nasz nieublagany wróg, a spokrewniony tak blisko z tyloma księżmi i zakonnikami, niecierpiącemi nas wiernych obrońców konstytucyi i przyjaciół postępu. Sennor Cabannero nie wybaczy nam, dopóki jeden Palacios żyje. Ach! już téż tylko jeden przy zupełném życiu — nasz kochany Jago, nadzieja rodziny, przyszły wskrzesiciel świetności Palaciosów. Mnie trawi gorączka, schnę i uschnę niezadługo, jak owo drzewo, którego korzenie podlano warem; biedna Katalina znów stygnie i usypia jak lodem obłożona rajska ptaszyna; ty matko bohaterko nie oprzesz się rozpaczy i pójdiesz za nami tam, gdzie już ojciec i brat jeden;—tylko on pozostanie, on jedenastoletni, jedyny, tyle rokujący Palacios. Cha! królowa musi go przyjąć do szkoły paziów, jako ostatniego potomka zasłużonej rodziny Hidalgów o trzydziestu dwóch herbach.

— Boże! byleby tylko wrócił jak najprędzej: od godziny go nie ma, wyszedł o czwartéj rano,

teraz właśnie bije piąta i dzwonią w klasztorach na prymaryją.] Cudowna Panno Maryjo del Pilar! zmiłuj się nad nami grzesznymi, opiekuj się mym bratem i zaświeć promieniem łaski swojej w duszy biednej Kataliny!

Bogobojny młodzieniec złożył ręce do pacierza, wszyscy umilkli i modlili się w duchu, nawet Katalina zwróciła swe duże, modre, ale przygasłe oczy ku Niebu i białe, chude swe ręce złożyła jak do pacierza. Promień łaski zaświecił w jej duszy.

* *

Wtém zadrzała Sennora Palacios i rzekła:
— Jakiś mnie dolatuje szmer, niby pochod tłumiony kilkunastu osób, nawet ich głosy mnie dochodzą. Wielki Boże! co ja słyszę! to głos Jaga!

Teraz wyraźnie usłyszano następujące słowa z ulicy:

— Matko! bracie! jestem w rękach Cabanera, obiecałem ich wpuścić do domu naszego, ale wolę ginąć jak dotrzymać obietnicy. Miéjcie się na baczno...

Nie dokończył, tylko jęk wydał bolesny: wi-
dać pchnięty pugiuałem.

Matka pojmuje co jęk znaczy: wybiega na
ganek,—kilka strzałów z ulicy zagrzmiało, Sen-
nora Palacios pada krwią zboczona.

* *

Bóg nie chciał przepuścić takiej zbrodni bez-
karnie i zrobił cud.

Donna Katalina od czterech miesięcy niepo-
ruszona, zrywa się z krzesła, chwyta za broń
zawieszoną nad łóżkiem chorego brata i z ganku
razi dobrze wymierzonymi strzałami najezdni-
ków dobijających się do drzwi ogromną kłodą,
do której przyprzęgło się z pół tuzina bandytów
Cabannera;—ukłękła na ganku, broń nabitą chwy-
ta jedną za drugą, strzela, wystrzeloną oddaje
bratu, który ją, nie mogąc wstać z łóżka, nabija.
I do niej strzelają, lecz kule, którym Bóg nie po-
zwoli trafiać, obijają się o żelazną balustradę
ganku; ale padają kule, pieńki i siekańce na li-
czną, już przerzedzającą się od razów kobiety
zgrają.

Brat nabija, siostra strzela, alarm roznosi się
w całym mieście; bębny warczą, wypada gwar-

dyja narodowa pojedynczo, i na wszystkich punktach miasta rozpoczyna bój krwawy z najezdnikami, którzy w liczbie czterech tysięcy wkroczyli od strony klasztorów, opartych o wały, do miasta i zamierzili wyciąć tyle, ile się tylko da z jego mieszkańców, zwłaszcza wszystkich, z usposobienia liberalnego znanych. Cudem odzyskane siły nie słabną w dziewicy, nawet poranie, którą otrzymała w ramię i z której krew zbracza jój konającą matkę.

Już trupami bandytów zasłane wejście do mieszkania Kataliny, ale dowódzca bandytów jeszcze żyje i koniecznie chce zdobyć co jeszcze pozostało z nienawistnej mu rodziny: chce się zemścić, jak można najkrwawiej na potomkach wroga, który hańbiącą śmierć zadał jego ojcu.

— Bracie! bracie! — rzece Katalina do Henryka — działa zataczają przed dom i z niego strzelać będą do drzwi jego. Zginęliśmy, biedny bracie. Czy nie lepiej będzie użyć tych dwóch pozostałych nam nabojów na nasze zglądzenie? Wystaw sobie, co ciebie czeka w ręku tych łotrów, a mianowicie co mnie czeka... Och! Henryku, raczej strzelmy do siebie!

— Tak, dwa naboje tylko,... a dać się wziąć żywcem nie sposób. Ale moje siły wystarczą na zadanie ci śmierci pugiuałem, siostró moja! gdyby mieli wkroczyć do domu. Tymczasem patrz, Katalino, czy nie wynajdziesz herszta téj zgrai: wprawdzie Cabannero nie odznacza się ani wzrostem, ani fizyjonomiją, ani ubiorem od innych— ale może go po tém poznasz, że nadzwyczaj powolny, nieruchawy i cicho rozkazujący? Czemuż nie strzelają?!

— Ładunków armatnich widać nie mają, bo proch wysypują z ładunków od ręcznej broni, a kamienia z bruku dobierają zamiast kuli. Ach! to nasza armata z odwachu pod klasztorem Reformatów: widać że jaszczyk z amuniciją zdołał uciec... Ha! już znaleźli kamień stosownej wielkości!—już nabijają!

— Słuchaj, Katalino! otóż dobra myśl— Cabannero służył przedtém w artyleryi, i zapewnie sam mierzyć będzie z działa, bo nikt ze zgrai jego na tém się nie zna. Strzelaj do głowy, która się pochyli nad działem, a mierz dobrze, na miłość Pana Boga, i długo wytrzymuj, bo od tego strzału zależy nasze życie i honor.

Istotnie, jakaś gola, czarna głowa pochylila się nad tyłem działa.— Mierzy Katalina do téj głowy, za młodu wprowadzana do użycia broni palnéj przez ojca i braci, a nawet przez matkę bohaterkę, która podczas oblężenia Saragossy w 1809 roku strugi krwi najezdników przelała.

Mierzy, a jój serce przed chwilą lodowate bije przyspieszoném tętnem.

Strzela! czarna głowa upada na ziemię, a cały hufiec bandytów wydaje jęk żallosny.

Ta głowa kulą przeszyta, która już nie będzie ani czuła, ani myślała, należała do Filipa Cabannero, herszta generalnego gerylasów Don Karlosa.

W tém błysnął nad zapalem armaty rozżarzony łąt, działo wypaliło, kamień uderza w żelazne drzwi siedziby Palaciosów i wysadza je.

Już mściwa tłuszcza przypuszcza szturm do domu i Katalina podaje bratu puginał, gdy się zjawia odsiecz: cały pluton z kawaleryi gwardyi narodowój, właśnie przybyły z Gandery, wpada na karki karlistów i siecze ich w drobne kawały.

Nieprzyjaciel pierzcha na wszystkich pun-

ktach, zostawiając trzysta trupów, dwieście rannych i ośmset niewolnika.

Katalina Palacios uznana bohaterką tego dnia pamiętnego, ale jój matka, jój brat młodszy przypłacili jego chwałę swém życiem.

* * *

Ona wsławiwszy się bohaterstwem, stawszy się modnym przedmiotem ogólnego ubóstwienia, mogła była zostać frejliną, jak jój proponowała królowa; mogła była zostać żoną księcia i granda Hiszpanii piérwszój klasy, jak jój ofiarował zachwycony jój wdziękami książę Soto-Major.

Lecz ona ciągle kochała święty obraz swego młodego, zmarłego narzeczonego, - ona chciała usługami cierpiącym oddawanemi zmyć z swych białych rąk krew nieprzyjaciół niemi przelaną, i wstąpiła do pobożnego bractwa sióstr miłosiernych, ślubując pozostać ubogą, czystą i poświęcić się na przynoszenie ulgi chorym i cierpiącym.

I nigdy już nie wróciła do tego stanu odrętwienia, w którym ją widzieliśmy pogrążoną; już nie osłupiała jój dusza, raz wzruszona straszliwym obrazem matki ranionój, w własnej krwi tonącój.

Brat jój Henryk, wyleczywszy się z ran i niezdolny do służby wojskowej, został mianowany intendentem szpitala wojskowego, — otóż jak skończył ród Palaciosów. Lecz Henryk się ożenił i ma dzieci: może lepsza zaświeci przyszłość dla dzieci odradzających się w pracy ludzkości milój i pożytecznej.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



